

Poezje
L. Kondratowicza
(Wł. Syrokomli)

Tom IV.

Wł. Syrokomli

Wł. Syrokomli



POEZJE LUDWIKA KONDRATOWICZA

(WŁADYŚŁAWA SYROKOMLI).

Z PORTRETEM AUTORA.

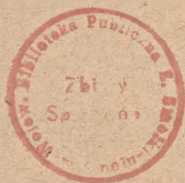
T O M IV.



Mikołów 1921.

AKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ K. MIARKI

14



IV

97245

884-1

Zbiory specjalne

Akc. K. Nr 281 / 97 / 51.

UTWORY DRAMATYCZNE.

ROK W PIEŚNI.

KANTATA DO MUZYKI ST. MONIUSZKI.

INTRODUKCJA.

Kto lubi znój, gdy swojskie słońce parzy,
Kto lubi pieśń żniwiarek i żniwiarzy,
Kto w pieśni rad swojskie powietrze chwyta,
Kto lubi chleb ze słowiańskiego żyta,
I ptactwa gwar wśród pola i dąbrowy,
I prosty lud wioskowy zaściankowy, —

Kto chciałby tam
Marzyć, jak we śnie,
Niech przyjdzie k'nam:
Śpiewamy pieśnię,
Pieśnię rodzinnej osnowy.

Przypomnim wam i święte kłosów żniwo,
I letni skwar, i jesień szczodrobliwą,
I sosen szum, gdy chłodny gwar kołysa,
I straszny grom, co bije w dzień Borysa,
I granie trąb, i nasze gwarne łowy,
I skrzypiec dźwięk, gdy wieczór dożynkowy.

Kto chciałby tam
Marzyć, jak we śnie,
Niech przyjdzie k'nam:
Śpiewamy pieśnię,
Pieśnię rodzinnej osnowy.

Przypomnim wam zimowych wichrów świsty,
Wieczornic gwar, i kulig uroczysty,
Pamiętkę świąt — zakolędujem, spieję
Na stary ład piosenkę o Betleem;

I rozlew rzek, i wiosny oddech nowy,
Skowronka hymn, i jasny dzień majowy.

Kto chciałby tam
Marzyć, jak we śnie,
Śpiewamy pieśnię,
Niech przyjdzie k'nam:
Pieśnię rodzinnej osnowy.

CZĘŚĆ I. LATO.

RECITATIVO.

Jutrznia na niebie świtać poczyną,
Nad rosną trawą błdzi mgła sina,
A ponad rzeczką ptactwo świergota —
Słowik w olszniaku, chróściel z nad błota.
Śpi wioska w mroku szarych półcieni,
Ludzie wczorajszą pracą znużeni,
Błogim spokojem zdjęci chwilowo,
Wzmacniają siły na pracę nową.
Kto umie oczy podnieść ku górze,
Widzi, jak Pańscy Anieli Stróże
Latają chórem, śpiewają radzi,
Ponad chatami sielskiej czeladzi,
I błogosławiąc jej sny poranne,
Bogu za ludzi pieją Hosannę.

CHÓR ANIOŁÓW.

O święty, święty, święty,
Boże i Ojcze nasz!
Co lud ten snem ujęty
Zdałeś pod naszą straż!
Oto gromada ludzi,
Gromada Bożych sług,
Do pracy wnet się zbudzi,
A weźmie sierp i pług.
Błogosław prac ich znoje,
Plonem ich ziemię darz —
I święć się Imię Twoje,
Boże i Ojcze nasz!

RECITATIVO.

Lecz się różowa jutrznia rozszerza,
Zbudził się kogut, skrzydły uderza,

I zapiał silnie pobudki hasło,
Ze aż nad rzeczka echo zawrzasło.
I czujne kury, jak gdyby czaty,
Podają hasło z chaty do chaty,
Ze wstawać pora. Stary Wasyli,
By zbudzić swoich, czekał tej chwili.
Już od godziny sen go nie bierze,
Chodząc po dworze, mówi pacierze.
Jużby się z rosą napasła trzoda,
Lecz budzić młodszych staremu szkoda:
Syn jego Janko pracował dosyć,
I wczora kosił, i dziś ma kosić;
Lecz to już taki zwyczaj młodzieńczy,
Że śpi jak kamień, kiedy się zmęczy.
Coś sobie marzy i przez sen gada
O krasnej Hannie, córce sąsiada;
Niech sobie marzy, sercu dogodzi,
I my starcowie byliśmy młodzi.
Sen w biedach serca jedną pociechą!
Lecz kiedy kogut zapiał nad strzechą,
Zapiał powtóre, zapiał raz trzeci,
Wstań do roboty, wstań, synu kmieci!
Słonko pogodne, korzystaj z chwili.
Tak sam do siebie mówi Wasyli.
Choć mu żal budzić synów i wnuka,
W okno do chaty donośnie puka.

WASYLI.

Wstawajcie dzieci! świta na dworze,
Już od godziny krzątam się sam,
Już z za pagórka słoneczko Boże
Brzask na dzień dobry przesyła wam.
Otwórzcie ze snu, otwórzcie oczy,
Leniwej drzemki już minął czas.
Z Bogiem pocznijcie wasz dzień roboczy,
Krzyż Chrystusowy niech wzmocni was.
Wstawajcie dzieci! do pracy czas!
Już od godziny krzątam się sam,
Słońce dzień dobry przesyła wam,
Krzyż Chrystusowy niech wzmocni was.

RECITATIVO.

Już na głos starca w chacie się szerzy
Gwar pogadanki i szmer pacierzy.
Jak na głos matki robocze pszczoły,
Sypie się z chaty naród wesoly,
A komu oczy orzeźwić trudniej,
Bieży je przemyć do chłodnej studni;
A komu chatnia przykrzy się ława,
Chłodnym wietrzykiem piersi napawa.
Tak pokąd światło ziemię ogarnie,
Chatnie podwórze odżyło gwarnie;
Odżyła wioska w rannej pomroce,
Starcowie gwarzą, młodzież chichoce.
Ów idzie z kosą, drugi do żniwa,
Wójt do roboty dwornej zwoływa,
I w końcu wioski naród się tłoczy,
Wyszedł na pole orszak roboczy.
Janek przy Hannie — lecz spuścił głowę,
Chciałby rozpocząć słodką rozmowę;
Lecz kędy miłość do serca wpadnie,
Tam pogadanka idzie niesnadnie.
Od czego począć? — niełacna rada,
Serce już sercu resztę dogada,
Dusza przed duszą jakoś się sprawi,
Ale wokoło ludzie ciekawi,
A więc ostrożnie, z cicha, nieznacznie,
Niby przypadkiem, tak mówić zacznie:

JANEK.

Dzień dobry, Hanno! droga w połowie,
A twego głosu nic nie rozbudzi.
Jakie ci chodzą dumki po głowie,
Że się odezwać nie chcesz do ludzi?

HANNA.

Dzień dobry, Janku! myśl gdzieś się błąka
I do gadania chętka nie bierze.
Ja sobie słucham pieśni skowronka
I po cichutku mówię pacierze.

JANEK.

Co ten skowronek? lata nad zbożem,
Czyniąc w powietrzu jakieś igraszki.
Ty nam zaśpiewaj, my ci pomożem,
Ty, Hanno, lepiej śpiewasz niż ptaszki.

HANNA.

Śpiewać nie będę, — twoja pochwała
Do mego serca nic się nie wkradła.
Wszystkich piosenek jam zapomniała,
Poranna rosa na piersi spadła.

JANEK.

O, wiem ja dobrze, co ci się święci,
Czemu ci rosa na piersi spada!
Nie brakło piosnek twojej pamięci...
Kto inny prosi, ty śpiewasz rada.

HANNA.

Bój się ty Boga, dziwny człowiecze!
Rad, kiedy zręczność do kłótni zyska.
Lada dla żartu coś się wyrzeczce,
Już zaraz gniewy i przymówiska.

JANEK.

Ktoby się gniewał? zgoda już, zgoda!
Przepędźmy z oczu drzemkę poranną.
Jeden drugiemu ochoty doda,
My ci pomożem, zaśpiewaj Hanno!

HANNA.

Ktoby się gniewał? zgoda już, zgoda!
Przepędźmy z oczu drzemkę poranną.

CHÓR.

Jeden drugiemu ochoty doda,
My ci pomożem, zaśpiewaj Hanno!

P I E Ś Ń.

HANNA.

Kłosku żytni, czyż nie szkoda,
Ze cię zeżniem z pola?
Pókiś jeszcze trawka młoda,
Póty życie i swoboda,
Póty lepsza dola!

Wpółród listków i badyli
Rośnie kłos zielony,
To do kwiatka się przymili,
To wesolą głowę schyli
W rozmaite strony.

CHÓR.

Deszcz dla niego — to otucha,
Wicher — to swawola;
Zda się żyje wpółród pola
I skowronka słucha.

HANNA.

Przeszła wiosna, przeszła marno,
Nastał miesiąc nowy;
Kłos obciąża bujne ziarno,
Jako myśli, co się garną
Do poważnej głowy.
On zesmutniał w suche lato,
Zżółkniał w czas dojrzania,
Przeszła młodość, cóż mu za to?
Głowę, plonem choć bogatą,
Ku ziemi nakłania.

CHÓR.

Skwar i słońca go przeraża,
Grad i wicher troska,
A wesół śpiew żniwiarza
Śmierci dlań pogłoska.

HANNA.

Ej! lepiej być trawką w wiosnie,
Pieszczotą motyli,
Niżli kłoskiem, gdy wyrośnie,
Ocięższe i żalśnie
Ku ziemi się schyli.
Lepsza młodość i śmiech skory,
Choć niema w nim treści,
Niż późniejszej wieku pory
Mądre, suche rozhowory
Z westchnieniem boleści.

CHÓR.

Puśćmy ducha na swobodę,
Gońmy senne mary:
Lepiej nosić serce młode,
Niżli rozum stary.

PIEŚŃ.

WÓJT.

Hej, chłopcy! na łąkę i kosić!
Jesteśmy przy drożnej figurze.
A dosyć tych śpiewów, już dosyć,
Bo ja wam inaczej zawtórzę!
Kwiateczki i wiatrów igranie,
Dobre to w piosence pastuszej;
To u mnie gospodarz, mospanie,
Co kwiatki na sianko wysuszy.
Was, dziewczki, do żniwa mam prosić,
A snopy związywać mi duże!
I dosyć tych pieśni, już dosyć,
Bo ja wam inaczej zawtórzę!
Te kłosa, to wiatrów igranie,
Zabawka dziecinna i marna;
To kłosek najlepszy, mospanie,
Co wyda najwięcej mi ziarna.

HANNA.

O Janku! ruszajcie już kosić,
Daj radę wójtowskiej naturze.

WÓJT.

A dosyć tych szeptów, już dosyć,
Bo ja wam inaczej zawtórzę!
Ja będę przechadzał się blisko,
Do kośby, do żniwa się wtrączę;
Niech będzie gładziutkie ściernisko
I równe przekosy na łące.
Ja umiem upartych poprosić,
Zaradzić upartej naturze.
A dosyć tych szeptów, już dosyć,
Bo ja wam inaczej zawtórzę!

RECITATIVO.

Przez długie morgi w śmiechu i gwarze
Długim szeregiem stoją żniwiarze.
Wójt ich gromadę dzieli na części;
Zboże dojrzałe pod sierpem chrzęści,
A kędy ostre żelazo błyska,
Ciagną się długie pasma ścierniska.
Słońce, z niebieskiej patrząc oddali,
Głowę żniwiarek gorącym pali;
Ręce ich ostre kaleczą ciernie;
Wójt w pracy nagli niemiłosiernie.
Źródlanej wody w gorącej chwili
Ostatnią konew żęncy wypili.
A przecież poradź z ochotą młodą!
One się śmieją i piosnkę wiodą.
Bo młode piersi sielskiej dziewoi
Piosnka nakarmi, piosnka napoi,
Piosnka umocni ustałe ręce;
I śmiech, i boleść — wszystko w piosence.
Więc hoża Hanna, idąc po przedzie,
Ład na zagonach i w piosnkach wiedzie.

PIEŚŃ ŻNIWIARSKA.

Przepióreczka w zbożu kwili,
Żeśmy gniazdo jej zburzyli!
I ze złości nieszczęśliwa
Różne rzeczy wygadywa;
Wygadywa i przeklina...
Ej, złośliwa to ptaszyna!

— Piejcie żęncy! żnijcie zboże!
Wszak bogaty pan we dworze;
Choć pragnienie głos wam trudni,
Teraz wyschła woda w studni,
Ale gdy się wszystko poźnie,
Pan uraczy was wielmożnie,
Da wam miodu, da wam wina!
Ej, złośliwa to ptaszyna!

Pijcie, żęncy, pijcie do dna,
Bo daleko wioska głodna.
Gdy wiosenne słońko wstanie,
Ciagną zboże na przystanie,

Wicinami k'Niemcom gonią,
A po wioskach w dzwony dzwonią,
Śmierć swe żniwa rozpoczyna...
Ej, złośliwa to ptaszyna!

Przepióreczka kwili w życie,
Panie wójcie, czy słyszycie?
Bieź do dworu, pański słuگو,
I przynieście strzelbę długą,
I zastrzelcie nam na dziwo
Przepióreczkę szczebiotliwą,
Niech nie jęczy, nie przeklina.
Ej, złośliwa to ptaszyna!

WÓJT.

Hej zwawo! czyż długo mam prosić?
Pilnujcie porządku na sznurze!
A dosyć tych pieśni, już dosyć,
Bo ja wam inaczej zawtórzę!
Czujecie, jak pali... jak parno...
Zachodnia zachmurza się strona;
Deszcz będzie... zamoknie mi ziarno...
Robota przy snopach stracona!
Hej, zwawo do kopy je znosić!
Zagrzmiało... zbiera się na burzę...
A dosyć tych szeptów, już dosyć,
Bo ja wam inaczej zawtórzę!

CHÓR.

Czujecie, jak pali... jak parno...
Zagrzmiało... to Pan Bóg się gniewa.
Wiatr chmurę napędza już czarną,
I grozi straszliwa ulewa!

HANNA.

Jakby krwią słoneczko po ziemi
Mignęło... i w chmurę się chowa;
A chmura kłębamii czarnemi
Wije się, jak chusta grobowa,
Świat zmienia w pieczarę podziemną.
Wiatr ustał... to cisza złowroga...
I straszno... i głucho... i ciemno...
Módlmy się! módlmy do Boga!

CHÓR.

Deszcz bujny kroplami już spada,
Wiatr zerwał się w czarnej pomroce,
Co spotka, uchyla, gruchoce...
Módlmy się, bo idzie zagłada!

RECITATIVO.

Wtem błyskawica, jak gdyby żmija,
Ognistem pasmem niebo przebija;
Piorun uderzył w rozdartą chmurę,
Aż ziemia drgnęła raz i powtórę,
I grom zahuczał w strasznym rozgwarze,
Strwożeni ludzie padli na twarze.

CHÓR ŻNIWIAREK.

A Słowo jego... a Słowo
A Słowo stało się Ciałem!
Nie racz nas, wielki Jehowo!
Karać piorunnym postrzałem.
Niech nas Twa łaska osłania
W miłosierdzie bogata!
W chwilę Twego zagniewania
Nie bierz pomsty ze świata.
Czy w dobry czas
Popieścisz nas,
Czy w gromie drgasz,
Tyś Ojciec nasz!
Tyś Ojciec nasz!

(Łoskot burzy przerywany szmerem modlitwy).

HANNA.

O! dzięki... dzięki Ci, Chryste!
Snadź już się Pan Bóg nie gniewa:
Przechodzą gromy ogniste,
Ucichła straszna ulewa.
Z pod chmury — dzięki Ci, Boże! —
Zachód rozwidnił się złoty;
Ale już wieczór na dworze,
Puśćcie nas, wójcie, z roboty!

CHÓR.

Człowiek pracować nie może,
Przemoknął w polu od słoty;
Oto już wieczór na dworze,
Puśćcie nas, wójcie, z roboty!

WÓJT.

Jeszcze z daleka i z cicha
Dochodzi nas łoskot gromu;
Idźcie już, dzieci, do domu!
Jam głodny, zmokły do licha!
Czuję, że serce mi wskrzesnie,
Kiedy się człowiek posili.

CHÓR.

Hanno! zaśpiewaj nam pieśnię,
To będzie wracać nam milej.

HANNA.

Po nocnej rosie
Płyn, dźwięczny głosie!
Niech się tve echo rozszerzy,
Gdzie nasza chatka,
Gdzie stara matka
Krząta się koło wieczerzy.

Jutro dzień święta,
Niwa niezżęta
Niechaj przez jutro dojrzewa;
Niech wiatr swawolny,
Niech konik polny,
Niech skowroneczek tu śpiewa!

Blisko już, blisko
Chatnie ognisko,
Znużone serce weseli;
Tam pracowita
Matka mię spyta:
— Ileście w polu nażeli?

— Matko, jam młoda,
Rąk moich szkoda,
Szkoda na skwarze oblicza!
Źle szła robota,
Przeszkadza słota,
I moja dumka dziewicza.

RECITATIVO.

Niemasz, jak w lecie święta niedziela,
 Dzień odpoczynku, chwila wesela!
 Gdy dzwon kościelny jutrznię wydzwoni,
 I wiatr swobodniej hula po błoni,
 I trzoda rankiem weselej ryczy,
 I człek zapomni przeszłych goryczy;
 Bo porankowych marzeń u ludzi
 Wójt kołataniem w okno nie budzi.
 Wolno ci, chłopcze, podniósłszy głowę,
 Nie dbać na groźne miny wójtowe,
 Wolno-ć się lubej słodko zalecić,
 Wolno ci, dziewczę, głowę zakwiecić,
 W świątecznej bieli wyglądać hożo,
 Idąc w gromadce na służbę Bożą.

A cóż w kościele? aż spojrzeć pięknie,
 Gdy przed obrazem gromada klęknie
 I uszanuje Twe rany, Chryste!
 Spojrzy w oblicze Matki przeczyste;
 Przy biciu dzwonów śpiewajcie pieśnię,
 Dusza ożyje i serce wskrześnie,
 I tak umocni modlitwa święta,
 Że żadnych cierpień człek nie pamięta.

Tylko wieczorem idąc z kościoła,
 Kiedy dźwięk skrzypiec w gospodę woła,
 I miód niedzielny myśli rozmarzy,
 Starzy biadają — zwyczajnie starzy,
 Oto w gospodzie gwar, zalecanka,
 Młodzież się rażno zwiја wśród tanka;

A otoczeni poważnem gronem,
 Stary Wasyli z kumem Szymonem,
 Trącąc w czarki, kiwając głową,
 Zrzedzą na ciężką biedę wioskową.

SZYMON.

Co to będzie? ciągle deszcze,

Już zmokła niwa;

Jam połowy nie zżał jeszcze,

Żal się Boże żniwa!

A gdy zboże chybi zbioru,

Będzie głód i nędza.

Miej w zapasie czynsz dla dworu,

Kolędę dla księdza.

Żona głodna, dziatwa naga,
 Spocząć ani chwili,
 Za niedobór wójt wysmaga ...
 Żle, kumie Wasyli!

WASYLI.

Ej, pamiętam lepsze czasy:
 Człowiek żył w rozkoszy,
 Zboża rosły gdyby lasy,
 Czynsz był kilka groszy.

SZYMON.

Ryba w koszu, a człek w biedzie
 Napróżno się sili ...
 Ciężkie czasy, mój sąsiedzie,
 Żle, kumie Wasyli!

WASYLI.

Ku gorszemu wciąż się wiedzie,
 W pracy krzepną dłonie ...
 Ciężkie czasy, mój sąsiedzie,
 Żle, kumie Szymonie!

SZYMON.

Prawda ... prawda ... źle się wiedzie,
 Lichaśmy dożyli;
 Ciężkie czasy, mój sąsiedzie!
 Żle, kumie Wasyli!

WASYLI.

Prawda ... prawda ... źle się wiedzie,
 W pracy krzepną dłonie;
 Ciężkie czasy, mój sąsiedzie,
 Żle, kumie Szymonie!

JANEK.

Dość jęczeć na biedę i pracę kłać mizolną!
 Drzemiecie, grajkowie! a niech was Pan Bóg kocha!
 W niedzielę, w gospodzie, po pracy spocząć wolno.
 I sercu dozwolić, niech sobie hula trocha.
 Starcowie! ojcowie! rozkażcie miodu wnieść!
 Dziewczęta! jagódki! ja będę taniec wieść!
 Wyskoczym, aż w niebie zazdrościć będą nam.
 Graj, stary muzyku! na struny grzywnę dam!

WASYLI.

Bies lichy przebędzie! Chłopaki, kółko czyńcie!
 Graj, stary muzyku! dostaniesz kufel miodu!
 Pamiętasz? pamiętasz? jak to przy twojej kwincie,
 W tej samej gospodzie, hasałem ja za młodu?
 Starcowie! ojcowie! niezgorszy był to czas!
 Dziewczęta! jagódki! nie było jeszcze was!
 Z waszemi babkami gdym hasał, ziemia drga!
 Graj, stary muzyku, bo mi się kręci ła!

CHÓR.

Bóg święty odgadnie, czy się zbierzemy skoro?
 Za chwilę, za dzionek, jesienne dni niezdrowe!
 Starcowie zmierają, chłopców do pracy biorą,
 Dziewczęta, jagódki zesmutnieć nam gotowe.
 Co przeszło, co przyjdzie, zapomnim póki czas.
 Ojcowie! starcowie! pobłogosławcie nas!
 My w tanku rześistym wzbijem gospodny pył,
 Graj, stary muzyku, dopóki starczy sił!

1852. Wilno (dom Müllera).

CHATKA W LESIE.

DZIWIACTWO DRAMATYCZNE
 W PIĘCIU USTĘPACH.

O S O B Y:

MARJA.

P. HENRYK, literat-poeta.

P. CZCIONKA, księgarz edytor.

P. Sędzia PŁODOZMIAN.

USTĘP PIERWSZY.

(Rzecz w ogrodzie publicznym).

HENRYK, CZCIONKA.

CZCIONKA.

Raduję się, że pana napotykam wreszcie,
 Ho! ho! latasz, łaskawco! masz intryżki w mieście...

Czemu nie? młodzi ludzie... bardzo temu wierzę.
Ja byłem razy ze trzy na pańskiej kwaterze,
A zastać go nie mogłem.

HENRYK.

Co chcesz, panie Czcionka?

Człowiek, idąc bez myśli, łącno się zabłąka.
Chodziłem na brzeg rzeki, splondrowałem góry.
Śmieszna to rzecz doprawdy ta miłość natury:
Codzień patrząc na widok jeden i ten samy,
Nigdy się nie napatrzym, ani nasłuchamy.
Koleje dnia i nocy, wieczoru i ranka,
Zdaje się już zużyta, znana powtarzanka:
Wiosna jest córką kwietnia, jesień listopada,
Latem słońce dopieka, a zimą śnieg pada;
A jednak w tych kolejach niebieskiej budowy
Codziennie i corocznie upatrzym wdzięk nowy.
Słuchaj, jak szumią drzewa, jak pluchocą wały,
Codzień ci coś doszepcą, czego nie szeptały;
Patrzaj na stare słońce: od tylu stuleci
Jednostajnym sposobem ogrzewa i świeci,
A jednak ile razy z poza chmury błysnie,
Zawsze ci słodki uśmiech na twarzy wyciśnie,
Codziennie zda się piękniej wschodzi i zachodzi.

CZCIONKA.

Najzupełniejszą słuszość mówi pan dobrodziej:
Natura, jasność słońca i bladość księżyca,
Nie spada ze swej ceny... to jest... nie przesyca.
Jej miłe, lubo zawsze jednostajne zmiany,
Porównałbym do książki dobrze napisanej,
Której co rok edycja dostarcza się nowa
I z Lipska, i z Poznania, z Warszawy, ze Lwowa,
Jednak wciąż ją kupują mędrcom i prości,
Bo stała się potrzebą naszej publiczności;
Zawsze będzie dla ducha pożyteczną strawą,
Czy ją wydasz *in quarto* albo *in octavo*.
Otóż z powodu książek, zapytam nawiasem:
Co pisze pan dobrodziej?

HENRYK.

Próżnuję tymczasem.

Lubię pochmurną jesień, jej mgliste poranki,
Lubię z dobrymi ludźmi sięść do pogadanki.

Tak przechodząc kolejno od gwaru do ciszy,
Czasem się coś wymarzy, czasem coś posłyszysz,
Niekiedy dobra książka do ręki mi wpadnie,
To wszystko w głębi duszy gromadzę bezładnie;
Bo z owych wrażeń życia — smutno czy radośnie,
Zawsze się treść wysączy i korzyść urośnie,
Albo sercu pociecha, lub głowie nauka.

CZCIONKA.

A! teraz zrozumiałem... to pan wrażeń szuka,
I z książki, i z natury, i z przyrody całej
Do przyszłego utworu zbiera materjały.
Niech mi się godzi spytać: czy ten utwór śliczny
Będzie w guście poważnym, czy humorystycznym?
Czy wierszem? czyli prozą?

HENRYK.

A broń Panie Boże!

Ja teraz nic nie piszę, nic w myślach nie tworzę;
Zbieram sobie bez celu wrażenia i fakta.

CZCIONKA.

Teraz pan nic nie pisze... chyba pod kontrakta.
Trzeba pańskiemu pióru z czemś wystąpić chlubnie,
Na kontraktach we Lwowie, Kijowie i Dubnie.
Co teraz mamy?... sierpień... aż mię strach ogarnia!
Wrzesień zajmie cenzura, październik drukarnia,
A tu jeszcze dla lepszej na oko odznaki,
Wypadnie dać rycinę, lub drzeworyt jaki...
Na wszystko trzeba czasu... Dalej, panie, dalej!
W zasłużony kałamarz atramentu nalej,
Spiesz, się, spiesz pan dobrodziej dobijać wawrzynu!
Od abstrakcyjnych marzeń czas wziąć się do czynu!
Co zaś do kosztów druku, pomówim w tym względzie.

HENRYK.

Ja nic nie będę pisał.

CZCIONKA:

Pan pisać nie będzie?

HENRYK.

Nie myślę.

CZCIONKA.

Pan nie myśli?

HENRYK.

Powtarzam raz trzeci.

Czytałeś pan o czarce, bajeczkę dla dzieci?
Ja nie chcę brać za pióro przymuszoną dłoń,
Ja nie chcę gonić natchnień...

CZCIONKA.

To niech pana gonia!

Zresztą... poco te żarty?... mnie oczy nie mylą:
Oto w pańskim mieszkaniu, kiedyś był przed chwilą,
Spojrzałem... broń mię Boże!... bez żadnej rachuby...
I widziałem na stole jakiś poszyt gruby.

HENRYK.

Nic tam z tego poszytu obcy nie skorzysta:
To prosty mój pamiętnik... to rzecz osobista,
To pismo nie dla druku, nieprzedażna praca.

CZCIONKA (na stronie).

Hm... autobiografia... to dobrze popłaca;
Można wydać z portretem...

(Głośno).

Pan dobrodziej mówi,
Że swój teraz poświęca czas pamiętnikowi;
O czym to, proszę pana?

HENRYK.

O wszystkim, mój panie.

CZCIONKA.

W rodzaju fantastycznym?...

HENRYK.

Mniejsza o nazwanie.

Skupiam wrażenia życia, rozkosze i ciernie.
Ręka drży mi, gdy piszę, a maluję wiernie;
Bo tu każdy obrazek, jak się w głowie kręci,
Rys po rysie przenosząc, maluję z pamięci.
Życie, to rzecz ciekawa, kto je pilno zbada:
W powszednich jego chwilach jest dramat nielada,
A cóż w dni uroczyste, lub w dni ciężkiej próby?
Oddaj je tylko wiernie, bez żadnej ozdoby,
Toć gotowi powiedzieć, że zmyślasz z przesadą —
Przy nim dramat Szekspira wyda się za blado.

Dni nasze, jak cień, giną, więdniję jak trawa,
 A doprawdy żal wspomnieć, bo to rzecz ciekawa!
 Co tu różnych obrazów! co tu różnych ludzi!
 Jedno rzewne westchnienie, drugie śmiech obudzi,
 Albo dumkę wywoła, albo przeszłość całą,
 Doświadczenie dawniejsze na przyszłość podziela.
 Wierzaj mi, panie Czcionka, uchylmy zasłonę,
 W pamięci znajdziem skarby nieukorzysznione.

CZCIONKA.

Skarby znajdziem? No proszę! któżby ich nie chwycił?
 Dlaczegoż mają leżeć, jak martwy kapitał?
 W obrót je, panie, w obrót! to za krótką chwilę
 Dadzą alterum tantum, to jest drugie tyle.

HENRYK.

Wielką myśl powiedziałaś... Tak, wzorem handlarza
 Podwaja własne życie, kto przeszłość rozważa.
 Weźmy pamiątki życia, spiszmy je najściślej,
 Wszystko, co się przecierpi, przekocha, przemyśli;
 Wykreślmy wierny obraz, choćby w mniejszej skali,
 Ludzi, co z nami żyli, miejsc, gdzieśmy bywali;
 Wpuśćmy tu woń powietrza, promień słońca złoty, ---
 A potem w dzień zwątpienia, smutku czy nudoty,
 Kiedy w życiu obecnem pocieszenia niema,
 Weźmy kartkę po kartce przesnuć przed oczyma;
 A rozważając życia minione koleje,
 Gdy się nieraz zapłacze, lub szczerze zaśmieje,
 Gdy się migną przed nami młodociane lata,
 Gdy serce po dawnemu w piersiach zakołata,
 Gdy twarze niegdyś lube zabłysną radośnie —
 Toć i wrażeń przybędzie, i życia przyrośnie.
 Jak żeglarz nad dziennikiem ubiegłej żeglugi,
 Podróż naszego życia odprawim raz drugi.

CZCIONKA.

Podróż... to bardzo pięknie... ja sternikiem służyć...
 Nasza publiczność lubi ciekawe podróże.
 Ale przebacź, że prawdę wyświecę ci naga:
 „Turczyn wojażujący“ i J a k ó b A r a g o,
 Toć oba podróżnicy, oba piszą dziwa;
 Ale T u r c z y n w księgarni stosami spoczywa,

A za „Podróż Arago naokoło świata“
Mniej więcej... codziennie prawie... oberwę dukata.
Bo dzisiaj wiek postępu.

HENRYK (zamyślony).

Tak.

CZCIONKA.

Wiek dziewiętnasty:
Dziś publiczność rozezna, co kwiat, a co chwasty,
Od rzeczy mdłych, bezbarwnych czytelnicy stronią;
Co jest kwiatem, niech będzie z narkotyczną wonią,
Co jest tylko pokrzywą... jest miejsce i dla niej,
Niech tylko pali, piecze i aż do krwi rani, —
Wszystko dobrze zapłaca, przyjmą jak najśłodziej,
Lecz trzeba mocnych wrażeń... słyszy pan dobrodziej?
Naprzykład, podróż pańska...

HENRYK (ocyka się z zamyślenia).

Jaka podróż, panie?

CZCIONKA.

Ach, przepraszam... pamiętnik... poufne wyznanie...
Coś w guście Lamartine'a...

HENRYK.

W moim własnym guście.

CZCIONKA.

Tworzycie nowy rodzaj... a i owszem! stwórzcie;
Niech tylko każda postać, którą nakreślicie,
Ma... jakby to powiedzieć?... ruch, wyraz i życie;
Niech się w każdej postaci dobitnie i rzeźwo
Jej własne charaktery, jej słowa odezwą...
Ja, widzi pan... w tych rzeczach nie jestem zbyt biegły,
Lecz takie wymagania jakoś się dostrzegły
W pismach krytyków naszych... pan rozumie przecie?
W Dzienniku i w Przeglądzie a nawet w Gazecie;
A z Dzienników, z Przeglądów, jak to w handlu widno,
Dzisiaj się i publiczność uczy być wybredną.
Czy pan to uważałeś?...

HENRYK (machinalnie).

Widzę wyśmienicie.

CZCIONKA.

I według tych wymagań kreślisz własne życie?
To pięknie! bardzo pięknie, zgoda co do joty!
Daj mi pan w kilku słowach szkic swojej roboty.

HENRYK.

Chcę, widzisz, panie Czcionka, moją przeszłość całą
Owiał takim powietrzem, jak się oddychało
W moje lata dziecinne. Niech z kart pamiętnika
Wieje aromat łąki, gdzienś łapał konika;
Chciałbym wydać ten odgłos na rzecznej zatoce,
Jako fala pienista po żwirze pluczoce;
Niech olcha gwarzy z olchą swych liści szelestem;
Niech mi się zda samemu, że ja dzieckiem jestem,
Że na kiju ojcowskim haruję ochoczo;
Niech mię lube dzieciństwa postacie otoczą,
Niech mię upominają, żem chłopak swawolny.
Chcę oddać dźwiękiem słowa pierwszy dzwonek szkolny
Niechby moich dzisiejszych czytelników łono
Zadrgało razem ze mną radością szaloną,
Gdym pierwszy raz nauki skończył w Imię Boże,
Gdy pierwszy list pochwalny rodzicom przywożę;
Chcę, aby w pamiętniku ów moment ocalał,
Gdy ojciec list przeczytał i łzami się zalał.
Chcę, utrwalić piskliwe organy u fary,
Gdym jeszcze służył do Mszy, a nasz pleban stary
Wyciągał „Święty Boże!“ całą siłą piersi;
A ludzie, w nabożeństwie gorliwsi i szczerzi,
Uniesieni modlitwy władzą tajemniczą,
W sto głosów niedobrych na odpowiedź krzyczą.
Lecz Bóg nakłaniał ucha do prostego wrzasku...
Tak to chciałbym obrazek przenieść po obrazku, —
Choćby tu nie błyszczały kolorytu dziwy,
Lecz każdy byłby rzewny, bo każdy prawdziwy.

CZCIONKA (na stronie).

Hm! obrazek domowy, nakreślony z duszy,
Będzie bujnego druku na kilka arkuszy.
Czuję węchem wydawcy, że to nie zła próba,
Że prześwietna publiczność dziełko upodoba.
Cóż dalej? słucham pana.

HENRYK.

Dalej, panie Czcionka,
Kolejno moje oko w przeszłości się błąka,
I czuję niepojęte artysty rozkosze.
Kiedy wszystkie jej rysy na kartę przenoszę.
Drży ręka, gdy się biorę za podobną pracę,
Oko łzami zapływa, a serce kołace.
A jednak wśród tych wzruszeń odżywam najśłodziej,
A jednak obraz wierny z pod pióra wychodzi;
Bo obraz w mej pamięci wyżył się pomału,
Przystroił się w tęczone barwy ideału.
Dziś dobitniej się może, niż wtenczas, odsłania
Kronika mojej wiary, mego wychowania,
Koleje pierwszych wrażeń: jak? kiedy? dlaczego?
Rozwój najdroższych uczuć, co mi serca strzegą,
Co mi nie dają zginąć w zwątpienia obłędzie.
Naprzykład: pierwsza miłość...

CZCIONKA.

Ho! i miłość będzie!
A przyznam się — począłem był tracić otuchę,
Bo psychiczne badania zwykły bywać suche;
Filozof je oceni, lecz ogół nie kupi.

HENRYK.

Nie bój się!... mój pamiętnik, to nie cmentarz trupi:
Tam na tle młodych rojeń, we właściwej szacie,
Ruszają się i żyją prawdziwe postacie.
Tam postać mojej matki, tam siostry, tam krewni,
Tam jest niejedna scena, co serce rozrzewni:
Mój dyrektor, i pleban, i włościanie z wioski,
I arendarz brodaty, faworyt ojcowski,
I szlachta, co poluje, i dziewczki, co przędą;
Jest nawet organista, co jeździ z kołędą.
Każdą postać maluję tak wiernie, tak święcie,
Że ją poznasz z oblicza, poznasz po akcencie,
Każdą łatwo odgadniesz po mowie i głowie,
Czego się nie domyślisz, serce ci dopowie.
Jedna tylko jest postać niedokładna nieco,
Bo serce nadto drżało...

CZCIONKA (ze śmiechem).

Tę postać... kobietą
(Widzisz pan, zem się rzeczy domyślił w tej chwili)
Jużbyśmy w edytorskim przypisku skreślili.

HENRYK (z zapalen).

Ty skreślisz, panie Czcionka? ty!... harpagon blady?!

CZCIONKA.

Ja, com czytał romanse, powieści, ballady;
Wszak w poetach miło jednostajna miarka.

HENRYK (z zapalem).

Choćbyś serce znał Tassa, choćbyś znał Petrarka,
Choćbyś oczy wyślepił w łacińskim Nazonie,
Nie zdołasz oddać nieba, co w jej oczach płonie!
Słuchaj... ja byłem stary... byłem bardzo stary...
Wśród bolesnych doświadczeń, wśród cierpień bez miary,
Za życia kamień grobu już czułem nad głową, —
Ona tylko spojrzała... jam odżył na nowo!
I odrzuciłem wszystkie moich cierpień roje,
I powagę lat moich, i marzenia moje;
A wtórując szczebiotom niewinnego dziecka,
Anim poczuł, jak mija godzina zdradziecka,
Jak mija cały dzionek... przyszedł zachód dzionka...
Jam przecie człek statysta — znasz mię, panie Czcionka,
I zadziwisz się pewno: skąd mi zapal służy?
Jam biegał na wyścigi pośród malw i róży,
Bo to było w ogrodzie — był wieczór majowy...
Wtem — Bóg wie skąd tęsknota obwiała nam głowy,
I usiedliśmy razem pod wierzbą pochyłą,
I bolesne westchnienie dwa serca przeszło,
I nie mogliśmy zgadnąć, choć nam głowę utnij,
Dlaczegośmy weseli? dlaczegośmy smutni?
Dziwne serce człowieka!...

CZCIONKA.

To dalipan dziwno!

Ja sam, słysząc od pana tę powieść naiwną,
Czułem, jak dreszcz tajemny przebiegł po mej duszy...
Co pan chcesz za pamiętnik, licząc od arkuszy?
Proszę mieć na uwadze, że to wydać myślę
In octavo minori, nie drukując ściśle.

HENRYK.

Co pan chcesz? nie rozumiem.

CZCIONKA.

Chcę nabyć tę pracę.

HENRYK.

Ależ to nie na sprzedaż!

CZCIONKA.

Ja dobrze zapłacę:

Pięć talarów za arkusz... zresztą, mniejsza o to,
Sześć talarów zapłacę i wydam z ochotą;
Edycyjka przepyszna, okładka różowa.

HENRYK.

Źle widać, panie Czcionka, pojąłeś me słowa:
Toż moja osobistość, moja dusza przecie!
Chcesz, abym własne serce stawiał na tandecie;
Ja tego nie sprzedaję!

CZCIONKA.

Widzisz pan, zem skory:

Za jeden arkusz druku octavo *minor*i
Płacę siedem talarów — widzisz pan, że dużo.
Dzisiaj trudno o pieniądz, dziś czasy nie służą;
Drukujemy, sprzedajemy, a straty ponosimy.

HENRYK.

Lecz, panie...

CZCIONKA.

No... pół-ósma — niech już będzie osiem;
Dawaj prędzej rękopism!

HENRYK (powstając z urazą).

Co pana ośmiela

Grać tutaj jakąś rolę ducha-kusiciela?
To pismo ciekawości niczyjej nie wzbudzi:
Kreśliłem je dla siebie, nie dla obcych ludzi.
Pan myślisz, że dam spocząć dla marnego zysku
Świątokradzkiej żrenicy na cichem ognisku?
Że dla waszej zabawki, choć w karykaturze,
Najdroższe memu sercu postaci powtórzę?
Że dla was własne piersi i serce otworzę,
Byście anatomiczne zatapiaли noże,

Abyście łzę bolesną, kiedy oczy gryzie,
 Mogli poddać chemicznej ścisłej analizie?
 Ja nie wyjdę na pokaz przed publiczne grono,
 Niegodzienem zaszczytu, by się mną trudniono.
 W serdeczny mój pamiętnik całą duszę włożę;
 Lecz to rzecz nie dla druku, panie edytorze!
 Ja siebie nie sprzedaję.

CZCIONKA.

I to mię nie dziwi:
 Ilu znałem poetów, wszyscy są drażliwi.
 Czyż ja panu krzywdzące przełożenia robię,
 Byś wychodził na pokaz we własnej osobie?
 Owszem... jeszcze rzecz sama na wartości zyska,
 Gdy się odmienią miejsca i osób nazwiska;
 A że tu pozwolona zupełna swoboda,
 Toć pan dla niepoznaki coś ujmie, coś doda.
 W przedmowie się zazwyczaj wiadomość udziela,
 Że to niiby pośmiertna praca przyjaciela,
 Odszukana w papierach — zresztą moja bieda!
 Jakoś się wydrukuję, jakoś się wyprzeda.
 Trzeba tylko obmyślić jakiś tytuł gładki,
 Naprzykład: „Podróż życia“, lub „Moje notatki“;
 Jak pan chcesz, bo co do mnie, byłbym za „Podróżą“.
 Widzę dobry punkt wyjścia, widzę ognia dużo;
 Gdy autor o swej pracy rozprawia z zapalem,
 Musi być rzecz niezgorsza i czarno na białem.
 Prawdaż?!

HENRYK.

Gorsza czy lepsza, ale nie na sprzedaż.
 Nie dam panu tej książki.

CZCIONKA.

Jakto! pan mi nie dasz?

HENRYK.

Bo to rzecz osobista, to rzecz dla mnie święta.

CZCIONKA.

Pan się, widzę, zbyt dużą sumiennością pęta.
 Potrzeba tylko dodać wstęp i zakończenie,
 Zmienić nazwiska osób.

HENRYK.

Ja nic nie odmienię
 I drukować nie myślę.

CZCIONKA.

Nie??

HENRYK.

Za nic na świecie!

CZCIONKA.

Dałbym panu zadatek w brzęczącej monecie.

HENRYK (z uśmiechem).

Schowaj twój pieniądz w worek, ja książkę w zacisze.

CZCIONKA (na stronie).

Nie przyjmuje pieniędzy... to pierwszy raz słyszę!

(Głośno).

Namyśl się pan наконец — pospieszmy z umową.

HENRYK.

To książka nie dla druku.

CZCIONKA.

To ostatnie słowo?

HENRYK.

Ostatnie i stanowcze.

CZCIONKA.

Niemasz z panem rady!

Bądź pan zdrow, kiedy moje odrzucasz układy!

Ja spieszę, nie mam czasu.

(Ściska mu rękę i odchodzi).

HENRYK.

Żegnam, panie Czcionka!

Ja sobie pójdę słuchać, jak wodospad brząka;

Pójdę...

CZCIONKA (wraca).

Za pozwoleniem — jeszcze jedno słówko:

Ja chcę kupić rękopism, ja płacę gotówką.

Odmawiasz pan?

HENRYK.

Odmawiam.

CZCIONKA.

Ha! to trudna rada!

Więc przynajmniej o jedno prosić mi wypada:
Byś tego pamiętnika, z którym tak się biedzę,
Nie odstąpił, broń Boże, mojemu koledze.
Ja, albo nikt nabywcą — daj pan słowo?...

HENRYK.

Zgoda!

Przyrzekam, że się nigdy do druku nie poda.

CZCIONKA.

A jeśliby przypadkiem, jeśli po namyśle,
Panbyś się zdecydował na projekt, co kreślę,
To wtenczas...

HENRYK.

Obaczmy — za rok, za dwa lata.

CZCIONKA (odchodząc, na stronie).

Jak mu grosza zabraknie, to sam zakołata.

USTĘP DRUGI.

MARJA, HENRYK.

MARJA.

Ty milczysz, jakbyś nierad, żem dzisiaj wesoła,
Wiesza się myśl pochmurna u twojego czoła.
Czy mię kochasz?

HENRYK.

Och, kocham całą duszy siłą!

A cóżby memu życiu radością świeciło?
Skądżebym czerpał siłę na ciernistą drogę?
Na świecie duszno... chłodno — ja tu żyć nie mogę...
Och! gdyby nie uczucie, którem żyję cały!
Tu niema dość powietrza na oddech zbolały!
Ja ciebie muszę kochać całą mą istotą.

MARJA.

Kochasz z musu — dziękuję! — ale mniejsza o to!
Czy wierzysz w moją miłość? — odpowiadaj szczerze.

HENRYK.

O! wierzę, moja luba, jak we świętość wierzę!
Tą wiarą tylko żyję, tą wiarą się pieczę...

MARJA.

A przecie jesteś smutny.

HENRYK.

Och! bo smutniej jeszcze
Być szczęśliwym, jak w raju, i żegnać się z rajem,
I nie czuć się w możności dać szczęście nawzajem.

MARJA.

Jak to?

HENRYK.

Posłuchaj, luba! jam zawinił srodze,
Żem ciebie śmiał pokochać, że tutaj przychodzę,
Żem rozdmuchał w twem sercu uczucia zarzewie.
O twojem przywiązaniu ani ojciec nie wie,
Ani świat się domyśla.

MARJA.

To i cóż za bieda?

Alboż myślisz, że ojciec mej ręki ci nie da?
On, co ciebie tak ceni, szacuje i kocha!
Zresztą, jeżeli widzisz, że to zdrożność płocha,
Że się czasem widujem w tajemnym sposobie,
Mów mi... mów mi, mój luby, ja co zechcesz zrobię.
Pójdę zaraz do ojca, opowiem rzecz całą:
Jak to się pokochało, jak miłość wyznało;
Kto kocha pełnem sercem, całą duszy mocą,
Nie ma się czego wstydzić, ani lękać o co.
Ja ci chętnie powierzam przyszłość mojej doli;
Ojciec wszystko pochwali, -- na wszystko zezwoli;
Czegoż tu więcej trzeba?

HENRYK.

O lube ty dziecię!

Tobie trzeba dostatku i szczęścia na świecie,
Twoja myśl taka czysta, dusza tak niewinna,
Samem szczęściem na ziemi oddychać powinna,
A ja cóż ci dać mogę?

MARJA.

Czegoż trzeba jeszcze?

Dasz mi serce wzajemne, dasz mi imię wieszczę,
Toż nam duszę zapełni, próżność zadowolni.
Będziemy sobie razem weseli, swawolni,
Poprzestaniem na chlebie i na niskiej strzesie.

HENRYK.

Ja nie mam własnej strzechy.

MARJA.

To kup chatkę w lesie.

Małą, z niskimi okny, otoczoną sosną.
Wkoło skopiem ogródek... tam kwiatki wyrosną;
Zaprowadzim rój pszczółek w gospodarstwo nasze,
Potem parę gołębi wpuszczę na poddasze;
Kupimy parę krówek — toć będzie mleko;
A w rzece, co za domem płynie niedaleko,
Pluchotać będą rybki, pływać ptactwo wodne.
Czyż jeszcze takie życie niedosyć wygodne?
Wszak my cichej natury wychowańcy prości;
Czy nam światu zazdrościć? — niech świat nam zazdrości.

HENRYK.

Lecz dola twoja świetna — rodzina zamożna...

MARJA.

Czyż dostatków na szczęście zamienić nie można?
A czyż jest większe szczęście nad ustronną ścianę,
Gdzie płynie jedno życie w dwoje serc rozlane?
Wkoło piękna natura, co nam oko bawi,
Nad nami dobry Pan Bóg, co nas błogosławi.
Słuchaj mię... w takim życiu myślami i duszą,
Mierność... nawet ubóstwo... koniecznie być muszą;
Będzie więcej uroku, popędu do pracy,
Serca nam nie potoczą lenistwa robacy,
Żwawo krzątać się będziemy o wzajemnej doli,
Jedno będzie bolało, gdy drugie zaboli,
Jedno cieszyć się będzie drugiego weselem,
I wzajem sobie drogę kwiatami uścieleć,
Tysiącznemi drobiazgi — wzajemną przysługą...
Obaczysz... będziemy młodzi na długo, na długo!
Marzę: ze snu raniutko wstajemy oboje,
Ja ci kwiatki podleję i krówkę wydoję,

Nazbieram słodkich malin i poziomek w lesie,
Ty sobie będziesz pisał, co ci myśl przyniesie.

HENRYK.

Albo pójdę ze strzelbą w majową pogodę.

MARJA.

Przyniesiesz mi jarząbka, albo sarnię młode,
A ja cię wyjdę spotkać... gdzieś... aż na rozdroże.

HENRYK.

A ja ci za to ładną piosenkę ułożę.

MARJA.

I zjemy smaczny obiad.

HENRYK.

I siądziem pod brzozą.

MARJA.

A ty mi coś przeczytasz wierszami lub prozą.

HENRYK.

A ty weźmiesz rysunek lub ręczną robotę.

MARJA.

Czasem z polnych stokroci wianek ci uplotę.

HENRYK.

Czasem ja pójdę z sochą.

MARJA.

Ej, na cóż ta socha?!

Choć zresztą nic nie ciężko, gdy kto szczerze kocha.
Ja wezmę sierp żniwiarki — me ręce odważne,
I całą kopę żyta za godzinę nażnę;
I wrócimy do domu, spoceni, znużeni, —
Obaczysz, jak wesołość twarzę opromieni!
I pobieżymy skocznie o wieczornej porze,
I łowić żwawe rybki będziem na jeziorze,
Jedną wędką? — nie prawdaż? jam biegła w tej sztuce;
Wstyd ci będzie, gdy zręczniejszy mój haczyk zarzucę.
I wrócimy do domu z plonem i z chichotem.
A sen nasz będzie błogi.

HENRYK.

Ani wątpić o tem!

MARJA.

Czy złe życie?

HENRYK.

To niebo!...

MARJA.

Głowa mi się pali!

HENRYK.

Stworzyć niebo na ziemi... zuchwali! zuchwali!
Czy tu takiego szczęścia doczekać się mogę?
Och, luba! z marzeniami ostrożnie, jak z nożem,
Bo ci serce zakrwawią, wysną po kropelce.

MARJA.

A czyż nasze marzenia tak zuchwałe wielce?
Innych upaja chciwość, albo pycha zdrożna,
A nam o chatce w lesie pomarzyć nie można?
Czyż to Boga rozgniewa, że nam będzie błogo?
Kup tylko cząstkę lasu malutką, niedrogą,
Kup ogródek do kwiatków i chatkę poziomą,
Choćby nietynkowaną, choć pokrytą słomą,
Dwie krówki, wędkę z haczkim i gołąbków dwoje, —
A już się ja o przyszłość nic a nic nie boję!
Znam ojca... on zezwoli... on pobłogosławi.
Otóż jak będą na nas patrzeli ciekawi!
Jak nam zajrzą zawistni! — lecz nie nasza wina:
A poco świat dla złota serca zapomina?
Niechże teraz zazdrości, niechaj się nam dziwi!
Jak porzuca egoizm, to będą szczęśliwi:
Wszak tacy sami ludzie, jak my, tak i oni,
Wszak Pan Bóg szczęścia duszy nikomu nie broni.

HENRYK (klęka z zapalem).

O luba! dziecko niebios szlachetne i piękne!
Z tobą się ciernistego życia nie przełękne:
Tyś zamknęła w uczuciu wszystkie marzeń światy!
Nie straszy mię ubóstwo; bo mój duch bogaty!
Ja spełnię twoje szczęście, — o czuję, że spełnię!
Bo kochać tak serdecznie, kochać tak zupełnie,
Kochać potęgą duszy nikt silniej nie zdoła!

MARJA (powstając z uśmiechem).

Ty chciałbyś ze mnie stworzyć ziemskiego anioła,
A ja prosta ziemianka — proszę cię, mój luby,
Kupując chatkę w lesie, pilnuj się rachuby:
Nie przepłacaj, to pierwsze; a twem okiem wieszczem
Patrzaj, czy dach gruntowny, by nie płynąć z deszczem;
A ważniejszy od pierwszych, to warunek trzeci,
Aby w lesie dość było poziomek i kwieci.
A zresztą Bóg nad nami, dziej się Boża wola.

HENRYK.

Kupię ci piękną chatkę, żyzny zagon pola,
I rzeczkę o błękitnej, kryształowej fali.

MARJA.

A kiedy to nastąpi?

HENRYK.

Za miesiąc najdalej.

MARJA.

Miesiąc... jakież to szczęście wabi mię z daleka!
Bądź zdrów — bądź zdrów, mój luby! bo mię ojciec czeka.

U S T Ę P T R Z E C I.

(Mieszkanie Henryka).

HENRYK, PAN SĘDZIA PŁODOZMIAN.

P. SĘDZIA (wchodząc ogląda na Henryka, mówiąc do siebie).

Twarz ma pełną prostoty... lubię takie twarze.

(Do Henryka, kłaniając się).

Czy tu mieszka pan Henryk?

HENRYK.

Co mi pan rozkaże?

SĘDZIA (zawsze z ukłonem).

Przepraszam... nie przeszkadzam... do nóżek się ścielę...
Jestem sędzia Płodozmian... słyszałem tak wiele,
Tak wiele chlubnych rzeczy o pańskiej osobie,
Że cieszę się serdecznie i winszuję sobie
Przyjemności poznania.

HENRYK.

A niechże pan siada.

SĘDZIA (siadając z ukłonami).

Spotyka mię w tej chwili przyjemność nielada:
Wyczytałem w gazecie, w numerku ze środy,
Że pan szukasz nabycia wioskowej zagrody,
Majątku w stronie leśnej.

HENRYK.

Majątku? broń Boże!

Po prostu chatki w lesie, — dwa morgi na zboże,
Parę ulów na pszczoły i kawał ogródka.

SĘDZIA.

Majątek... mająteczek... czy chatka malutka,
To prawie wszystko jedno... Otóż...

(Powstaje z ukłonem).

Co za radość,

Jego szanownym chęciom gdy uczynię zadość!
Mam właśnie mająteczek, bez gruntu, bez włości:
Mieszkali tam leśnicy, albo strzelcy prości,
Nie umieli korzystać, zwyczajnie prostacy;
Lecz tam troszeczkę gustu, a troszeczkę pracy,
Będzie złote jabłuszko, opasane lasem.
Lubisz pan polowańko?

HENRYK.

A poluję czasem.

SĘDZIA.

Tam, byle nie zbywało na dobrej ochocie,
Są kaczechki w jezioruku, są bekasy w błocie;
Wprawdzie błotko z jeziorkiem na gruncie sąsiada,
Lecz to pocziwa dusza... będzie panu rada.
Zresztą, pan, jak słyszałem, i wierszyki pisze,
A nie masz dla poety, jak leśne zacisze!
Tam wspaniałe zarośla, niebotyczne drzewa,
Wiater huczy w sosenkach, a słowiczek śpiewa,
Aż dusza się rozpływa. Ale z ideału,
Przepraszam, że na ziemię powrócę pomалу.
Pan tych rzeczy nie lubisz. ale trudna rada:
Bez korzyści poziomych ideał przepada!

Więc mówmy o korzyściach, jakie kupno niesie.
 Będiesz pan miał i grzybki, i jagódki w lesie,
 I ziółeczka lekarskie, bujne tak dalece,
 Że niezgorsze pieniążki można wziąć w aptece.
 Zresztą, dwa morgi gruntu, a łąki bez miary;
 Wprawdzie w polu piaseczek — na łące... wiszary,
 Zwyczajnie... postać lasu właściwa tym stronom.
 Ale pan masz naukę!... pan tęgi agronom!
 U nas kraj zaniedbany w prostocie wieśniaczej;
 Niech nauka w pustynie zagłębić się raczy,
 A znajdzie plon szeroki, niesłychany w mieście:
 Fizyk, chemik, botanik, archeolog wreszcie,
 Ktoś, jak pan, co wioseczkę rozpoznawszy trocha,
 I rozumem oceni, i sercem pokocha,
 Z cierniska stworzy róże — piękne, wonne róże.
 Jakże będę szczęśliwy, gdy panu usłużę!

(Siada).

HENRYK (z uśmiechem).

Jakaż tego obszerność?

SĘDZIA.

Ze trzy morgi może.

HENRYK.

A czy dach nie zacieka?

SĘDZIA.

Chowaj Panie Boże!

Przed kilkunastu laty przeciekały deszcze,
 Więc go pokryłem słomką — ta trzyma się jeszcze.
 Ideał wiejskiej chatki! a zwłaszcza w jesieni,
 Gdy się meszek na dachu bujnie zazieleni,
 To widok malowniczy, domowy, ojczysty,
 Co się gwałtem napiera pendzla pejzażysty.
 Och! pocóż interesa ciążące na karku
 Zmuszają mię zamieszkać w podmiejskim folwarku!
 Tam, tam znalazłbym szczęście, odpoczynek, zdrowie,
 Tam, w Czartowej Pustyni, — tak się chatka zowie.
 Nie zmieniałem tej nazwy — rozumiesz mię, panie!
 Bo ja kocham lud wiejski, szanuję podanie.
 W nazwie miejsca jest zawsze przeszłości oznaka,
 Musi być legendeczka, tradycyjka jaka;

Ktoś szczęśliwszy odszuka, wybada, wyszpera:
 Długo Troja czekała na swego Homera.
 Pan to lepiej rozumiesz, jako biegły w sztuce,
 Ja tylko myśl nastęrczam i projekcik rzucę,
 Ziarneczko w bujnej roli, wiem, że nie przepadnie.

HENRYK.

Nazwa dość malownicza, ale brzmi nieładnie.

SĘDZIA (zakłopotany).

Jak... to można odmienić, tylko z innej temy:
 Z Czartowej na Czarowną pustynię ochrzczimy,
 Wszak to zmiana malutka... tylko dwie litery...

HENRYK.

A dalekoż stąd do niej?

SĘDZIA.

Będzie mil ze cztery.

HENRYK.

Musiałbym to obaczyć.

SĘDZIA (powstając).

A i owszem! proszę!

Już panu jej zalety skreśliłem po trosze...
 Choć zresztą... jeśli, panie, lękasz się bezdroży,
 To się i tu na miejscu kontrakcik ułoży,
 Obustronną dogodność mając na uwadze.
 Już pan tylko zaufaj — ja pana nie zdradzę!

HENRYK.

Cóż pan cenisz tę chatkę?

SĘDZIA.

Za ów mająteczek

Dawano mi przed rokiem, bez najmniejszych sprzeczek...
 Dawano mi... tak... dobrze... coś się w głowie kręci...
 Licząc dwa morgi gruntu, ogrom sianożęci,
 Licząc zabudowania (niech się pan nie lęka),
 Bo przy chatce jest jeszcze obórka maleńka,
 Licząc drzewka, zarośla, olszniać gęstoliści,
 Kwiatki, grzybki, jagódki i dalsze korzyści,
 Wszystko, co można użyć lub spieniężyć w mieście,
 Dawano mi... talarków... trzy tysiące dwieście.

HENRYK.

To za drogo, mój panie.

SĘDZIA.

To wcale niedrogo:

Zapytaj pan sąsiadów, choćby Bóg wie kogo,
Co powiedzą o mojej Czarownej Pustyni?
Co dziś daje intratki? co kiedyś uczyni?
Za drogo!...

(Zamyśla się).

Co tu począć?... ale mniejsza o to:
Owe dwieście talarków odstąpię z ochotą;
Więc tylko trzy tysiączki.

(Kłania się).

To za bezcen, panie, —

I wszystkie koszta prawne, poszlina, przyznanie,
Przytem intromissyjka do ustroni w lesie,
To panu jedno z drugim... niewiele wyniesie,
Bagatelka, drobnostka... Kończmyż o pustyni.
Mój szacunek dla pana natrętnym mię czyni;
W rzeczach serca jam miękki, u mnie krew nie woda;
Majątek za bezcen... lecz duszy osłoda;
Nie żałuję, żem zrobił ustępstwo tak duże:
Może tem jego przyjaźń szanowną zasłużył.
Co tam! cztery tysiączki każdy mi wyliczy;
Ale gdzie tyle szczęścia, gdzie doznam słodczy?
Gdzie tyle przyjemności?

HENRYK.

Dziękuję, panie, dzięki!

SĘDZIA.

Więc kończmy interesik drobnutki, maleńki.
Podaję waruneczki dla pana korzystne;
No! dobijajmy targu — niech dłoń pańską ścisnę —
Trzy tysiączki, bagatel!

HENRYK.

Ja myślę inaczej:

Bo dla mnie taka kwota bardzo wiele znaczy.
Muszę siebie obliczyć, porachować ściśle;
Daj mi pan nieco czasu, niech trochę pomyślę.

SĘDZIA.

A i owszem! i owszem! bardzo mi przyjemnie.
Wprawdzie inni stanowczo chcą słowa odemnie,
Prędziutko chcą zapłacić ów leśny zakątek;
Lecz dla pana poczekam. Co dziś mamy?... piątek,
Więc w niedzielę stanowczo... skończymy i dosyć.
Miałbym jeszcze prośbę — jeśli wolno prosić —
Byłbym uszczęśliwiony nad wszelkie wyrazy:
W niedzielę po mszy świętej — na barszczyk i zrazy,
Na szlachecki obiadek zajdź, łaskawy panie.

HENRYK (z ukłonem).

Z największą przyjemnością przyjmuję wezwanie.

SĘDZIA.

Obiadek, obiadek — czem chata bogata!...

(Patrząc na zegarek).

Jak w miłym towarzystwie czas prędko ulata!
A tu pracy... co pracy! aż się w głowie kręci!
Żegnam... dobremu sercu... łaskawej pamięci
Polecam się, polecam!

(Podaje rękę).

HENRYK.

Żegnani pana szczerze.

SĘDZIA.

Więc w niedzielę...

HENRYK.

Pan moją odpowiedź odbierze.

SĘDZIA.

Ułożym waruneczki, pogadamy z bliska.
Do miłego, prędkiego z panem obaczyska!

(Kłania się raz jeszcze i odchodzi).

HENRYK (sam).

Przeczuwam — choć to przeczuć nie tak trudna sztuka,
Że ten greczny jegomość gładko mię oszuka.
Trzy tysiące... dla niego taka mała kwota,
A ja za całą pracę nędznego żywota
Nie zdołam tyle zebrać... Dałbym mu z ochotą,
Niechby sądził, że ujął swą grzecznością złotą,

Że wykrętną wymową oszukał prostaka.
Mniejsza o to... niech sądzi... ale kwota taka,
Skąd ją wezmę?... A gdzie tam!... nie myśleć o chatce.
Mam półtora tysiąca po umarłej matce,
Mam srebro, co pamiątką po rodzicach służy,
Z ojcowskiego żupana mam dyament duży,
I to sprzedam... O, święte mych rodziców cienie!
Przebaczcie, że ja waszych pamiątek nie cenię...
Matko!... chciałaś mi szczęścia! paniętam twą duszę:
W tej chatce szczęście moje... ja nabyć ją muszę...
Szczęście tej, którą kocham nad duszę, nad życie,
Co tak mi się powierza w dziecięcym zachwycie!...
Roję niebo w pustyni — och! kiedy przypomnę
Jej marzenia niewinne, pracowite, skromne!
I teżby się rojenia przeze mnie zawiodły?
Czyż tyle niedołężny — czyż tak jestem podły?
Nie! rodzice przebaczą, żem w tak ważnej chwili
Naruszył te pamiątki, co mi zostawili...
Ojcze, ty mię pożegnaj na mój zawód nowy!
Matko, pomódl się za mną do tronu Jehowy!...

(Po chwili zamyślenia).

Tak... zbiorę dwa tysiące... ale skądże trzeci?
Iść do możnych przyjaciół, do szczęśliwych dzieci,
I żebrać o pożyczkę, czy może o wsparcie? —
Prędeż u drzwi kościelnych żebrałbym otwarcie!
Czy ująć topór cieśli, albo młot kowala?
W dzień i w noczym pracował — co siła pozwala...
Lecz bezczynność szlachecka i pycha wyniosła
Rozmiękczyły mi ręce... nie umiem rzemiosła!...
Pióro moje! dla ciebie wyrzekłem się świata;
Czy ty mię wyratujesz, gdy nędza przygniata?
Złota mi dzisiaj trzeba, złoto niech zagarnę!
Ty mi dajesz ubóstwo i oklaski marne...
Och! dusza za oklaski szczęścia nie nabędzie...
Precz, niedołężnej myśli dziecinne narzędzie!

(Rzuca pióro z gniewem).

(Po chwili uspokojenia mówi zwolna i z uśmiechem).

Ot gdyby tu na przykład, jak w starej balladzie:
Przychodzi do mnie szatan i wór złota kładzie,
A za kilka lat życia i talarów tysiąc
Cyrograf na mą duszę kazałby poprzysiąc...

(Zrywa się z rozpaczą).

Dziśbym przysiągł... och! przysiągł, nie zwlekając dłużej.

CZCIONKA (wchodząc).

Dzień dobry, drogi wieszczu! Jak zdrowieczko służy?

HENRYK, P. CZCIONKA.

HENRYK.

Przybywasz w samą porę.

CZCIONKA.

To mi bardzo miło.

HENRYK.

Pomnisz, co się niedawno w ogrodzie mówiło?
O moim pamiętniku?

CZCIONKA (do siebie).

Właśnie szedłem po to:
Lecz musi być poeta ściśniony biedotą,
Gdy pierwszy rzecz zagaja, co się tyle drożył.
Trzymajmy się odpornie.

HENRYK.

Jużem się ułożył...

Jużem się zdecydował.

CZCIONKA.

Co?

HENRYK.

O pamiętniku.

CZCIONKA.

Przepraszam... u mnie zawsze kłopotów bez liku,
Czasem się zapomina — jak to było? proszę...

HENRYK.

Jużem ci, panie Czcionka, wspominał po trosze:
Pamiętnik mego życia, młodych marzeń roje,
Com je kreślił, maczając we krwi pióro swoje,
O mego życia rannej i późniejszej dobie,
Spowiedź myśli i uczuć.

CZCIONKA.

Przypominam sobie.

Myślałem wtedy szczerze o tym manuskrypcie;
Ale pan się uparłeś: Choć złotem osypcie,
Nie dam, nie dam i nie dam! — Wola, to nie żarty;
Trudno znaleźć lekarstwo, kiedy kto uparty.

HENRYK.

Teraz się rozmyśliłem, bo mam potrzeb dużo.

CZCIONKA.

Widzi pan, że mi teraz finanse nie służą,
Drukarnia zatrudniona, a handel w tej porze
W stagnacyjnem uśpieniu — nie dopuszczaj Boże!

HENRYK.

Więc nie chcesz pamiątki? odrzucasz mą pracę?

CZCIONKA.

Któż mówi, że ja nie chcę? — wezmę i zapłacę;
Lecz wtedy powiedziałem za drogo... za drogo!
Dzisiaj się rękopisma przepłacać nie mogą.
Druk, panie dobrodzieju, kosztuje niezmiernie.
Opłacaj robotników, opłacaj papiernie,
Ogłaszaj w katalogach, ustępuj rabata,
A książeczka na półce spoczywa trzy lata,
Publiczność ani spojrzy, choć jej wiernie służę —
Stagnacja niepojęta dziś w literaturze.

(Wzdycha).

HENRYK.

Bez przedmów, panie Czcionka, kończ twoje nabycie.
Ja sprzedaję krew moją, sprzedaję me życie,
Dziś frymarczę na srebro święte dla mnie karty,
Przedaję kawał serca z mej piersi wydarty;
A boleść mojej duszy trzymając na wodzy,
Poodmieniam nazwiska tych, co sercu drodzy,
Dam inszą nazwę miejscu, gdzie byłem w kolebce,
Gdziem się uczył, gdziem kochał, — miejsca, co wyszepcę
Konającemi usty — wszystko to odmienię,
Za lichą garstkę złota po księgarskiej cenie;
Zrobię z moich świętości zarobku narzędzie.
Masz pięć grubych sposzytów — z każdego tom będzie.
Co mi płacisz?

CZCIONKA.

Hm! płacę wedle słusznej miary,
 Za każdy arkusz druku po cztery talary;
 Jak pan chcesz... nie przymuszam... nie odbieram gwałtem.

HENRYK.

Cóż mi dasz za pięć tomów, kupując ryczałtem?

CZCIONKA (przeglądając jeden z zeszytów).

Pisano tak rozwlekle... cóż robić?... dam dwieście.

HENRYK.

O! zmiłuj się...

CZCIONKA.

Panowie drażliwi jesteście;
 Dam więc dwieście pięćdziesiąt, a zadatek z góry.
 Dzisiaj strasznie złe czasy dla literatury!
 Dwieście... dwieście talarów, to nie tanio, sędzę.
 Napisz mi pan cessyjkę, ja płacę pieniądze.

HENRYK (do siebie).

Do tysiąca daleko... lecz pan sędzia może
 Zechce mi coś ustąpić... Co za radość! Boże!
 Będę miał chatkę w lesie, ona d'łoń mi poda!...

CZCIONKA.

Zgoda, łaskawy panie?

HENRYK (oddając mu rękopism).

O, zgoda już, zgoda!

Jesteś panem krwi mojej, łez moich i pracy...

CZCIONKA (do siebie z uśmiechem).

Finis coronat opus — powiedział Horacy.

USTĘP CZWARTY.

(P o r o k u).

MARJA (sama).

Rok czasu... co tych odmian i w sercu, i w świecie!
 Mówią, zem wyładniała — to słuszna kobiecie;

Przybyło doświadczenia i rozumu trocha;
Dziś nibym stateczniejsza, niby bardziej płocha —
Nie zgadnę, czy to wada, czy może zaleta?
Ale mówi sumienie, żem dzisiaj już nie ta...
Przed rokiem — kiedy w myślach poczną się unosić,
Czułam, że chatki w lesie byłoby mi dosyć;
Dziś widzę, że w tej chatce byłoby mi ciasno:
Tam życie spowszednieje — tam wdzięki zagasną,
Tam, nim się obejrzymy, nim przetrzemy oczy,
Toć i starość nadejdzie, to i śmierć zaskoczy.

A Henryk... jeszcze wierzy... gdzieś tam chatkę kleci...
O! mężczyźni lalkami bawią się, jak dzieci,
Będą o życiu, sercu prawili bez granic,
Ale serca i życia nie znają nic a nic.
Biedny... teraz w pustyni leśnej gospodarzy;
Płodozmian go bezczelnie oszukał w przedaży;
A on, kupiwszy chatkę w bezludnej oddali,
Gdzie dach podziurawiony, gdzie się ściana wali,
Urządza się, przystraja, pracuje od roku,
I jeszcze pięknych marzeń nie stracił z widoku.

Nie... albo on dziecinny, albow ja zepsuta: .
Dla mnie dzisiaj samotność to ciężka pokuta.
Nie chcę go dłużej zwodzić — próżno się kłopotą...
Co ja pocznę wśród sosen, pustyni i błota?...
A jednak gdy pomyślę... o Boże łaskawy!
Na co ten świat i ludzie? na co te zabawy?
Jeszcze dzisiaj instynktem czuję, jak to błogo
Żyć naturą i sercem, nie widzieć nikogo,
Na zawsze serce z sercem zjednoczyć się ściśle...
Boże! daj mi natchnienie... doprawdy pomyślę...

Tymczasem dzisiaj wieczór — a mnie coś się marzy,
Że strój biały z różowym będzie mi do twarzy;
Tam czeka tyle cukrów, tam młodzieży tyle,
Tańczę wszystkie mazury i wszystkie kadryle;
Czyż dla mnie leśna pustka?... ja, co gwar tak lubię?...
Śmiesznie o tem pomyśleć!

(Do służącego, który wchodzi).

Co tam chcesz, Jakóbie?

SŁUŻACY.

Pan Henryk w przedpokoju.

MARJA.

Pan Henryk... w tej porze!
Cóż mu biedna odpowiem? — o Boże mój, Boże!

HENRYK, MARJA.

MARJA (patrzac na wchodzacego).

Jaki bladý, znękany, znużony przez drogę!
On wart szczęścia... wart szczęścia... ja go dać nie mogę...
Byłoby niesumienne uwodzić go dłużej.

HENRYK (wchodząc z uśmiechem).

Marjo! jakżem szczęśliwy!

MARJA (zimno podając mu rękę).

Witamy z podróży!

Jakże się powodziło?

(Zakłopotana, patrząc w okno).

Ale jak dziś chłodno!

HENRYK.

Urządziłem w pustyni zaciszę wygodną,
Lecz nimem ją wystroił, urządził tak ładną,
Och! sądziłem, że ręce z rozpaczý opadną.
Przedawca mię oszukał — wziął cenę w trójnasób;
Wyczerpałem grosz wszystek — cały męstwa zasób.
Gdyby mię nie pokrzepił Bóg i silna wola,
Gdyby nie błoga przyszłość — nie dotrwałbym pola!

MARJA.

Na cóż było tak wiele utrudnień ponosić?

HENRYK.

Znalazłem chatę prostą i starą już dosyć,
Co się chwiała z podwalin z każdym wiatru świstem;
Znalazłem kilka sosen na polu piaszczystem,
Pełny chwastów ogródek — dokoła płot stary
I okiem nieprzejrzane bagniste obszary...

MARJA.

O jakaż to pustynia okropna i dzika!
Jak tam nudno być musi... aż mię dreszcz przenika!

Osobliwsza wytrwałość! i pytam, co skłania
Mieszkać coś blisko roku w tej ziemi wygnania?

HENRYK.

Możnaż się o to pytać?... Cały rok miniony
Tęsknota rwała piersi — duch leciał w te strony;
Lecz przyzwawszy twój obraz oczyma mej duszy,
Wezwawszy silną wolę, co skały poruszy,
A poruszywszy zapas ostatni ojcowski,
Wezwałem lud pocziwy z okolicznej wioski,
I czułem się w mej duszy najszcześniejszym z ziemian,
Z siekierą i z ołówkiem pracując na przemian.
Ociosywałem kłody, rysowałem plany,
I stanął piękny domek, maleńki, drewniany.
Ganek, przyzby, ławeczki urządzone cudnie;
Czyste, jasne okienka patrzą na południe.
Pod oknem rosła grusza stara, rozsochata,
Co się z sąsiednią sosną konarami splata;
Skorzystałem z tej pięknej igraszki przyrody:
Te drzewa zdobią ogród nad wszystkie ogrody.
Bo sąsiedni szlachcice, serdeczni a prości,
Nieśli jeden przed drugim dowód uprzejmości:
Ów podarował wiśnie, drugi malin krzewy,
Inszy szczepy owoców, ów kwiatów zasiewy,
Trzeci przysłał ze włości cały rój kopaczy,
Inszy sam kopie ziemię i drożyny znaczy.
Dopomogli swą radą, pomocą kzepili.
Jeden z nich, dobra dusza... mieszka o pół mili;
Wiedząc, że pragnę strumień mieć kędyś poblisko,
Kazał na własnej łące zmienić wód łożysko,
I dzięki serdeczności pocziwego czleka,
Płynie od naszej chatki rzeczka niedaleka.
Udzielono mi drzewa, robotników, cieśli,
Przesypali stodołę, oborę przenieśli.
Jam zbudował altanę... zasadził powoje.

(Wydobywając papier).

Spojrzyj na ten rysunek — to dziedzictwo moje.

MARJA (patrzac na rysunek zamyślona).

Doprawdy piękna chatka... cudny widok z domu;
Trzeba wkleić tę chatkę do mego albumu.

(Do siebie).

Jeżeli będę panią możną i bogatą,
Każę takie ustronie zbudować na lato.

(Głośno).

Ależ to chatka w lesie idealna chyba?

HENRYK.

Nie, Marjo! wiernie zdjęta — to nasza siedziba.
A jak tam już wesoło! jak tam już zamożnie!
W stodole będzie chleba, gdy się wszystko poźnie,
W oborze kilka krówek — będzie mleka suto;
Tu buduję gołębnik — już zręby zasnuło;
A w tym lasku — czy wierzysz? co nie było z wieka,
Słowik do nas pocziwy przyleciał z daleka,
I już przez całą wiosnę sprawiał mi wesele,
I dodawał otuchy wywodząc swe trele.
Wszystko się nam przymila, uśmiecha słodyczą;
A pocziwi sąsiedzi jak cię poznać życzą!
Mieć będziesz wkoło siebie dobrych serc bez liku...
Cóż?... podajesz mi rękę?

MARJA.

Nie, panie Henryku!

Szczęśliwi są poeci, co umieją roić,
I biedną chatkę w lesie w ideał przystroić.
Ja cenię pańskie serce, pańskie poświęcenia;
Lecz rok w życiu kobiety... ach, wiele przemienia!
Nie pytaj pan przyczyny — bo cóż zgadnąć można?
Jam może doświadczeńsza, może bardziej próżna.
Marzenie swoje prawa, świat swoje ma prawa.
Ja nie znam drogi życia — a jam jej ciekawa.
Czyż mam kłamać dziecinne, przesadzone chęci?
Uroczą chatka w lesie już mię dziś nie nęci;
Wyborna do sielanki lub do krajobrazu,
Lecz serce młodociane przesyci od razu.
Ja, łapając motyle przy szumiącej strudze,
I sama się zanudzę, i pana zanudzę.
Musimy czarę życia wypijać aż do dna:
Ja kocham pańską chatkę — alem jej niegodna.

(Zakrywa rękami twarz i odchodzi).

USTĘP PIĄTY.

HENRYK, CZCIONKA.

CZCIONKA.

A to ciekawe rzeczy!... Stracić się do grosza,
Zbudować chatkę w lesie — i dostać odkosza!
Widzi pan, jak to w życiu dziwniej się wydarza
Niż w najlepszych powieściach jakiego pisarza.
Opisz choćby najwierniej... powiedzą: przesada!
I nieznajomość serca recenzent ci zada.
Lecz ja wiem z doświadczenia, widzi pan dobrodziej,
Że krytyka sprzedaży książki nie zaszkodzi;
Owszem, im więcej krytyk na jakowe dzieło,
Tem się prędzej wydanie z handlu wyczerpnęło.
Już gorzej, kiedy milczą... Czego pan tak blady?...
Pogadamy spokojnie, skończymy układy:
Już pamiętnik pod prasą... a druk leci cwałem...

HENRYK.

Czy pan kiedy kochałeś?

CZCIONKA (zmieszany).

Czy ja się kochałem?

Uważa pan... że miłość, biorąc rzeczy ściślej,
Potrzebuje i czasu, i swobodnej myśli...
A jam zawsze w obrotach, w rachunkach, w pogoni...
Co tej pracy! co pracy!... to niech Pan Bóg broni!

HENRYK.

Szczęśliwy, kto nie kochał. czyje serce wędnie,
Lub kto kochał pół-sercem, a wierzył ogłędnie!
Lecz biedny, kto zaufał bez granic, bez miary
Słowom prostym, niewinnym a pełnym ofiary,
Kto, słysząc słowa święte, bo wlane z duszy,
Mniemał, że tych przekonań już nic nie poruszy!
Och! ale myśl kobiety ruchoma. jak fala,
Co się najłżejszym wiatrom kołysać pozwala:
Dziś odbija niebiosą, jutro chmurę czarną,
Najsprzeczniesze wrażenia jej serce ogarną.
Gdy ci obraz swych zasad, swej duszy otworzy,
Kiedy z ust jej natchnionych przemówi duch Boży,

Poczujesz, jak się dziwnie twa istota zmienia,
Zapłaczesz w zbytku szczęścia, klęknieś z uwielbienia,
I jak Dante, płomieniąc natchnione oblicze,
Odpawisz spowiedź ducha przed twą Beatrycze —
I cały człowiek ziemski w tej spowiedzi zginie,
Staniesz się wielkim w myślach a olbrzymim w czynie...
Ale chwila upływa — o biada ci, biada!
Patrzaj! oto twój anioł z obłoków upada;
Nie ciesz się twojem szczęściem, najszcześniejszy z ludzi:
Samolubstwem twe serce boleśnie ostudzi,
Płochością je zakrwawi, igrając wesoło, —
I będziesz martwym wzrokiem poglądał wokoło,
I pytał sam u siebie, patrząc w jej lica:
Gdzie się podziała święta niebios posłannica?
A świątynia twej duszy rozpadnie się w zgliszcze,
Bo już przestaniesz wierzyć w two cudne bożyszcze...
I ku zbolałym piersiom twoja głowa zwiśnie,
Jak bezsilny załamiesz ręce bezkorzystnie...
Przeszła twa chwila czynu, boś z wiary wyzuty;
Wśród żywych jesteś trupem, jak upiór pokuty...
Tylko jedno zostanie uczucie złowieszcze:
Przeklinasz swoją miłość, ale kochasz jeszcze!

CZCIONKA.

O jak pięknie, jak żywo malujesz pan duszę!
Tylko z jednym zarzutem odezwać się muszę:
Że z podobnym zapalem wylewając bole,
Trzeba zawsze mieć papier i pióro na stole,
I notować wrażenia w tak przyjaznej porze;
Na co ma się ulatniać, co w druku być może?

HENRYK (ocyka się z zapomnienia).

Jesteś tu, panie Czcionka? — Ach! przepraszam pana!
Radzisz mi zapisywać, gdy dusza znękana:
Piękna zaprawdę rada — i pytam, co znaczy?
Pocóż mam upamiętniać słowa mej rozpacz?
By znienawidzić ludzkość?... ja chcę kochać ludzi!
By żyć temi bluźnierstwami, co rozpacz obudzi?...
By, czytając, odnawiać dręczące tortury?...

CZCIONKA.

Ależ dla dobra świata... dla literatury...
Słyszałem od autorów, widzi pan dobrodzieju,
Że myśl — to salamandra, co się w ogniu rodzi.

HENRYK (tamując oburzenie).

Przepraszam, panie Czcionka! ale powiem szczerze:
Już dzisiaj do klientów pańskich nie należę.
Ja nie byłem autorem gwoli marnej pysze,
Pisałem dla mych braci — cóż im dziś napiszę?
Czy z głowy? — biedna głowa marzy bezrozumnie;
Czy z serca? — dzisiaj serce odrętwiało u mnie;
Miotalbym złorzeczenia? wylewał żółć z pióra?
Och! dosyć takich żółci ma literatura.
Czy rozpaczliwe myśli rzucać w serca czyje?
To grzech, to ciężka zbrodnia! — świat złudzeniem żyje!
Niech żyje w swojej wiary zbawiennym zakresie.
Pójdę z mojem zwątpieniem do mej chatki w lesie:
Tam w obliczu przyrody, wśród serdecznych ludzi,
Może się lepsza wiara i we mnie obudzi.
A kiedy się spostrzę, że na rozpacz zbiera,
Wyratuje mię praca, socha i siekiera,
Wyratuje modlitwa, albo myśl pobożna;
Bo w lesie ta pociecha — że się modlić można,
A zresztą kilka książek, co mam w mojej szafie,
Rozbije gorzkie myśli...

CZCIONKA (do siebie).

Do końca nie trafię!

Dzisiaj panicz w gorączce... ale to przeminie.

(Głośno).

Podam panu projekcik... projekcik jedynie:
Kiedy pański pamiętnik już dziś u mnie w prasie,
Może go uzupełnić autorowi zda się?
Trzeba zrobić ofiarę piśmienniczej muzie:
Powieść o chatce w lesie... o pańskiej rekuzie,
O tem, jak to kobiety do zmienności skore,
Skreśliwszy piórkiem pańskim — ale *con amore*,
Pozmieniawszy nazwiska, ujawszy, dodawszy,
Stanie się koniec dziełka daleko ciekawszy,
Przyczyniłoby druku dwa arkusze blisko...

HENRYK (z urazą).

Chcesz podać moją boleść na urągowisko?
Kto pana upoważnił do podobnej mowy?...
Żem ci dał spowiedź duszy — pamiętnik domowy,
Że, jak kuglarz uliczny, za grosz i oklaski
Najdroższe sercu twarze postroiłem w maski,

Że, wywodząc na scenę twego targowiska,
 Zmieniłem drogich osób, drogich miejsc nazwiska,
 Żem kości mych rodziców oddał ci na sprzedaż;
 To już przez całe życie spokoju mi nie dasz!...
 I w każdej świeżej ranie każesz maczać pióro,
 I każesz zapisywać każdą myśl ponurą,
 Każde słowo rozpaczy!... Czyż mam znosić dłużej?...
 Żegnam cię, panie Czcionka, bo mi krew się burzy!...

CZCIONKA (sam, patrząc za odchodzącym).

Iritabile genus... ale wiem, co zrobię:
 Powieść o chatce w lesie zanotuję sobie,
 I któremu z autorów jako plan przedstawię:
 Niechaj mi to obrobi żywotnie, ciekawie...
 Hm! oni to umieją, jak pokręca głową...
 Trochę humorystycznie, trochę uczuciowo,
 Jak to lubi publiczność. No! w żwawym zapędzie
 Piszę jutrzejszą pocztą... ot i książka będzie!
 Maj, 1855. Borejkwoszczyzna.

CHATKA W LESIE.

DZIWACTWO DRAMATYCZNE. CZĘŚĆ DRUGA.

OSOBY:

HENRYK.

MARJA.

PAN MARSZAŁEK, ojciec Marji.

PAN SEDZIA Płodozmian.

TRZASKA, stary myśliwy, sąsiad Henryka.

MATEUSZ, stary służący tegoż.

WIEŚNIACY.

USTĘP PIERWSZY.

(Ciemny las — opodal schludna chatka).

HENRYK (zamyślony, siedząc na wywróconej kłodzie, mówi do siebie).
 Jak tu miło, jak w raju, choć ciemno, jak w grobie!
 Jak tu rzeźwo mym piersiom, po ciężkiej chorobie!...
 Serdecznie bądź pozdrowion ciemnych puszczy namiocie!
 Tak dawno z całą żądzą garnałem się do cię;

Lecz głuszon gwarem świata, kędy troski bodą,
Człek nie czuł się być godnym rozmawiać z przyrodą;
Duch niedosyć był święty, niedość uroczysty,
Rozwagać szelest dębów, albo jodeł świsty,
Nie rozumiał strumyka, co wśród olszyn burczy,
Zapomniał pisku wilgi i mowy przepiórczej...
Część tutaj była mojej, część nie mojej winy...
Ot: jak ten trup zwalonej na ziemię sośniny,
Czemu się nie podniesie? czemu nie zieleni?
Bo ma próchno pod korą, a robactwo w rdzeni,
Bo sam środek jej piersi młodzieńczej, a wątłej
Porozbijały żółny, poraniły dziatły.
Rozsochate jej ręce zielenią się, kwitną,
Ale to mchem zielonym, trawą pasożytną...
Tak i z sercem człowieka, tak i z głową jego:
Gdy niedole obarczą, gdy troski oblegą,
Życie niby to tleje, krew obrót swój kreśli,
Lecz karmi pasożytne uczucia i myśli.
Kiedy ręce opadną, gdy zamroczy głowę
Wśród niemierzonych godzin lenistwo grobowe,
Nie znajdziesz dobrej woli, ani chwilki czasu
Na modlitwę pod krzyżyk, na dumkę do lasu.
I cóż wtedy natura obchodzić nas może?
Słowik śpiewa — tem lepiej, snadź w dobrym humorze;
Kraśniejże złota jutrznia — co mi tam do złota?
Wietrzyk łakę kołysz — a i to robota!...
O! takie to bluźnierstwa i urągowiska
Człek z matowem spojrzeniem na przyrodę ciska;
Bo, przygnębion ku ziemi, sam o sobie nie wie,
Jak bujny zagon żyta po gęstej ulewie.
Lecz Bóg przesyła promyk pogodnego słonka,
Ten w ciemną otchłań duszy kiedy się zabłąka,
Kiedy z piersi upadnie gniotąca opoka,
Gdy łza rzewna opłucze kataraktę z oka,
Wtedy idzie myśl zbawcza i lepsza otucha...

MATEUSZ (wychodzi z gęstwiny z koszem grzybów).

W Imię Ojca, i Syna, i świętego Ducha!
Wszak to pana po lesie i chart nie dogoni!
A święty Mateuszu! a święty Antoni!
Ja latam, biegam, hukam — od chaty Jakóba
Tropię zgubę po lesie...

HENRYK.

A jakaż tam zguba?

MATEUSZ.

O święty Bonifacy! o święty Gerwazy!
Pan sam zginąłeś z domu!

HENRYK.

Jestem na rozkazy.
Czegoż tam chcesz ode mnie?

MATEUSZ.

At, nic... jedno słowo:
Chciałem panu przypomnieć gorączkę nerwową,
I co przepowiadała doktorska nauka:
Że kto się nie szanuje, recydywy szuka.

HENRYK.

Daj pokój, Mateuszu! mnie tutaj tak błogo!
Tutaj serce odetchnąć, myśli bujać mogą,
Tu skupiam dawnych wrażeń. rozproszone szczęty,
Po tak długiej chorobie.

MATEUSZ.

A święty Wincenty!
Alboż pan nie rozumie, co to z tego bywa?
Z tych dumań, wrażeń — będzie recydywa.

HENRYK.

Wszakem zdrów od tygodnia.

MATEUSZ.

O święty Gerwazy!
Nerwowa... i sercowa... gorączka dwa razy!
Pan myślisz, że ja nie wiem, jaka tu zawilość?
Miłość rodzi gorączkę, a z gorączki — miłość;
I tak i d e m p e r i d e m, jak mówi wikary,
A do końca nie trafim.

HENRYK.

Nie bój się, mój stary!
Gorączka już minęła, a miłość ochłodziła.
Chcieć Maryi zapomnieć — byłaby myśl podła,
Poprzysiągłem raz kochać i uczuć nie zmienię;
Ale nazbyt gwałtowne przygasły płomienie.

Nic mi obrazu Marji z serca nie wyiębi...
Ty nie wiesz, jak to słodko w tych ostępów głębi
Marzyć o niej, przebaczyć jej płóchej pustocie,
Odnawiać miłych wspomnień niezliczone krocie,
Wywołać cień jej ducha wyobraźni siłą,
Szczebiotać z nią i gwarzyć, jak to się gwarzyło
W szczęśliwsze chwile życia, jak tu czas upływa!
Nie uwierzysz, mój stary!

MATEUSZ.

Będzie recydywa!

Nerwowa, czy sercowa, albo razem obie.
Ej, panie! jak Bóg miły, strzeż się po chorobie!
Na dwoje babka wróży — ja tu niewidomy,
Byłem świadkiem niedobrej u pana symptomu:
Pan gadałeś sam z sobą — czy pan to pamięta?
O święty Mateuszu! Małgorzato święta!
Patrzę... to pan... podchodzę... i bliżej znów patrzę:
Gada... macha rękami, jak aktor w teatrze...
Może przez pięć Ojczy nasz — ja cały się trwożę;
Gorączka, myślę sobie, nie dopuszczaj Boże!
A po takich cierpieniach, o święty Sylwestrze!
Wszystkie momenta życia stoją na rejestrze!
Gadać samemu z sobą — to, uczciwszy uszu,
Grozi coś mentus captus.

(Świdruje sobie po łbie).

HENRYK.

Nie, mój Mateuszu!

Ja nie z sobą gadałem.

MATEUSZ.

A z kimże?

HENRYK.

Z drzewami!

Gniewały się, że miasto za długo mię mami,
Że boleść mego serca, że męki i burze
Nie przyszedłem powierzyć zbawczyni naturze.
Gniewał się na mnie strumień, i ten las sosnowy,
I ptaszki, żem zapomniał ich serdecznej mowy.
Musiałem je powitać, musiałem przeprosić;
A ty, stary, sądziłeś...

MATEUSZ.

A dosyć już, dosyć!

Ja rozumiem — pan myślisz, że u Mateusza
To już drewniana głowa i kamienna dusza?
Mnie samemu, i nieraz, ot tak czasem chce się
Zamyślić się, pogadać z drzewami, co w lesie,
I z mych dumań Bożemu spowiadać się światu;
Lecz powoli przychodzę jakoś do ochwatu:
Wszak to martwe stworzenia, gadam czy nie gadam.
Ot lepiej się samemu Stwórcy wypowiadam.

HENRYK.

Mój dobry Mateuszu, bądźmy z sobą szczerzy:
Jakże gadasz ze Stwórcą?

MATEUSZ.

Mówię pięć pacierzy,

Pięć razy Zdrowaś Maryo, jedno Wierzę w Boga —
Ot jakoś i pociecha znajduje się błoga,
I nie śmieją się ludzie, choć posłyszają czasem,
Bo ja gawędzę z Bogiem, a nie z ciemnym lasem.
To samo radzę panu.

HENRYK.

O mój dobry starcze!

Czyż Boga roztargnioną modlitwą obarczę?
Modłę się, a myśl ziemską wciąż do mnie powraca.

MATEUSZ.

I na to jest ratunek.

HENRYK.

A to jaki?

MATEUSZ.

Praca.

Weź pan strzelbę, czy książkę, albo kosz na rydze,
Pracuj, aż panu czoło spotnieje w fatydze.
To się grzędę pokopie, to drzewko zaszczepi,
To i myśl swobodniejsza, i modlić się lepiej.
Siądziesz pan do wieczerzy, stukniesz kielich wina,
To i sen, i apetyt powracać zaczyna,
A robak gorzkich myśli, co serce przejada,
Zatruje się od razu.

HENRYK.

O biada mi, biada!

Nie umiem znaleźć pracy, choć jej serce szuka.

MATEUSZ.

Ej, panie! wolne żarty! Gdyby mi nauka,
Gdybym, co pan, przeczytał książek choć w połowie,
Toż tobym ja pracował, i sobie na zdrowie,
I drugim na pożytek! Co to, panie, w lesie
Człek wyrwie się na chwilę to i plon przyniesie.
Patrzaj pan: co tu ziólek! gdybym czytał księgi,
Doszedłbym ich własności, ich całej potęgi.
O święty Mateuszu! o święta Doroto!
Tu choroby po wioskach biednych ludzi gniołą,
To jabym ziólek leśnych miał zapas gotowy,
To od kaszlu, mospanie, to od bólu głowy.
Tu wilki robią szkodę — a dosyć wam, dosyć!
I starałbym się szlachtę i włościan uprosić,
Otoczyłbym oblawać cały obszar lasa;
Człek się dobrze zabawi, uczciwie pohasa,
A w dodatku i naród wspominałby wszędzie,
Bo wilczyśko ich trzody pustoszyć nie będzie.
Gdybym ja czytał książki... powoli, powoli,
Wyczytałbym, co piszą o uprawie roli,
Począłbym własne grunta wyorywać lepiej,
Jakiś się nowy koncept na gruncie zaszczepi...
O święty Mateuszu! intrata się sporzy,
Jeden, drugi zobaczy, że idzie niezgorzej,
Poczną próbować szlachta, a dalej wieśniacy,
Jedni oszczędzą kosztu, drudzy sobie pracy;
Ot będzie i zasługa: skorzysta lud Boży.
O święty Mateuszu! o święty Ambroży!
Daj mi, panie, naukę i książki, co w szafie,
A w lesie już ja sobie zaradzić potrafię,
I nie będę się skarżył, że mi w sercu bodzie,
I nie będę z drzewami gawędził na kłodzie,
I Bogu się zasłużę, i sobie wystarczę.
No, panie — czas na obiad.

HENRYK.

Dziękuję ci, starcze!

Nauczyłeś mię goić ciężką w sercu ranę:
Z poety słów ja czynu poetą zostanę.

Czynu!... na tej pustyni... tak! żaden pan świata,
Żaden rycerz, poeta, żaden dyplomata,
Niema tak pięknej drogi w swych działań zakresie,
Jak Litwin dobrej woli, w nędznej chatce w lesie!
Witaj mi, chatko leśna, ustronna, wieśniacza,
Którą tyle serc biednych a dobrych otacza!
Oni pracują krwawo — pracujmyż pospołu:
Piękna niwa do pracy!

MATEUSZ.

Dano już do stołu.

My o gruszkach na wierzbie pleciem, jak w malignie,
A tam pieczeń się spali i zupa ostygnie.
Zebrałem trochę rydzów na borowym mszarze,
Jak zmówić pięć pacierzy, zaraz je usmażę.
Idź pan powoli lasem, a ja skoczę dołem.

(Odchodzi spiesźnie).

HENRYK.

Życie czynu!... Ty, Marjo, bądź moim aniołem!
Twym natchnieniem winienem tej chaty nabycie!
Pocznę myślą o tobie odrodzone życie,
Pocznę żyć w mojej chatce, jakby w ojcowiznie,
Pocznę wspierać, pocieszać, nauczać me bliźnie,
A tak i dolę własną, i drugich osłodzę...
Święty duchu natchnienia, wspieraj mię na drodze!

USTĘP DRUGI.

(Rzecz w restauracji).

MARSZAŁEK (przeglądając kartę potraw).

O dzisiajszym obiedzie dobrą mam otuchę.

(Do służącego).

Dasz nam chłodnik... potrawkę, jeśli mięso kruche,
A na trzecie...

(Zamyśla się).

Bekasa...

ŚĘDZIA.

Ale przed bekasem,
Pan marszałek staruszki wypije tymczasem.
Chłopcze, daj staruszcзки!

MARSZAŁEK.

Prędko przynosź jadło.

SĘDZIA.

A widzi pan marszałek, jak dobrze wypadło,
Że dzisiaj kropnął deszczyk — toć dróżka nie kurzy.

MARSZAŁEK (opinając serwetę).

Powiem ci, panie sędzio, ten projekt podróży
Wcale mi nie do smaku, choć ja lubię drogę.
Zamykam się w powozie — no! i chrapnąć mogę;
Ale rozpacz porywa w obiadowej porze:
Znasz, sędzio, nasze karczmy.

SĘDZIA.

Nie dopuszczaj Boże!
Znajdziesz tam kwaśne piwko i śledzia kawałek.

MARSZAŁEK.

Więc na lichu ta podróż?!

SĘDZIA (z uśmiechem).

Widzi pan marszałek,
Trudno czasem odmówić prośbom pięknej buzi.
Chce kobieta — chce Pan Bóg, — tak mówią Francuzi.

(Biorąc od służącego kielich gorzałki).

W rączki pana marszałka!

(Wypija mały kielich, a nalewa marszałkowi większy).

Staruszcza przednia!

Córka pana marszałka chce jechać do Wiednia,
Chce zwiedzić brzegi Renu, zahawić w Tryeście...

MARSZAŁEK.

A chłodnik czy podadzą?

SĘDZIA.

Chce do Rzymu wreszcie.
To pięknie, bardzo pięknie... Młodziutka się nudzi,
Chce poznać obce kraje, poznać obcych ludzi.
Co robić?... trzeba ulec przed niewieścią władzą...
Zresztą, panie marszałku...

MARSZAŁEK.

A chłodnik czy dadzą?

SĘDZIA.

Zresztą, panie marszałku...

MARSZAŁEK.

Z rakami i z lodem.

SĘDZIA.

Podróż do miłych wrażeń staje się powodem.

Pan marszałek zobaczy, jakie to słodczyce:

Coraz nowy widoczek...

MARSZAŁEK (zajadając przyniesioną potrawę).

I ja na to liczę:

Wiedeńskie salcesony głośne w Europie,
W Johannisbergu dobrem winem się zakropię,
W górach szwajcarskich sery i smaczne, i tanie,
A we Włoszech makaron... historyczny, panie!
To słyszę piękna ziemia: oliwa dojrzewa,
Sardynki prosto z morza, pomarańcze z drzewa.
Podróż mi się uśmiecha; ale będziem w biedzie,
Póki człowiek ojczystych granic nie przejedzie:
Och, wiadomo, wiadomo, co u nas podróże!

(Wzdycha).

SĘDZIA (z ukłonem).

Ja panu marszałkowi do granicy służę;
A mam właśnie kucharza — talencik nielada:
Czy sosik, czy zraziki, czy wreszcie szlufada,
I prędziuchno, i smaczno sporządzi, jak z płatką;
A wyborny obiadek, życzliwa gromadka,
Jakoś podróż osłodzi...

MARSZAŁEK.

O! dziękuję tobie!

SĘDZIA (do siebie).

A w podróży małeńki interesik zrobię.
W mieście pełno młodzieży — tu ciągle przeszkoda,
A w drodze może jakoś zręcznostka się poda
Przysłużyć się grzeczniutko, coś przemówić słodziej.
Pół miliona posagu nie piechotą chodzi.
Dziewczę wcale nieszpętne.

MARSZAŁEK.

Chłodniki mi służą.

(Smakując resztki z talerza).

Wprawdzie za mało octu, a soli za dużo,
A lód niedosyć zimny... ale mniejsza o to.

SĘDZIA.

Winka, panie marszałku.

MARSZAŁEK.

Wypiję z ochotą.

SĘDZIA.

Czy reńskie?

MARSZAŁEK.

Wszystko jedno... reńskie czy madera,
Po chłodniku od zimna żołądek zamiera.

(Dzwoni).

Gdzież służący?... to kara Boża z tą posługą!

SĘDZIA (do służącego, który wchodzi).

Buteleczkę madery.

MARSZAŁEK.

I potrawę drugą.

(Służący ustawia potrawy i nalewa wino).

MARSZAŁEK (zapijając).

Bieda!... bieda na świecie!

SĘDZIA (z westchnieniem).

Och! bieda na świecie!

MARSZAŁEK (jedząc).

Wiesz, sędzio!... moja Marja, to szalone dziecię:
Natura rozpieszczona, kapryśna, kobieca,
Dzisiaj chce szyby z okna, jutro kafli z pieca,
I dogódź tu dziewczynie!... a dogadzać muszę!
Widzę, jakieś cierpienie zatruwa jej duszę;
Muszę dzielić jej myśli, zachcenia i zdania:
Ja mam serce ojcowskie, pełne przywiązania...
Choć zresztą dobre dziecię... lecz nazbyt mi męczy,
Bo ja lubię wygodę... minął wiek młodości...
Pracowaliśmy długo... czas być swobodnemi...

SĘDZIA (z westchnieniem).

Wygodka i swobódka — dwa szczęścia na ziemi!
I ja do nich, marszałku, wzdycham pokryjomu.

MARSZAŁEK (zapija).

Widzisz, sędzio kochany... tyś przyjaciel domu,
Ty się ze mną podzielisz mym ciężkim kłopotem.

SĘDZIA.

Marszałku dobrodzieju! czy wątpieś o tem?
Niech się pańskie serduszko we mnie zabezpieczy.

MARSZAŁEK.

Słuchaj więc...

(Sędzia przysuwa się konfidencjonalnie).

MARSZAŁEK (smakując potrawę).

Mięso twarde, a sos nie do rzeczy.

(Do służącego).

Uważasz? same kości... same dajesz grzbiety.
Przynieś pieczeń huzarską. lub bite kotlety.

(Do sędziego).

Słuchaj więc... moje stare zbliżają się lata...

(Do służącego).

Do kotletów oliwa, ocet i sałata.

(Do sędziego).

Stare lata nadchodzą... przy innem zajęciu
Czas o córce pomyśleć.

SĘDZIA.

A raczej o zięciu...

Winka, panie marszałku!

(Nalewa mu kielich. Do siebie).

Jesteśmy ciekawi.

MARSZAŁEK.

Młodzieży bywa dosyć, lecz jej to nie bawi.
Lubiła dawniej taniec, śpiew, muzykę, stroje;
Dzisiaj tak posmutniała, że się suchot boję.
Na życia czcze i smutne skarży się koleje,
A co mię bardziej trwoży... że nic a nic nie je:
Na obiad szklanek mleka... niechże mi kto powie,
Skąd tu będzie wesołość? skąd się weźmie zdrowie?
Czyż nie wstyd ci — powiadam — być z tak bladą twarzą?
Niech ci zrobią rosółu, niech zrazów usmażą.

Posił się, potem zaśniesz; a w jednej godzinie
Obaczysz, że ci nuda i tęsknota minie.
Czy myślisz, że mię słucha? Gdzie tam! ani trocha!

SĘDZIA (półgłosem).

Może jaka miłostka... może kogo kocha...
Uważa pan marszałek... potrzeba znać ludzi...

MARSZAŁEK.

Gdzie tam! Zabawa męczy, a młódzież ją nudzi.
Młódzieży dosyć bywa, wszyscy nią zajęci;
Lecz ona dziwactwami każdego zniechęci.
Jeden dla niej zbyt pusty — trzpioce się, jak dziecię,
Drugi zbyt hałaśliwie o postępie plecie,
Trzeci zanadto strojny, urodą się puszy,
Tamten ma pustkę w głowie, tamten pustkę w duszy,
Do każdego coś znajdzie, wyszuka, dopatrzy...

SĘDZIA.

To znaczy dobrą główkę — rozsądek najrzadszy:
Bo tylko zastanów się marszałek dobrodziej,
A pewno swoje zdanie z mojem zdańkiem zgodzi.
Patrz na naszych młodziaków, przeznaj ich nałogi:
Znajdziesz, wszystko wietrzniki, trzpioty, demagogi!
Córce pana marszałka z serduszkem i głową
Słusznie, że się wydają ckliwie i jałowo!
Jej potrzeba męzulka wcale inszej treści,
Coby miał wiek dojrzały... tak... lat ze czterdzieści.

MARSZAŁEK.

To może już za wiele.

SĘDZIA.

Tak... trochę za wiele;

Zdanie pana marszałka z ochotą podzielę.
Więc... około czterdziestu... mniej więcej tych latek.
Trzeba, żeby posiadał powagę i statek,
Człowiek miły, grzecznutki, choć przyłóż do rany,
I dobrze z interesów biegiem obeznany.
Bo pytam... dać fortunę młodziakowi z miasta,
Nie tylko nie przymnoży, lecz jeszcze rozszasta.
Trzeba człeka ze sprytem, co da sobie rady,
Urządzi interesa...

MARSZAŁEK.

Urządzi obiady...

To rzecz ważna w pożyciu.

SĘDZIA.

Tak... tak, nie inaczej.

A może pan marszałek jeszcze winka raczy?

(Nalewa wina).

Potem szklaneczkę lodów... po obiadku zdrowo...

Powinien mieć fortunkę i kwotę gotową:

Bo też biorąc posagu pół miliona, słyszę,

Niech pan zięć ewikcyjkę na dobrach zapisze.

MARSZAŁEK.

Pół miliona posagu!! co ci, sędzio, w głowie?

SĘDZIA (obojętnie, pijąc wino).

A ileż?... tak.. naprzykład?...

MARSZAŁEK.

Coś dać postanowię;

Może jakich ze trzykroć... ze czterekroć może...

(Ziewa).

SĘDZIA (na stronie).

Trzeba go tylko w dobrym utrzymać humorze.

Obiadek jakoś trafia do serduszka sknery.

Hm... licząc sześć procentów... to dwadzieścia cztery...

Nieźła roczna intratka... Śmiało, w Imię Boże!

(Głośno).

Marszałku dobrodzieju! niedyskretnie może,

Gdy się spytam... tak sobie... przez ciekawość marną:

Czy w gronie tych młodzików, co się zewsząd garną,

Upatrzyłeś już kogo... tak sobie... z daleka?...

MARSZAŁEK.

Uważałem przed rokiem młodego człowieka,

Który ją szczerze kochał — prawda, człek ubogi...

SĘDZIA.

A jakąż ewikcyjka?...

MARSZAŁEK.

Poczekaj, mój drogi!

Z dobrem sercem...

SĘDZIA (na stronie).

To mniejsza — ciekawość mię drażni...

MARSZAŁEK.

Nieboszczyk jego ojciec był ze mną w przyjaźni;
Biedak, wkońcu podupadł, to się wszystkim zdarza...
Ale jakie miał wina!... jakiego kucharza!
To, powiadam ci, rozkosz nad wszelkie wyrazy!...
Bywało, zrazy dają... a ja lubię zrazy...
Tylko, sędzio... uważasz, jam kapryśnik stary:
Sos powinien być wonny i pieprzny do miary, —
Nie dodawać doń octu — tego nienawidzę;
Lecz za to ujdą trufle, albo świeże rydze,
Dobrze podsmaż cebulkę... to choć zaprosz króla!

SĘDZIA.

O! dla mnie to przysmaczek, smażona cebula!
Lecz ten pan, co o rączkę twej córki się stara?...

MARSZAŁEK.

Pocciwy, lecz ubogi...

SĘDZIA.

To nierówna para.

MARSZAŁEK.

Syn mego przyjaciela...

SĘDZIA.

I tego niedosyć.

MARSZAŁEK.

Umie swój niedostatek z godnością przenosić.

SĘDZIA.

I to jeszcze nie powód.

MARSZAŁEK.

Ma ciotkę bogatą,

A kocha moją córkę...

SĘDZIA.

A ona co na to?

MARSZAŁEK.

Wiedziałem, że go kocha — i byłem już gotów,
Dla jego pięknych zasad, dla dobrych przymiotów,

Powierzyć mu jej rękę. Skrycie się kochali;
 Potem on gdzieś wyjechał, o sto mil, czy dalej,
 Ona długo chodziła tęskna a wybladła,
 Wzdychała co godzina, nic a nic nie jadła;
 Aż mi był żal niebogi... Wtem nadszedł karnawał,
 A pamiętam, jak dzisiaj, miałem sarny kawał;
 Ruszam tedy konceptem, na jaki mię stanie,
 I całą naszą młodzież spraszam na śniadanie;
 Potem jakoś na obiad, potem wieczór dałem...
 Uważam... moja Marja tańczy z zapalem;
 Już wzdycha coraz rzadziej, a częściej się śmieje...
 Ten i ów, jak uważam, już powziął nadzieję.
 Ja na takie odmiany zdala sobie patrzę.
 Dziś chce być na wieczorze, a jutro w teatrze,
 Pojutrze na szlichtadzie, i znów na wieczorze, —
 Słowem, tak się roztrzępota, że nie dopuść Boże!
 Wtem — dawny jej kochanek, co rok tu nie postał,
 Powrócił... wyznał miłość — i odkosza dostał.
 Jeszcze ze dwa miesiące bawił ją wir ludzi;
 Potem znów zesmutniała, znowu świat ją nudzi,
 Poczęła się urągać z całej naszej młodzi,
 I znowu często wzdycha — oko łzą zachodzi,
 Nic nie je... znak widoczny, że zdrowie nie służy...
 A teraz już się gwałtem napiera podróży, —
 Rad nierać muszę jechać!...

SĘDZIA (na stronie).

To ciekawe rzeczy...

Więc to miłość... miłostka... czyż podróż uleczy?...
 Lecz nie traćmy nadziei... posażek bogaty,
 Do trzydziestu tysięcy dorocznej intraty...
 Młode piwko wyszumi... jakoś się uchodzi...

(Głośno).

Otóż tedy, uważa marszałek dobrodziej,
 Nic niemasz nad wojażyk — rozerwie się trocha,
 Może kogo pokocha...

(Na stronie).

I pewno pokocha.

Ja będę jej wyrządzał grzeczności nieznaczne,
 Poczną na nią poglądać, potem wzdychać zaczę.
 Z lekka poczernię włosy, które śnieżyk prószy,
 I powoli... powoli... wkradnę się do duszy...

Interesik niezgorszy — popróbujmy doli...
Trzeba tylko grzecznutko, słodziutko, powoli,
A może się powiedzie na drodze zalotów...

SŁUŻĄCY (wchodząc).

Pański powóz już gotów.

MARSZAŁEK (budząc się).

Co! powóz już gotów?

Weź tedy kosz madery i sera na drogę:
Czasem, widzisz, od nudów posilić się mogę.
W powóz włożyć poduszkę i dwa materace.

(Dzwoni).

A podajcie rachunek!

SĘDZIA (z ukłonem).

Oj! ja sam zapłacę:

Marszałku dobrodzieju, o! Pan Bóg mi świadek,
Chcę mieć szczęście że dzisiaj mój zjadłś obiadek —
Rozliczymy się w drodze.

MARSZAŁEK.

Niechże i tak będzie.

(Do służącego).

W powozie miękką pościel proszę mieć na względzie.
Włożyć mi jaką książkę — chociaż nie literat,
Muszę teraz książkami bawić się rad nierad,
Bo czytając, najlepiej zasypiać w dni słotne.

SĘDZIA.

Mam tu właśnie Gawędk i rymy ulotne.
Autor ich doświadczony, czy w wierszu, czy w prozie.
Ręcę, że pan marszałek wnet uśnie w powozie
Na najpierwszej karteczce — doświadczona próba!

MARSZAŁEK.

O! to... to! panie sędzio!... to mi się podoba!
Z tylu książek, co dzisiaj piszą dla pieniędzy,
To mi dzieło najlepsze, co uśpi najprędzej:
Jest przynajmniej cel pisma...

SĘDZIA.

A wierszyków zwłaszcza!

MARSZAŁEK (do służącego).

Dać mi ciepłe kalosze, nie zapomnieć płaszcza...
 Szlafmycę i parasol, bo na deszcz się zbiera;
 Flaszę gdańskiej gorzałki, sucharków i sera,
 Lulkę, tytuń, krzesiwo... No, bywajcie zdrowi!
 Ruszajmy, panie sędzio!

SĘDZIA.

Służę marszałkowi.

(Odchodzą).

USTĘP TRZECI.

Przed schludną chatką w lesie MATEUSZ na stole suszy ziółka
 i mówi zwolna do siebie.

O święty Mateuszu! chcę płakać, jak dziecię.
 Jak to wszystko i dobrze, i mądrze na świecie!
 Parę garsteczek zielska... ot suche badyle!
 A tu zdrowia ludzkiego, tu Bożych łask tyle!
 W każdym marnem ziółeczku jakiś dar ukryty:
 Ot Absinthum vulgare, — piołun pospolity,
 A od febry jedyny! — Ot garstka rumianku,
 Jak od rozlicznych chorób leczy bez przestanku!
 Żywokost na ból piersi cudownie pomaga;
 Na wściekliznę wyborna Alisma plantaga;
 Ślaz pomagał od kaszlu w najdawniejsze czasy.
 Kmin wyborny do chleba, majran do kielbasy,
 Mięta na ból w żołądku, choćby Bóg wie jaki,
 A tomba i bławatki pyszne do tabaki!...
 O święty Mateuszu! o święty Ambroży!
 Jak to w każdej roślinie kryje się duch Boży!
 Ja człowiek nieuczony — a w głowie się kręci,
 Że te dary być muszą dla jakiejś pamięci.
 Ot może dano ziółkom własność i nazwanie,
 Gdy się Chrystus w Betleem urodził na sianie,
 Więc każda marna trawka z owej garstki siana
 Jakowemś dobrodziejstwem została nadana...
 Och! wielkie dobrodziejstwo, zwłaszcza tutaj w lesie,
 Gdzie lekarz wieśniakowi ratunku nie niesie,
 Gdzie jednym prostym środkiem, jedną garstką ziela,
 Niejednemu człękowi zdrowia się udziela...
 Pan Henryk, daj mu Boże i życie, i zdrowie,
 Wskazał mi każdą trawkę, uczył, jak się zowie,

Pokazał jak się zbiera, jak się wszystko suszy,
Skąd ludzkość ma pożytek, a on szczęście w duszy...
Cóż za dziw, że tu biegną, jak na odpust jaki,
Przygnębione chorobą i pracą biedaki?
Że tak go błogosławi okolica rada?
A tej pięknej zasługi i na mnie coś spada!
Bo się ziółeczka zbiera, układa i suszy,
A czasem coś zaradzę w prostocie mej duszy.
Medycyna nie tęga — ale chęć życzliwa:
Ja tylko pocznę leki, a Bóg dokonywa.

(Wchodzi Trzaska ze strzelbą i torbą myśliwską).

MATEUSZ, TRZASKA.

TRZASKA.

Dobry dzień, Mateuszu!

MATEUSZ.

Kłaniam, panie Trzaska!

A pochwalić Chrystusa czemu to nie łaska?

TRZASKA.

Otóż widzisz, że z waścią wieczysty certamen.
Niechże będzie pochwalon...

MATEUSZ.

Na wieki i Amen.

Skąd to Pan Bóg prowadzi?

TRZASKA (z mocną gestykulacją).

Otóż widzisz, z lasu.

O zwierzynie na święta myślałem zawczasu:
Wyszedłem gdzie przed świtem — a prześliczny ranek.
Myślę sobie, ot widzisz, u waszych polanek
Jest niezłe tokowisko... Zaczajam się w budzie:
Przyleciał jeden cietrzew... palnę w łeb marudzie,
Zatrzepotał skrzydłami i padł gdzieś w chróśniaki.
Powiadam... otóż widzisz... biorę stempel, kłaki,
Czyszczę strzelbę, nabijam, tulę się w zacisze,
Czekam całą godzinę — i znów szelest słyszę.
Siadł cietrzew zakochany z postacią wychudłą,
Zmierzyłem się... palnąłem... otóż widzisz, pudło...
Zbladł cietrzew i poleciał het gdzieś pod Stawiszcze!
Zakląłem do stu czartów — i znów strzelbę czyszczę,

Nabijam... Znów cieciorka zaszumiała w głuszy...
Palę... krzyknęła: Jezus! i padła bez duszy.
Czekam dalej... snem trochę zdrzemało się oko...
Cietrzewi więcej niema, a słońce wysoko...
Myślę sobie... to widzisz... na dziś — doskonale!
Czach! wykrzesalem ognia i fajeczkę palę,
Nic nikomu nie mówiąc... Wtem... patrzę pod krzyże:
Sadzi szarak, mospanie, i uszami strzyże;
Zatrzymał się pod brzóska i wyprężył słuchy...
Ot widzisz... myślę sobie — fajkę do pazuchy,
Strzelbę na cel... pęc w piersi... zerwał się i zmyka!
Ja zrywam się... postrzegam, jest krew u kamyka,
Heżha za nim! on w pole — ja jak chart przez miedze:
Gdy go z oka utracę, to po tropie śledzę...
Krwi w tropie coraz więcej — postrzeliłem znaczy.
On na górę, ja za nim... mój szarak w rozpaczy,
Chromiąc stoczył się na dół — i ja sadzę dołem;
Chciał jegomość w zarośla — ja drogę przeciałem...
Ot widzisz... myśli sobie: Tu nie służy rada!
Siadł pokornie i łapki, jak do prośby, składa;
A ja niedługo myśląc, kolbą w łeb i basta.
Padł szarak... a godzina pewnie jedenasta!
Głód ozwał się w żołądku — nie wytrzymam dłużej —
Patrzę wkoło... ot widzisz: u was dym się kurzy...
Myślę sobie: ot dobrze! teraz hulaj dusza!
Zajdę tedy odwiedzić pana Mateusza,
Stuknę kielich gorzały na dobry początek,
Da mi kawał wędzonki...

MATEUSZ.

Ależ dzisiaj piątek!

TRZASKA.

A... piątek... otóż widzisz...

MATEUSZ.

Dam waszmości mleka.

TRZASKA.

A że mi stąd do domu wędrownka daleka,
I ciężkoby się nosić z zającem, z cietrzewiem,
To niech u was zostaną.

MATEUSZ.

Dalibógże nie wiem!

Waćć, jak zwykle, nie zechcesz wziąć pieniędzy za to...

TRZASKA.

Otóż widzisz, że zgadłeś — schowaj się z zapłatą.

MATEUSZ.

A brać darmo nie mogę... pan mi natrze uszu.

TRZASKA.

Otóż widzisz, że bredzisz, panie Mateuszu!

U nas z panem Henrykiem od dawna na pieńku.

Ja mu dług mój sowity spłacam po maleńku...

Długoby o tem gadać — a tu głód dokucza.

Brrum!...

MATEUSZ.

Zaraz podam mleko i poszukam klucza,

To może się tam w szafie znajdzie i gorzała.

(Odchodzi).

TRZASKA.

O! macie Szaciłówkę!... wiem, że doskonała!

Choć się u was zapasy nie trzymają doma:

Nasza szlachta — ot widzisz — na starkę łakoma,

A wy ludzie poczciwi i uprzejmi w chacie,

Co Bóg dał, przed drugimi pewno nie schowacie.

Taka wasza natura... ot widzisz — natura;

Kto do was zakolata, to zawsze coś wskóra:

Porada, dobre słówko, albo chleba kawał,

A niejeden i większej pomocy doznawał.

Kto, na przykład, Maciejom dał grosza na woły?

Pan Henryk...

MATEUSZ (wchodząc ze śniadaniem i ustawiając je).

A kto zboże zwiózł nam do stodoły?

Maciej.

TRZASKA.

A kto przykarmił Płodozmiana wioski?

MATEUSZ.

A kto nam żać pomagał? czy nie lud sędziowski?

TRZASKA.

Kto staremu Janowi dopomaga wszędzie?

MATEUSZ.

A kto nam pszczoł dopatrzy, gdy Jana nie będzie?

TRZASKA.

Otóż widzisz... odpowiedź, jak z rękawa, sypie.

A kto wspiera cichaczem wdowę po Filipie?

Mów szczerze... bez kręcielstwa.

MATEUSZ.

At, Bóg wie, co plecie!

Niema co takich rzeczy roztrąbiać po świecie.

W Piśmie świętem kazano nieść pomoc dla braci,

Ten, co w skrytości widzi, w skrytości zapłaci;

Ot dajmy lepiej pokój drażliwej rozmowie...

(Przepijając gorzałkę).

W ręce jegomości!

TRZASKA (z ukłonem).

Daj Boże na zdrowie!

(Przyjmując nalany kielich).

Setne lata waszmości!

(Piie).

Ot widzisz, że tęga!

Aż orzeźwia żołądek, aż serca dosięga!

A to co? Otóż widzisz, rzodkiewka i masło...

(Zajadając).

Lubię... lubię i chowam wdzięczność niewygasłą

Za gościnne przyjęcie — miła dla was praca...

Gdzież, panie Mateuszu, twój pan się obraca?

MATEUSZ (zajadając).

Zrana konno gdzieś czmychnął.

TRZASKA.

To nie bez kozery.

Przysiagliłbym — otóż widzisz — jak dwa a dwa cztery,

Że się po to sam jeden wymyka z ukradka,

Iż dobrego uczynku nie chciałby mieć świadka;

On się dobrych uczynków tak wstydzi, jak grzechu...

MATEUSZ.

Co tam... dobrych uczynków — prosto dla pospiechu.

Bo to ważny i moment zyskany na czasie

TRZASKA.

A co jemu tak pilno?

MATEUSZ.

Podtędek źle ma się.

Pan Henryk po proboszcza ruszył do Źródliśka.

TRZASKA.

Otóż widzisz, że przyszła kreska na Matyska!
Źle ma się... a toż jeszcze na przeszłej obławie,
Czy pamiętasz, jak stary dokazywał zwawie?
Staremu koncepciecie język nie umilka:
Łgał za trzech, pił za sześciu i zastrzelił wilka!
Myślę sobie: ot widzisz — dziad stary i jary...

MATEUSZ.

Niezbadane Najwyższych wyroków zamiary.
Niedosyć, że do śmierci zwinął się w pospiechu,
Lecz omal że nie umarł we śmiertelnym grzechu
I nie poszedł do piekła...

TRZASKA.

A toż co nowego?

MATEUSZ.

Niech nas od zawziętości wszyscy Święci strzegą!...
Miał młodego synowca — ot zwyczajnie zucha:
Młodzik pije, gra w karty, starego nie słucha,
Sprawiał sobie hulanki w gromadzie spółbraci;
Zadłuży się po uszy, to stary zapłaci.
Tak było raz i drugi — o święty Ambroży!
Potem coraz to częściej, co dalej, to gorzej.
Podsędek się rozgniewał, a gdy opór spotka,
Powiedział: Wydziedziczę i przeklnę wyrodka!...
Tymczasem... Pan Bóg łaskaw, wola Jego święta.
Młodzik począł statkować, już się opamięta,
W przeprosiny do stryja, buch do nóg i kwita!
Ale stryj rozdasany przekleństwem go wita,
Wypędza ze swych progów — i tak się rozdasą,
Że gniew, co jednej chwili namotał na wąsa,
Do śmierci w nim nie gasnął... A my tu sąsiedzi;
Czasem, widzisz, pan Henryk starego odwiedzi,
Ogra go w marjasika, zaprosi na wino,
Że stary tu znajdował przyjemność jedyną.
Tak się w nim rozmiłował, że teraz w chorobie
Chciał mu wszystko zapisać.

TRZASKA.

Widzisz, myślę sobie!

A cóż na to pan Henryk?

MATEUSZ.

A święty Gerwazy!

Czyż można było przyjąć bez Boskiej obrazy?

Nie przyjął...

TRZASKA.

Co ja słyszę!

MATEUSZ.

Stary ani słucha!

Pan Henryk do proboszcza, — i tu sprawa krucha!

Proboszcz moralizował, bo głowa nielada;

Lecz jak wspomnieć synowca, dziad w gorączkę wpada.

O święty Mateuszu! aż przechodzą dreszcze!

Na ostatniej spowiedzi przeklinał go jeszcze!

Pan Henryk był w kłopotach. Po chwili... po chwili...

Z proboszczem gniew podsądka jakoś złagodzili,

Synowiec się ukorzył — no! i dostał spadek;

A pan Henryk spokojny.

TRZASKA.

To dziwny wypadek!

Mów, co chcesz, Mateuszu... a ja powiem śmiało:

Gdy stary dawał zapis, to brać należało.

Majątek rzecz niegłupia... ot widzisz, niegłupia.

MATEUSZ.

A przez niego najpewniej piekła się dokupia.

Dobry on, kiedy pracą nabyty godziwą;

Lecz pan Henryk wie dobrze co prawo, co krzywo...

Lecz dotąd coś go niema...

TRZASKA.

Otóż widzisz, niema!

MATEUSZ.

Zapóźniać się na obiad, to jego systema.

A to źle: bo nic nie jadł od samego ranka.

Ale za to go czeka dobra niespodzianka:

Twój zajac, panie Trzaska, spada jakby z nieba, —

Tylko prędko z pieczysem zwinąć się potrzeba.

Poczekajcie tu nieco, bądźcie tak łaskawi.
Powieм starej kucharce, niech się szybko sprawi.
(Odchodzi).

TRZASKA (do siebie).

Majątek, to rzecz piękna! nie przyjąć majątku!
Że Mateusz żartuje, sądziłem z początku...
Nie przyjąć... krzywda ludzka... ot widzisz, sumienie!
Trzeba serca nielada... kłaniam uniżenie!...
A ja na jego miejscu? no! pomyśleć muszę!...
Ten człowiek ma doprawdy chrześcijańską duszę,
Duszę wielką i piękną — widać to z daleka...
Jabym niebo przychylił do takiego człowieka.
On wart mego zajęcia... i dobrze się stało,,
Że ja mu niespodziankę uczyniłem małą;
Samemu lżej na sercu... Za tak piękne czyny
Warto ci, panie Trzaska, stuknąć gorzalki.

(Wychyla kielich).

Brrr... aż chce się zaśpiewać, mimo własnej wiedzy,
Piosenkę o zajacu, co siedzi na miedzy...

(Mruczy piosenkę).

(Wchodzi kilku wieśniaków, potem Mateusz wychodzi z chatki).

WIEŚNIACY.

Niech będzie pochwalony!

TRZASKA.

Na wieki, na wieki!

MATEUSZ.

Co chcecie, dobrzy ludzie?

JEDEN Z WIEŚNIAKÓW.

Ot, tam od pasieki,
Na waszmościów granicy nieskoszona łąka,
To czasem się bydełko i nasze zabłąka,
Może wam zrobić szkodę — to i grzech na duszy.
No! dzisiaj mamy piątek... słońko nieźle suszy...
Pańszczyzny dzisiaj niema... więc my rada w radę:
Wójt do karczmy na czarke zaprosił gromadę,
A przy czarce już taka stanęła umowa,
By skosić waszą łąkę...

MATEUSZ.

Na to ani słowa.

WIEŚNIAK.

Dziś zetniem — przy pogodzie jutro kopki staną.

TRZASKA.

Ot widzisz, Mateuszu, to będzie i siano,
A ja przysię do zwózki koniska i kary.

MATEUSZ.

Bóg wam zapłać za wasze dary i ofiary!...
Lecz pana niemasz w domu.

WIEŚNIAK.

To i cóż, że niema?

MATEUSZ.

Za robotę zapłata — to jego systema,
Prawda ewangeliczna, a ja nie mam groszy.

WIEŚNIAK (drapiąc się w głowę).

Ejże szlachta wy, szlachta! każdy się panoszy,
Każdy patrzy z wysoka na biednych nędzarzy;
Kiedy nie skrzywdzi czynem, to słowem znieważy.
Człowieka, co w siermiędze, żaden nie oceni:
Daj mu serce — on rękę zaraz do kieszeni,
Zaraz ludzką przysługę mieniać na miedziaki...
Ej, panie Mateuszu! to zły zwyczaj taki!

MATEUSZ (zakłopotany).

A święty Bonifacy! już Szymon i w złości!

WIEŚNIAK.

A bo to ciężka krzywda, proszę Jegomości!
Już drugi raz, jak przyjdę i o co poproszę.
Waszmości za fatygę przyniosę trzy grosze.

TRZASKA (śmiejąc się).

Masz byka za indyka! otóż widzisz! brawo!

WIEŚNIAK.

Bo kiedy wasz pan Henryk krzątał się tak zwawo
I wyleczył mi ojca...

DRUGI.

Karmił moją czeladkę zbożem swego toku...

TRZECI.

Gdy cały rok na rybę pożyczął mi siatek...

INNY.

Gdy mi garścią pieniądze dawał na podatek...

PIERWSZY.

To każdy z naszej włości przyjął wasze wsparcie,
I o żadnej zapłacie nie mówił otwarcie;
Zakarbował na sercu, co spłacić nie może,
I westchnął w głębi duszy: Wynagrodź mu, Boże!...
A kiedy my w prostocie i biednej chudobie
Przysłużyć się waszmościom uradzimy sobie,
To wy zaraz liczycie na grosze, na złote.

MATEUSZ.

No, dosyć tego... dosyć.

WIESNIAK.

Idźmy na robotę.

(Odchodzą).

MATEUSZ i TRZASKA.

TRZASKA (biorąc strzelbę).

A ja pójdę się przespać, bo sen klei oczy.

(Patrzy z za parkanu na drogę).

Ot widzisz, Mateuszu, ktoś tu do was kroczy,
Jakiś pan... strój podróżny... ale gęsta mina.
Ot widzisz! ktoś znajomy! coś się przypomina!...
Dalipan to Płodozmian! czy go lichy niesie!?
Ten samy, co wam sprzedał ot tę chatkę w lesie.
I którego włościanie odeszli w tej chwili.
Tego lisa, mospanie, zwietrzę o pół mili!
Bo dał się nam we znaki swoją pańską łaską...

(Przedrzeźnia).

A duszeczko... a rybko... a kochany Trzasko!
Wypuść mi na trzy lata włókę sianożęci...
Ot widzisz, myślę sobie — choć to mimo chęci,
Jakoś zrobię dogodność dla tego paniska:
On tak się nisko kłania — tak grzecznie uściska...
Wypuściłem... ot widzisz... rok drugi i trzeci
Na moje sianożęci mucha nie zaleci,

Taki rygor, mospanie!... Myślę sobie: b e n e!
 Ale w ośmset czterdziestym łąki poszły w cenę,
 W czterdziestym pierwszym wyżej, potem wyżej jeszcze,
 W czterdziestym czwartym powódź — skrzywdziły mnie
 [deszcze...

Myślę sobie... ot widzisz — w tak krytyczną porę
 Od pana Płodozmiana sianożęć odbiorę.
 Więc przychodzę do niego o zwrot łąki prosić.
 Jak mi pocznie graniczne dokumenta znosić,
 Stare, mospanie, mapy, stare inwentarze,
 Że moja łąka leży w jego łąk obszarze,
 Że on mi jeszcze pola na połowę przetnie,
 Że już używalności zyskał kilkoletnie!...
 Bez kontraktu... bez śladu... myślę sobie: bieda!
 Ot widzisz, do własności powrócić mi nie da,
 A jeszcze mi procesem zakłopotą głowę...
 Więc tak, krakowskim targiem, łąkę na połowę.
 Myślę sobie: bierz lichu! z napaści nie zgine;
 Tylko ekscypowałem na łące zwierzynę,
 A łąka już została przy panu sąsiedzie.
 Szczęściem teraz pan Henfryk, siadłszy na tej schedzie,
 Powrócił moją własność...

(Znowu patrzy za parkan).

Czego on tu szuka?

Strzeżcie się, Mateuszu, bo to kręta sztuka!

C I Ż I P Ł O D O Z M I A N .

PŁODOZMIAN (wchodząc na dziedziniec, ogląda się wkoło).

Czy mnie oczy zawodzą?... Pięknieśmy zbłądzili:
 Toż C z a r t o w a P u s t y n i a — z drogi więcej mili.

(Patrzy na zegarek).

Godzina... wpół do pierwszej — przekłety przypadek!
 A jaż chciałem marszałka prosić na obiadek;
 Już do mojego gruntu zbliżali się goście...
 Lecz paliki popsute, powóz pękł na moście.
 Nim się wynajdzie ludzi, nim powóz przywleka,
 To będzie pół do drugiej — a dworek daleko,
 A obiadek ostygnie — marszałek zły srodze —
 Coś mój piękny projekcik na niedobrej drodze...

Tak — C z a r t o w a P u s t y n i a... moja chatka w lesie...
 Aż słodziutko, gdy wspomnę o tym interesie:

Przedałem ją tak świetnie! w poczciwości ducha
Poeta sypnął groszem, niechże w rączki chucha!
To niewarto pięciuset — wziąłem dwa tysiące...
Patrzcie... patrzcie... i rowy pokopał na łące,
I domeczek zbudował, i klombik przy sośnie,
I żytko na piaseczku bardzo pięknie rośnie...
Piękna gospodareczka!... czarodziejska scheda!
Trzeba będzie pogadać: może mi odprzeda.
Lecz spieszmy, bo marszałek zły, że się marudzi.

(Podchodząc do Mateusza i Trzaski).

Kochany staruszczyku! — czy tu niema ludzi?

MATEUSZ.

Ludzi? Święty Gerwazy!

SĘDZIA.

Tak, ludzi, duszeczko.

Na mostku... na grobelce... tuż pod samą rzeczka.
Załamał się mój powóz.

MATEUSZ (przestraszony).

A święty Antoni!

Zaraz... zaraz... są ludzie! kosarze na błoni!
Huknę... i wnet się pańska wydzwignie kolaska.

(Odchodzi).

SĘDZIA (spostrzegając Trzaskę).

A duszeczko! a rybko!... a kochany Trzasko!
Jakże mi odmłodziłeś! twarz, jak kwiatek róży!
A zawsze ze strzelbeczką — polowańko służy!
Utyłeś, dzięki Bogu, i to ci do twarzy, —
Zawsze tęgi myśliwy — zajaczki w lot plaży...
A pieski zawsze trzymasz?... i jak ci się wiodą?

TRZASKA.

Ot widzisz pan, mam charta i wyżlicę młodą.

SĘDZIA.

To pięknie, to prześlicznie! a jakże ich zową?

TRZASKA.

Charta nazwałem Dorskocz, wyżlicę Ponową:
Oba wyborne psiska.

SĘDZIA.

To bardzo przyjemnie.

Doskocza i Ponowę pogłaskaj ode mnie,
I powiedz im...

TRZASKA (do siebie).

Ot widzisz, dla psów ma ukłony!

SĘDZIA.

I powiedz im, że kiedyś przyjadę w te strony;
Toż to popolujemy po kniejach, po błocie!

MATEUSZ (wchodząc).

Miałem tu z pańskiej wioski ludzi na robocie;
Jakem tylko powiedział — a święty Antoni!
Jak się zerwał z przestrachu, jakby na sto koni,
Polecieli do mostku bez czapek i boso,
I pewnie pański powóz na rękach wyniosą.
Znam ten lud — u nich ręce do pracy olbrzymie...

SĘDZIA.

Dziękuję, staruszczyku! a jak ci na imię?

MATEUSZ.

Dzięki Bogu, Mateusz.

SĘDZIA.

A, to dzięki Bogu!

Co za szczęście, że trafił do waszego progu!
Myślałem, że już w błotku zanocuję sobie.
A twój pan?

MATEUSZ.

Niema w domu.

SĘDZIA.

Słyszę, po chorobie?

MATEUSZ.

Miał nerwową gorączkę...

SĘDZIA.

Gorączka nerwowa!

Ale zdrow, dzięki Bogu? Niech go Bóg zachowa!
To wybornutki człowiek, tylko smutny nieco.

TRZASKA (z przekąsem).

A jaki dobry sąsiad — to szukaj ze świecą!
Człowieka nie pokrzywdzi, jeszcze zapomoże;
Nie tak, jak u nas dawniej.

SĘDZIA.

A! to szczęście mu Boże!

A wyborny gospodarz, choć świeżutkiej daty.
 Widzę... musi tu zbierać grosiwko z intraty,
 Dokupił, słyszę schedkę, poosuszał łączki,
 Krówki widziałem spore i tłuste, jak pączki,
 W ogródku, są gruszcзки i gatunek rzadki.

(Do Mateusza).

A ileż tam mniejwięcej może mieć intratki?

MATEUSZ.

A święty Bonifacy! skąd ja wiedzieć mogę?

SĘDZIA.

Jednak dałbym uwagę, jedniutką przestrogę:
 On ma talent rolniczy, służy mu ochota,
 Szkoda, że się tak marnie zagrzebał do błota.
 Mam większy mająteczek — obszaru nie pomnę,
 Przedałbym go z ochotą... waruneczki skromne:
 Kilkanaście tysiączków — to niewielka bieda;
 A Czartową Pustynię może mnie odprzeda...
 Jak myślisz, Mateuszu?

TRZASKA (z przestraczem).

Niech go Pan Bóg broni!

MATEUSZ.

Słysząc turkot powozu i stąpanie koni.
 To pewno pański pojazd...

SĘDZIA.

O, leczę już, leczę!

Czy tam nie szwankowały ubiorki kobiece?
 Pozwolisz, Mateuszu! tu spocznem potrosze.

(Wybiegając naprzeciw powozowi).

Marszałku dobrodzieju! tu zajechać proszę!

CIŻ, MARSZAŁEK I MARJA.

MARSZAŁEK.

Niech wam Bóg nie pamięta tej waszej podróży!
 A kołysze, a trzęsie, a budzi, a nuży,
 A cały ranek chłodno, na popasie głodno,
 A na nocleg czy znajdziesz oberżę wygodną?

SĘDZIA.

Mój marszałku! ...

MARSZAŁEK.

Mój sędzio! póki do granicy,
 Powiedziałbyś, że żyją jacyś ludzie dzicy:
 Nie wyporządzić mostu! — fi! aż słuchać zgroza!
 Trzeba powóz dobywać z pomocą powroza.
 Na groblach koło skrzypi, zarzyna się, śliźnie,
 Sądziłby cudzoziemiec, że jest w Tatarszczyźnie...
 Toż przecie nasza Litwa niby Europa!

TRZASKA (z ukłonem).

Ot widzisz, proszę pana — bo to ręce chłopą
 Pan sędzia do pilniejszej roboty obraca:
 Naprawiać groble, mosty, nieinratna praca.
 To most pana sędziego — na bagnistej łące
 Nieraz tam kark kręciłem, pędzając zające...
 Koń leci... otóż widzisz — potknie się i pada,
 A gdybym nie szanował pana i sąsiada,

(Kłania się sędziemu).

To mi tyle na grobli zemknęło zajęcy,
 Że posłałbym dziedzica do kroć set tysięcy!
 Ale jakoś mi Pan Bóg cierpliwość dodawa...
 Ot widzisz, myślę sobie, to sąsiedzka sprawa.

(Kłania się znowu sędziemu).

Gdy nie skrzyłem karku, jeszcze Boża łaska...
 Co insza pan Płodozmian, co insza pan Trzaska.

MARSZAŁEK.

Jakto, sędzio! ten mostek czyż na twojej ziemi?

SĘDZIA.

Marszałku dobrodzieju! sprawami różnemi-
 Człek zawsze zatrudniony po uszy, po szyję,
 Nie zajrzy do wioseczki — a tu mostek gnije,
 A grobelka opada...

MARSZAŁEK.

No! mniejsza z tym mostem!
 Lecz dziś nie Wielki Piątek, a ja jestem z postem.
 Czy tu nie można kupić, albo czego dostać?
 Tego dworku, jak widzę, przyzwoita postać.

(Do Mateusza).

Pan jesteś gospodarzem?

MATEUSZ.

A święty Wincenty!

Pan mój dzisiaj ważnemi sprawami zajęty;
Ja tylko jestem sługą.

MARSZAŁEK.

Sługą?

MATEUSZ.

To i owszem,

Bo pan Henryk napoił mię pojęciem zdrowszem:
Człowiek, nie w ciemę bity, z jego słów korzysta;
Wiem dobrze, że gość w domu, to zastępca Chrysta:
„Si hospes, Christus venit“ — mówi ksiądz wikary.
Jest zając na pieczyste, do niego sos szary,
Do zająca sałata z octem i z oliwą.

MARSZAŁEK.

O! to, to, mój pocziwcze! tylko dawaj żywo!
Sałata... bardzo pięknie... ale przed sałatą...

MATEUSZ.

Nie mamy win zamorskich; lecz jest starka za to
Z osiemset dwunastego...

MARSZAŁEK.

Historyczna starka!

A czyż to, dla Boga, taka gospodarka?
Intrygujesz mię waszmość... twój pan jak się zowie?

MATEUSZ.

Pan Henryk.

MARSZAŁEK.

Co?

SĘDZIA.

Poeta!

MARSZAŁEK.

No! ani mi w głowie,

Zeby się zdały na co Apollina dzieci...
Zając — starka — mój sędzio! niech żyją poeci!
Takich ludzi poszukać choć z latarnią we dnie.
Pocziwy, dobry Henryk!

SĘDZIA (do Marii).

Czego pani błednie?

MARJA.

Tak... znużenie podróży...

SĘDZIA.

Znużenie podróży...

Niechaj się pani przejdzie, to na zdrowie służy.

(Podaje rękę).

Unużenie w podróży, to jak ciężka praca.

MATEUSZ (patrząc na parkan).

O święty Mateuszu! pan Henryk powraca!

Prędeż stół nakrywajcie i potrawy znoście!...

Jakże będzie szczęśliwy, że ma w domu goście!

USTĘP CZWARTY.

(Wnętrze chatki, pokój stołowy).

MARSZAŁEK, PŁODOZMIAN, HENRYK, MARJA i w progu MATEUSZ.

(Wstają od stołu).

MARSZAŁEK (ściskając Henryka).

Obiad, panie Henryku, to gody Gamasza!

Bogdajby tak się wiodła cała podróż nasza!

Pyszny kwasek z zająca, z cietrzewia pieczyste,

Świadectwo gościnności dają uroczyste...

(Do służącego).

I o tobie powziąłem wrażenie korzystne,

Kochany Mateuszu, niechże cię uścisknę!

MATEUSZ.

O święty Mateuszu! to już Pańska łaska...

MARSZAŁEK.

Niech mi zawsze tak trafnie powóz się roztrzaska,

To nie powiem i słowa.

(Ziewa).

SĘDZIA (ściskając Henryka).

Tak, drogi sąsiedzie,

Uraczyłeś obiadem!

MARSZAŁEK.

Ale po obiedzie

Każę stary obyczaj przedrzemnąć się chwilę...

Czy zaśniesz, panie sędzio?

SĘDZIA.

Ja zasnąłbym mile,
 Lecz nie mam chwili czasu, bo coś mi się marzy.
 Że kochany mój sąsiad nieźle gospodarzy.
 Przystroił chatkę w lesie, jak wianuszek wonny,
 Toć użątek w stodółce musi być niepłonny.
 Widziałem na dziedzińcu jakiegoś wyrostka:
 Gospodarska ciekawość — prosta ciekawostka —
 Każe się oprowadzić po śpichrzach, stodole...

HENRYK.

Ja sam panu sędziemu towarzyszyć wolę.

SĘDZIA.

A broń Boże! broń Boże! jesteście ciekawi,
 Lecz tu kochany sąsiad niech gości zabawi;
 (Wskazuje Marię).

A ja wkrótce powrócę...

(Do siebie).

Bo to niezła scheda,
 Trzeba wszystko obejrzyć — może mi odprzeda.
 (Odchodzi).

HENRYK (do siebie, patrząc na Marię).

Boże, jaka zmieniona! nie musi być płocha...

MARJA (do siebie, patrząc na Henryka).

Boże! jaki on błady!... on dotąd mnie kocha...
 Jahym chciała utrzymać odwagę kobiecą...

MARSZAŁEK.

No! pogawędźcie sobie, a ja chrapnę nieco.
 (Odchodzi do drugiej izby).

HENRYK, MARJA.

(Długie milczenie).

MARJA (przerywając je).

Prześliczną mamy jesień.

HENRYK.

Tak... jest trochę słońca:
 Nad skonaniem przyrody lampa konająca
 Dopala się powoli,...

(Znowu milczenie).

MARJA.

W tej leśnej ustroni,
Kiedy wicher jesienny po szybach zadzwoni,
Kiedy liście opadną, gdy nastaną słoty,
Musi być bardzo tęskno...

HENRYK.

Są chwile tęsknoty:
Myśl płynie w kraj daleki na jesiennym wietrze;
To nakreśli gmach szczęścia, to znowu go zetrze;
Leci czasem w gwar świata z pustelniczej chaty
Na widnokrąg ludzkości piękny i bogaty,
Kędy postacie ludzkie promienia się, złocą...

MARJA.

Szczęśliwy pan, gdy mniemasz, że jest wracać po co.
Świat taki monotony!

HENRYK.

Jest inszy świat ducha.
W tamtym jest rozmaitość, kto się pilnie wsłucha.
W taktach ludzkiego serca tak różne są tony,
Jak w muzyce, pod jeden akord niespojonej;
Lecz chwilkę się wsłuchawszy, odgadnąć nie trudno,
Że z tych niesfornych tonów Bóg składa pieśń cudną.

MARJA.

Alę trudno dosłyszeć, jak ludziom gra — dusza;
Bo każdy bicie serca umyślnie — zagłusza,
Aby go nie słyszeli.

HENRYK (z westchnieniem).

Jan z miasta tak dawno!
Zapomniałem, czy skrycie, czy serca drżą jawno;
Lecz tutaj... myślą głośno... marzą, jak na jawie...
Po prostu, a serdecznie...

MARIA (siląc się na ironię).

Za to nieciekawie.
Piękna sielska prostota... ale nieco dzika...

HENRYK.

Jest piękno i w dzikości, kto bacznie przenika.
Tu pod nieokrzasanym dębowym konarem,
Nieokrzesana ludzkość żyje ładem starym:

Modli się po kaplicach, albo u cmentarzy,
Lecz w jej prostych pacierzach skra wiary się żarzy;
Śpiewa prostych piosenek chropowate słowa,
Ale w starej piosence całą duszę chowa;
Praca czerni i marszczy ich czoła i ręce,
Ale w sercach hartuje uczucia dziecięce.
Tutaj nie zna przymusu ich mowa, ich oko:
Gdy śmieją się, to hucznie — płaczą, to szeroko;
A gdy podadzą rękę, to pewno już szczerze...

MARJA (z lekkim przekąsem).

Pan dobrze lud poznałeś, a więc panu wierzę...
I musi pan nic a nic nie żałować świata,
Kiedy się z nowem życiem tak serdecznie brata.

(Z ukrytym niepokojem targa wstążkę).

HENRYK.

Nie, pani! — tamto życie, jak wspomnienie w ciemnie,
Lecz piętno niezatarte wypaliło we mnie;
A jeżelim nie upadł pod cierpień nawałem,
To z tamtych tylko wspomnień potęgę czerpałem;
I dziś stamtąd ją czerpię, gdy, marzeń pozbywszy.
Obrałem zawód życia czynniejszy i żywszy.
Budzę się z jedną myślą, a ta myśl zbawczyni
Błogosławi mą pracę, wytrwalszym mię czyni.
Ja, ofiara marzenia, wygnaniec niebieski,
Silnie jałem się pracy, jak topielec deski;
Czynię tutaj ubóstwu, com uczynić w stanie,
Szczerze bliźnich Bóg zapłać, to moje zadanie.
Tu mi jedni dziękują, drudzy o coś proszą.
I tak się próżnia życia wypełnia rozkoszą.
A gdy mi pot rześisty oblewa jagody,
Gdy sumienie powiada, żeś dziś wart nagrody,
Jedyna się modlitwa z moich piersi ciśnie:
Boże! tamtej przeszłości choć chwilkę niech przyśnię!

MARJA.

Szczerze panu winszuję tej szlachetnej zmiany.
Pan tu jesteś dokoła chlubnie wspominany;
Tu mi mówił o panu strzelec siwobrody
I ludzie, co nasz powóz dobywali z wody,
I stary pański sługa — każdy swoje prawi,
A każdy po swojemu pana błogosławi.

Zwiedziłam pański dworek przed niedawną chwilą:
Budynki tak się wdzięczą, kwiatki tak się miłą!
Byłam nawet w pszczelniku, chodziłam przy strudze...
Piękneż to takie życie w pracy i zasłudze!
Tak zapełniać swe chwile — to życiem się zowie!
Ale z pracą ostrożnie! bo wycieńcza zdrowie;
Pan jesteś nieco blady, jakby po chorobie...

HENRYK (zmieszany).

Lekkiego bólu głowy doświadczam w tej dobie;
Nic... to przejdzie.

(Zmieniając rozmowę).

A pani na długo kraj rzuca?

MARJA.

Och! ja nie wiem... chcę jechać... bo tu bolą płuca,
Duszne u nas powietrze... a ludzie... ohydni!...
Może pod jasnym niebem w oczach się rozwidni,
Może w górach szwajcarskich w naturę uwierzę,
Może w świątyni Piotra pomodłę się szczerze.
Tu modlić się nie mogę, chociaż dusza chora!
O cóż prosić w tym życiu, bez jutra, bez wczora?...
Może, stojąc na Etny ognistym wulkanie,
Serce silniej uderzy — albo bić przestanie!...
Ja nie wiem, — czuję tylko, że w sercu i w głowie
Taka okropna próżnia... tak straszne pustkowie!
Tak mi wszyscy niemili, tak nic nie poruszy...
O pani! ty znasz życie, znasz tajniki duszy,
Sam uczułeś w swym sercu, co jest cierpień ostrze;
Dobry panie Henryku! poradź mi, jak siostrze?

HENRYK.

Ja tylko boleć mogę... ale cóż poradzę?
Gdyby mi dał Przedwieczny nad losami władzę,
Skazałbym się na męki w piekielnej otchłani,
Bylebym zdołał nieco ulżyć cierpień pani.
Lecz, słaby i zbolały, cóż poradzić mogę?
Wskazać własną, krzyżową, doświadczoną drogę,
Wskazać czynu i pracy mozolne koleje:
Te może zdolne wskrzesić duch, co kamienieje!
Jedź, pani, gdzie na wioskę — wszakże wioski macie, —
Bądź aniołem pociechy w wyrobniczej chacie,

Schorzałem kalece gotuj plastr na rany,
 Nagim dzieciom wioskowym sama szyj sukmany,
 Naucz pisma pacholę, co ginie w ciemnocie,
 Młode dziewczę utwierdzaj twym przykładem w cnocie,
 Gwarz ze starym oraczem, śpiewaj pieśń ze żnieją,
 Śmieję się, kiedy chichocą, zapłacz, gdy łzy leją;
 I pracy, i zasługi znajdziesz tam bez liku,
 To może ulży sercu...

MARJA (ze łzami).

Henryku! Henryku!

Już przeczuwam to szczęście, widzę je, znachodzę;
 Lecz któż mi poda ramię, by utwierdzić w drodze?
 Ty mi sam pokaż życie czynem i ofiarą.
 Wiesz co, luby! odnowmy naszą chatkę starą,
 Nasze stare marzenia! — Bóg wie, co się stanie?
 Czy mi uda się zmówić pacierz w Watykanie?
 Czy pokocham naturę z genewskich wybrzeży?
 Czy na kraterach Etny serce mi uderzy?
 A tutaj... pod drewnianym krzyżykiem u drogi,
 Przypomnę stary pacierz, poznam lud ubogi,
 Jego serce cieplejsze od wulkanów Etny,
 A z okien twojej chatki taki widok świetny
 Nauczy, jak się Litwę i naturę kocha...

(Kłęk).

Przebaczenia, Henryku! ja byłam tak płocha!
 Jam niewarta twej chatki!

HENRYK (podnosząc ją z zapalem).

Marjo! taka chwila

Całą boleść łagodzi, mój żal obezsila,
 Podaj mi rękę! chodźmy przez ciernie i kwiaty.
 Błogosławiona chatka!...

MARJA (podając mu rękę).

O jakżem szczęśliwa!

MATEUSZ (wchodząc przerażony).

O święty Mateuszu! ot i recydywa!

CIŻ, MATEUSZ i MARSZAŁEK (wchodzi, ziewając).

MARSZAŁEK (do Mateusza).

A cóż, dobry staruszkę, czy powóz podali?

MARJA.

Powóz? Kochany ojcie! nie jedźmy już dalej!
Poco nam za granicę? i koszt i fatyga!
Czyż się w kraju prawego szczęścia nie dościga,
Wśród życia obowiązków, ofiary i pracy,
Gdzie tylu jest cierpiących, gdzie bliźni, rodacy,
Gdzie mię czekają serca i ducha rozkosze?...
Nie jedźmy, drogi ojcie, nie jedźmy stąd, proszę!

MARSZAŁEK.

Co to za dziwny wyskok rozmarzonej głowy!
Jechać, to wracać z drogi prawie od połowy,
Brak wygód po gospodach, niepokój morderczy...
Już mi ta wasza podróż kością w gardle sterczy!
Nie dojadaj w południe, nie dosypiaj z rana,
Wywracaj się na mostach pana Płodozmiana...
A teraz co? nie jechać? nazad się posuniem?

(Do Mateusza).

Proszę mi podać lulkę i kapciuch z tytuniem...
Cierpliwości nie staje!

MARJA.

Nie gniewaj się, ojcie!
Już na zawsze minęły nudoty zabójcze,
Co mię pędziły z domu; jam odżyć gotowa,
Ja ci będę wesola, ja ci będę zdrowa,
Ja ci będę szczęśliwa... będę tak szczęśliwa!
Nie jedźmy!

MARSZAŁEK (zdumiony).

Cóż to znaczy?

MATEUSZ (półgłosem, podając mu fajkę).

A cóż? recydywa!

MARSZAŁEK (domyślnie).

Aha! już jestem w domu... jestem w leśnej chacie.
Myśleliście, że nie wiem, iż wy się kochacie?
Oho! ho! ja wiem wszystko... wiedziałem już wprzód
Ależ potem... wasz rozdział... choroby i nudy!...
Sądziłem, żeś przestała kochać go na zawsze.

MARJA.

On mię dziś wskrzesił słowem, wskazał cele prawsze,
Wskazał czyny, jak wielkie życia ideały,
Rozbudził piękne żądze, co w mem sercu spały.

Mnie — abym je spełniła, potrzebna opieka;
 Prosiłam go o ramię — i on mi przyrzeka
 Prowadzić drogą życia przez kwiaty i ciernie...
 Dochował mi swych uczuć szlachetnie i wiernie,
 Przebaczył moją płochość, moją winę zmazał,
 I na nowo i wiecznie pokochać się kazał...
 Mój ojciec, pobłogosławił!

MARSZAŁEK (do Henryka).

Cóż pan na te dziwy?

HENRYK (składając ręce do prośby).

Panie! chcę uszczęśliwić i sam być szczęśliwy.
 Tem śmieiej błagam zgody dla przyszłości naszej,
 Że znam zapal tej duszy: mierność jej nie straszy;
 Ona chętnie zamieszka w tej leśnej pustyni,
 A miłość mię na trudy silniejszym uczyni!
 Przysięgam...

MARSZAŁEK.

Nie przysięgaj; wierzę waści, wierzę...
 Widzę, żeś tu pracował gorliwie i szczerze;
 Pięknie, że tu cię wszyscy wspominają radzi;
 Syn mego przyjaciela... dobrze się prowadzi...
 Dałeś nam smaczny obiad — no! kocham cię za to!
 Majątek! a toż, słyszę, masz ciotkę bogatą;
 Umrze kiedyś... to grosza wygrzebieś z zapiecka...
 Zresztą... ja dobry ojciec — ja chcę szczęścia dziecka;
 Gdyście się pokochali, zwyczajnie jak młodzi,
 Staraj się o jej szczęście, Bóg ci wynagrodzi...
 No! ja was błogosławię rodzicielską władzą!
 Warto zapisać tę sprawę — niech kielich podadzą!

(Ścisła Marję i Henryka).

CIEŻ I PŁODOZMIAN.

PŁODOZMIAN (który słyszał ostatnie słowa, coia się przerażony).
 Marszałku dobrodzieju! poczekajcie trocha!
 Niech marszałek dobrodziej, kiedy Boga kocha,
 Słoweczko... interesik...

(Do siebie).

O biada mi, biada!

Otóż przepyszna gratka sama z rąk wypada.

(Głośno).

Marszałku! na sekrecik! coś powiem, coś powiem!

(Porywa Marszałka pod rękę i odprowadzając na stronę, szepce).
On pana oczarował tem leśnem pustkowiem.
Któż to widział — tak nagle, a tak obcesowie!

MARSZAŁEK.

Od tego Marji życie, od tego jej zdrowie,
Od tego i mój spokój, i wszystko zależy...

SĘDZIA (niecierpliwie).

A czyż niema już inszej na świecie młodzieży?

MARSZAŁEK.

Czy masz co przeciw niemu?

SĘDZIA.

Nie, nic, ale proszę...

MARSZAŁEK.

Chłopiec prawy...

SĘDZIA.

To mniejsza...

MARSZAŁEK.

I będzie miał grosze.

Marja dała mu serce...

SĘDZIA.

To niechaj odbierze...

Zresztą... panie marszałku! rozmówmy się szczerze.

(Klęka).

Ja kocham ją nad życie — aż serce się trzęsie,

Jakby mówiło do mnie: ożeń się! ożeń się!...

O posażku nie mówię: ja serca chcę więcej...

Wezmę tylko połowę: trzykroć sto tysięcy...

Choćby trzykroć, cóż robić?... resztę gdzie chcesz podziej...

Tylko nazwij mię synem, marszałek dobrodziej!

Ja panu marszałkowi... ja panu... Bóg świadek,

Wydam przepyszny obiad... przepyszny obiadek!

Sto obiadków od razu... dam zajączka, wina!...

MARSZAŁEK (z głośnym śmiechem).

Zwarjował nasz sędzisko! coś bredzić pocyna!

Zenić się w twoim wieku! z tak młodą osobą!

SĘDZIA (zawsze klęcząc).

Marszałku dobrodzieju! mam metrykę z sobą!

(Szuka po kieszeniach).

Zapomniałem w kantorku... nie więcej... nie więcej...

Trzydziesty pierwszy roczek i kilka miesięcy...

Ojcie!...

MARSZAŁEK (podnosząc go).

Powstań już, sędzio! bo śmieją się dzieci!

Skąd ta miłość przypadła do serca waszeci?

Daj pokój! w naszym wieku! my ludzie nieświeży,

Nie przeszkadzajmy szczęściu niewinnej młodzieży...

Nie mogę... dałem słowo... to rzecz uroczysta...

No! wypijemy wina i zagramy w wista!

Grudzień 1855. Borejkowszczyzna.

HRABIA NA WATORACH. KROTOCHWILA WIERSZEM Z XVI WIEKU.

„Comes de Watory,

Jeden kmieć a trzy dwory”.

R y s i ń s k i. Proverb. Cent. VI.

OSOBY:

WATORSKI, hrabia na Watorach.

HANNA, jego córka.

STANISŁAW PACHOŁOWIECKI, młody rycerz niskiego rodu.

BALTAZAR, dworzanin Watorskiego.

NEPTAL, lichwiarz.

Rzecz w wieku XVI, w starym zamku Watorach.

AKT PIERWSZY.

SCENA PIERWSZA.

Izba uboga obwieszona starymi portretami, w głębi herb srebrny. Przy skromnym stoliku hrabia WATORSKI, ubrany w powszedni kubrak, pisze, odczytuje co napisał i mówi sam do siebie.

Skreśliłem nasze herby, dawnych dóbr ogromy

I nasze skojarzenia z najpierwszemi domy;

Przedmiot zaprawdę piękny, materja bogata.

Teraz piszmy o cnotach nieboszczyka brata.

(Zamyśla się).

O cnotach!... jego cnoty... on miał swoje cnoty;
Lecz to ciche, domowe, zbyt skromne z istoty,
Rozwodzić się nie można, bo śmiechy nie miną...
Naprzykład lubił wino... ale dobre wino...

A że na drogie wina niezawsze stawało,
Raczył się cienkiem piwem i prostą gorzałą.
Ale taką moc duszy czyż oceniać prości
W człowieku wysokiego domu i zacności?

Powtóre: ród swój kochał i szanował święcie,
O zacności swych przodków czyste miał pojęcie:
Wiedział, skąd Watorówie swój proceder wiodą,
Że jeden był hetmanem, drugi wojewodą,
Że czterej kasztelani, dwaj byli biskupi,
Wiedział kim jest — i w motłoch nie mieszał się głupi...
Kiedyśmy podupadli, gdy dobra książęce
Koleją nędznych czasów przeszły w obce ręce,
Czyż miał służyć krajowi? gdzie?... w królewskim dworze?
Lub w chorągwi husarskiej — porucznikiem może —
Kędy stanowią komput plebejusze sami
I gdzie jego przodkowie byli hetmanami?...
O, nie! hrabia Wątorski, comes de Wątory,
Nie zdołał się poniżyć jeszcze do tej pory,
I na przyszłość poniżyć nie będzie nas łatwo...

(Staje przed portretem. W ciągu następnego monologu wchodzi Baltazar w szarej
lisowej kurtce i w rycerskim hełmie; a niepostrzeżony staje na stronie).

Bo wy przodkowie nasi! czuwacie nad dziatwą.
Hetmanie! tyś zastępy Bolesławów wodził;
Kasztelanie! tyś przecie z Tęczyńskiej się rodził;
Wojewodo! ty byłeś poufnym Jagielly!
Czyżby wasze zaszczyty na zawsze zginęły,
A my, waszego szczepu szacowne gałązki,
Poszli na służebnictwo lub w nierówne związki?
O nie! ja będę wierny mych przodków gromadzie!
Śmierć brata nowe na mnie obowiązki kładzie.
O! ja z chlubą przyjmuję ten ciężar zaszczytny:
Podtrzymać na mych barkach nasz dom starożytny, —

(Udaje, jakby co dźwigał).

I herb sławny na świecie, co go nic nie plami,
I ten zamek, kwitnący...

(Postrzega Baltazara i cofa się).

SCENA DRUGA.

WATORSKI i BALTAZAR.

BALTAZAR.

Mchem i pokrzywami.
Przedawszy go na cegłę, choć dziś cegły tanie,
Może z dziesięć talarów dałby kupiec za nie.
Niechby te brzydkie gruzы oczyścili żydzi,
Bo już tutaj i puszczyk zamieszkać się wstydzi.

WATORSKI (ze zgrozą).

Przedać zamek Wątory!... gdzie dziady... pradziady!...
Tylko takie plebejusz może dawać rady!
Toż najdroższa spuścizna po umarłym bracie!...
Jam dzisiaj głową rodu!

BALTAZAR.

A czapki nie macie
Do nakrycia tej głowy. Z wyprzedaży cegły
Toćby się zapłaciło jakiś dług zaległy,
Odnowiło opończę, z której barwa znika.
Zresztą... potrzeba odbyć pogrzeb nieboszczyka,
A tutaj niema grosza.

WATORSKI (groźnie).

Co??

BALTAZAR.

Pieniędzy niema.

WATORSKI.

Zuchwalcze! po to stoisz przed memi oczyma,
Abyś mi się urągał!

BALTAZAR (pokornie).

Broń mię Jezu Chryste!

WATORSKI.

Wyprzedawać Wątory, to gniazdo ojczyste,
Gdzie tyle starych orłów wylęgło się, wzrosło!...

BALTAZAR.

Ależ okna pobite!

WATORSKI.

Czyż moje rzemiosło
Naprawiać stare szyby?...

BALTAZAR.

Lecz ściana się wali,

WATORSKI.

Z pod tych ścian może nieraz wrogowie zuchwali
Pierzchli, gdy ich odparli ot ci dzielni wodze!

BALTAZAR.

A dzisiaj tu puszczyki stoją na załodze,
A trzyma w oblężeniu od przeszłej niedzieli
Sroższy od nieprzyjaciół zastęp wierzący.

WATORSKI.

Rozkaż im niech się cofną, bo przywołam strażę
I z groźnych bastyonów ognia dawać każę!

BALTAZAR.

A! jest stara armatka, chociaż dla popłochu
Możnaby z niej wystrzelić — ale niema prochu;
A strażę... dwóch pacholków, — wszakże pan pamięta,
Pojechali do lasu po drzewo na święta.

-

WATORSKI (patrząc na strój Baltazara).

Co to jest, Baltazarze? niechaj mi kto powie:
Kurta lisia na grzbiecie, a kirys na głowie,
Jakby głowa olbrzyma na ramionach karła!

BALTAZAR.

Nic, miłościwy panie! czapka mi się zdarła:
Znalazłem hełm żelazny, zardzewiały srodze,
Włożyłem go na głowę i tak sobie chodzę;
To mocniejsze od sukna, i płowieć nie zacznie,
I ochroni od zimna.

WATORSKI.

Ależ to dziwacznie,
Mieszać ubiór cywilny z rycerską ozdobą!...
Słuchaj! chcę uroczyście rozmówić się z tobą.

(Siada).

Gdy brat mój wiekopomny już spoczywa w grobie,
Piastuję zaszczyt domu w mej jednej osobie;

A ten, który się hrabią na Wątorach zowie,
Niegorszy niż Ostrogscy lub Radziwiłłowie.
Koło nich świetny orszak zawsze się kojarzy:
Mają marszałków dworu, mają sekretarzy,
Dowódców chorągiewnych, łowczych i dworzany;
A chociaż los uboższy w podziale nam dany,
Czuję, co jestem winien mych przodków zacności,
Nie dam się sponiewierać, jak plebeje prości.
Chcę mieć dwór — a że nie mam utrzymać go za co,
Ty, wierny Baltazarze, za pomierną płacą,
Wszystkie dworskie urzędy, jak rozkażę tobie,
Będiesz pełnił kolejno przy mojej osobie.
Ucałuj moją rękę.

(Wyciąga rękę, którą Baltazar całuje).

Otóż do wyboru,

Jesteś giermek, koniuszy i marszałek dworu,
Tyś piwniczny, choć zwykle przestaję na wodzie,
Tyś dowódca sił zbrojnych w moich przodków grodzie.

BALTAZAR.

A gdzież te zbrojne siły?

WATORSKI.

Niemasz... mniejsza o to!

BALTAZAR.

Ależ nie mamy koni, pan chodzisz piechotą,
Jakże będę koniuszym?

WATORSKI.

Nie frasuj się srodze:

Będiesz pilnował kija, z którym zwykle chodzę.
Lecz proszę mieć w pamięci, bo to rzecz nielada,
Że do każdej posługi inszy strój wypada:
Kiedy zawołam giermka lub dowódcy straży,
Przywdziejaj hełm i pancerz — ten strój ci do twarzy.
Gdy krzyknę: Hej, pacholcy! albo: Jest tam który?
To zjawisz się przede mną w tej kurtce z lisiury.
Jeśli zaś w takich słowach dam rozkazy moje:
Pana marszałka dworu prosić na pokoje!
Przywdziejiesz nowy żupan z futrem popieliczem
I staniesz z ukłonami przed mojem obliczem.
Gdy wołam piwniczego, miej kluczków pęk mnogi,
A gdy będziesz koniuszym, przypinaj ostrogi.

BALTAZAR.

Czyż, miłościwy panie, na każdym urzędzie
Płaca moja podwajać, potrajać się będzie?

WATORSKI.

Potem o tem pomówim; jeśli będzie za co,
Wątorscy hojną dłonią za zasługi płacą.
Pomnij być wiernym stróżem dostojnego progu.
Odejdź...

(Baltazar odchodzi).

No! urządziłem mój dwór, dzięki Bogu.
Zajmijmy się pogrzebem nieboszczyka brata.
Jednak nieco utrudza to życie magnata...

(Klaska w ręce).

Prosić rządcy dóbr moich!

BALTAZAR (za sceną).

Czy to mnie pan woła?

WATORSKI (z gniewem).

Kara Boża! ucz, gadaj — daremna móżoła!
Och! plebeje, plebeje! o głowo ty, głowo!
Mówilem ci przed chwilą... powtarzam na nowo:
Idź, zawołaj sam siebie, włóż strój, jak do gości,
I przychodź, jako rządcą moich posiadłości.

BALTAZAR (za sceną).

Panie rządcu! pan hrabia wzywa na pokoje;
A proszę się ustroić.

(Innym głosem).

Jakże się ustroję,
Gdy mój kubrak święteczny, choć lichy, dziurawy,
Musiałem jeszcze latem oddać do zastawy?
Pilno mi było grosza...

WATORSKI.

To skaranie Boże!

BALTAZAR (wychylając głowę).

Słyszałeś pan, że rządcą stawić się nie może;
Tymczasem, jak pacholek, zwiastuję wam gościę:
Jakiś rycerz przyjechał.

WĄTORSKI.

Uprzejmie go proście.

Każdy gość, co zawitał w te odwieczne ściany,
Na zamku moich przodków mile był widziany.
Słuchaj, mości marszałku! przynieś miód i wino!
Choćby ci przyszło stągiew wypłócić jedyną,
Dla gościa, co jest w domu, wszystko, co jest w duszy...
Taki zwyczaj mych przodków...

Hej, panie koniuszy!

Widzę tam dwa rumaki — wziąć do stajni obu,
Ostatnią miarkę owsa wysypać do żłobu. —
Hola! giermek! pójść gościa wprowadzić w te progi.

BALTAZAR (biegając niespokojnie po komnacie).

Moja szuba! mój pancerz!... gdzie moje ostrogi?
Gdzie moja biedna głowa?... sam już nie wiem całkiem.
Czy jestem Baltazarem, giermkim, czy marszałkiem?
Ot znalazłem ostrogę... jest hełm... ot i futro!...

(Ubiera się w szubę, hełm i ostrogi i wylatuje z komnaty).

WĄTORSKI.

Gość... rycerz... niechaj u nas zabawi przez jutro,
Bo jutro pogrzeb brata; na smutnym obrzędzie
Niech uczci dom Watorów, niechaj świadkiem będzie.
Prosić go!... nie!... czekajcie!... Hej, marszałku dworu!

(Baltazar wraca się).

To nie jest dom szpitalny lub mury klasztoru,
Ale zamek Watory... Ów rycerz z podróży,
Nim panu tego zamku swe służby w nurzy,
Może zechce się przebrać, albo spocząć nieco,
Dać mu pokój gościnny — niech ogień naniecą;
Wszak podobno jest komin w izdebce na dole.
Czy on ma swoich ludzi?

BALTAZAR.

Jest przy nim pacholę.

WĄTORSKI.

Dobrze... toć mu usłuży... znać gościowi dacie,
Że czekam za godzinę na górnej komnacie.

SCENA TRZECIA.
WATORSKI, HANNA.

HANNA (wbiegając prędko).

Ojcze! nieco kłopotów niebo nam ulżyło:
Przyjechał Stach z wyprawy...

WATORSKI.

To mi wielce miło.

Ale nim go powitam, muszę najprzód szczerze
Dzisiejsze moje myśli otworzyć w tej mierze.
Słuchaj!

(Siada z powagą).

Rzecz ci wiadoma, że sam Stwórca świata
Podzielił świat na kmiecia, szlachcica, magnata.
A pomiędzy magnaty rozliczne są stopnie:
Jeden łaską królewską swego szczebla dopnie,
Drugi zasługą wojny lub bogatem wianem
Wychodzi z prostej szlachty, a staje się panem.
To jeszcze rzecz niewielka, bo tą samą drogą
Zostać i proste kmiecie szlachcicami mogą.
A jużci... dla bogactwa i tamtych świat ceni...
Ale są jeszcze inni, wyżej urodzeni,
Wyżej... i jeszcze wyżej... słowem tak wysoko,
Że ich początków ludzkie nie dośledzi oko,
Nad których rodosłowem chociaż dniem i nocą
Heraldycy mozolnie swoje czoła poca,
A jednak ich nie mogli zgłębić do tej pory...
Naprzykład: Watorówie — Comites Watory...
Chcesz poznać ich odwieczność, czytaj foliały,
Co mi się dziś po bracie spuścizną dostały,
Spisane jego ręką do ksiąg starych szczętów,
Oparte na powadze starych dokumentów...
Patrz na ten herb, ze srebra czystego wykuty:
Na nim lwy, słońca, gwiazdy, orły i koguty,
Na głównej tarczy beczka, a nad nią dwa klucze.
Słuchaj, ja cię znaczenia tych herbów nauczę.

HANNA.

Lecz ojcze, Stach przyjechał...

WĄTORSKI.

Nie myśl tam o Stachu!
Córka hrabiów Wątorskich w swoich przodków gmachu
Ważniejszymi rzeczami niech zaprzęta głowę,
Aby zdołała poznać swe dzieje rodowe.

(Wskazując tarczę).

Patrzaj na ten herb srebrny: oto beczka wina,
Nad nią na krzyż dwa klucze, berło je przecina;
Tym herbem, jak uczony Anzelmus dowodzi,
Pieczętował się Noe jeszcze w swojej łodzi.
Jafet, średni syn jego — patrz na lewą stronę —
Już nad beczką miał w herbie hrabiowską koronę;
A u beczki, rzeźbiarza ręką pracowitą,
Czy uważasz? Wątory wyraźnie wyryto:
Więc i ślepy odgadnie, że od tamtej pory
Już się pisał Wątorski — Comes de Wątory.
Na inny czas odkładam ciąg wywodzić prosty
Od Jafeta do Pawła rzymskiego starosty,
Który był prapradziadem mego prapradziada,
A po którym ów tytuł prosto na mnie spada...
Dość powiedzieć, że m krewny z najpierwszymi władce,
Z Romulusem po ojcu, z Cyrusem po matce.
Tutaj znajdziesz ich herby — na dziś o tem dosyć
Pocznijmy ród Wątorów do Polski przenosić:
Jeden z Wątorskich, Sławosz, rodził się z królewny,
Przydał do herbu ćwieczek, bo był Lecha krewny;
Drugi, jak świadczy powieść mgłą wieków pokryta,
Ten sam zamek Wątory wziął od Ziemowita,
Położył fundamenta rodowej kolebki,
Pieczętował się beczką — a w niej cztery klepki.
Odtąd na nas godności płynęły, jak z wodą:
Wątorski był hetmanem, drugi wojewodą,
Trzeci, najpierwsze krzesło zajmując w senacie,
Z Władysławem Jagiełłą był za panie bracie;
Był hetman, co zastępy Bolesławów wodził,
A miecznik, moja pani, z Tęczyńskiej się rodził;
Kilku było biskupów, czterech kasztelanów...

HANNA.

Lecz, ojcze, mamy gościa...

WĄTORSKI.

Dobrze się zastanów,
A sama łąco uznasz...

HANNA.

Ależ tam gość czeka!...

WĄTORSKI.

Właśnie do tego punktu przyszedłszy z daleka,
Pomówmy otwarcie:

Świat zmienia się skoro,
I najpierwsze rodziny upadek swój biorą;
Jeden dom musi ginać, drugi łaski chwyta,
Jak naprzykład w tych czasach Zamojszczyk Jelita,
Który został za jednym faworów ujęciem
Hetmanem, i kanclerzem, i królewskim zięciem;
Wtenczas gdy ja, potomek tak świetnego przodka,
Miałem ubogi dworek i jednego kmiotka.
Mój brat, a twój stryj, Hanno, po którym dziś płaczem,
Także musiał przestawać na chlebie żebraczym;
Przedane były włości i ziemne obszary,
Ale posiadał dworek i ten zamek stary,
Kolebkę swego rodu. Ja, młodszy syn domu,
Nie taję się, żem bratu zazdrościł kryjomu,
Iż on mieszka na zamku, ja w drewnianej budzie.
Wiedziałem, ktośmy tacy, że nie prości ludzie,
Że się żaden Wątorski służbami nie zmazał;
Lecz tej szacownej księgi brat mi nie pokazał:
Więc niejasne pojęcie mając o swym rodzie,
Marzyłem. jak plebejusz na skromnej zagrodzie.
I przyznam się, że wielce byłem ucieszony,
Gdy Stach Pacholowiecki zawitał w te strony,
Syty wojennej chwały, i młody, i hoży;
Rad byłem, kiedy m widział, że starania łoży,
By pozyskać twą rękę. Ja marzyłem skromnie,
Kiedy zamek Wątory nie należał do mnie:
Bo choć miła dla serca dostojność rodzina,
Brat ma syna — myślałem — ten syn ją podtrzyma.
Lecz dzisiaj... dzisiaj, Hanno insza nasza sfera:
Umarł syn mego brata, dzisiaj brat umiera,
A ja na czele rodu; — póki jeszcze tlejem,
Nie dam ci się niesławnie połączyć z plebejem.
Patrz: zamek naszych przodków w gruzy rozsypany:
Ty musisz świetnym związkiem podeprzeć te ściany.
Nie dla ciebie na męża skromnej szlachty dziecię:
Są Górkowie, Tęczyńscy, Zborowscy na świecie;

Niejeden lew sarmacki, jak pokorne jagnię,
Z świetnym domem Watorów złączyć się zapragnie;
A że się już na tobie nasze gniazdo kończy,
Niechaj z naszym nazwiskiem swe nazwisko złączy.
Zabłyśnie stara świetność na watorskim dworze,
A wtedy...

SCENA CZWARTA.

CIŻ I BALTAZAR.

BALTAZAR (wchodząc).

Gość was pyta: czy się widzieć może?

WATORSKI.

Prosić go.

BALTAZAR.

Pleban przysłał dzwonnika od siebie,
Pomówić z Waszą Cześcią o przyszłym pogrzebie,
I rachunek wydatków... a rachunek suty...

WATORSKI.

Mój Boże! a ja jestem z szeląga wyzuty!
Chciałem pogrzeb uświetnić, sprosić wielu gości...
Co tu począć?...

(Chodzi niespokojnie po scenie).

Zastawię moje posiadłości,
Powinni dać pieniądze... to środek jedyny...

BALTAZAR.

Jeden kmieć, dwa folwarczki i zamku ruiny
To całe wasze hrabstwo — długów co niemiara,
Lichwiarze na to wszystko nie dadzą talara.

(Kłania się).

Niech to będzie, co powiem, bez pańskiej obrazy...

WATORSKI.

Dać cyrograf na sumę większą o dwa razy,
Zapewnić wielką lichwę...

BALTAZAR.

Nie dadzą i kwita!
Wprawdzie tutaj z pieniędzmi jest Izraelita,
Ale jego warunki ciężkie, niespodziane.

WĄTORSKI.

Na wszystkie się podpiszę, na wszystkie przystanę!
Byle hrabia Wątorski, mój brat pierworodny,
Był pogrzebion z przepychem, którego jest godny;
Byleby jego trumnę suto ozdobiono
Szkarłatnym aksamitem z hrabiowską koroną,
Byleby czarne kiry obito w kościele,
Byleby świec jarzących było bardzo wiele;
Byleby kaznodzieja, z karty, co mu skreślę,
Starożytność Wątorskich wypowiedział ściśle;
Byleby...

BALTAZAR.

Ale trudno.

WĄTORSKI.

Cóż?

BALTAZAR.

* Nadzieja krucha!

O żadnym cyrografie lichwiarz ani słucha,
Chce po prostu służalec szkaradnej mamony...

WĄTORSKI.

Cóż? zakupić w pół darmo przyszłoroczne plony?
Mniejsza o to... pomyślę, że mię okradł złodziej.
Już się zgadzam na wszystko.

BALTAZAR.

Nie... pan się nie zgodzi.

WĄTORSKI.

Czegoż chce??

BALTAZAR.

Nie śmiem mówić...

WĄTORSKI.

No! powiadaj śmiało!

BALTAZAR.

Chce po prostu wziąć w zastaw... ot tę tarczę białą.

(Wskazuje tarczę herbową).

Mówi, że to ze srebra... sto talarów warta...
Zabytek lepszych czasów...

WATORSKI (z gniewem).

A idźże do czarta!

Mości marszałku dworu! żart trochę za gruby!

BALTAZAR (nieśmiało).

On mówi, że to czyni... że w tem ma rachuby...

Że, pan, ceniąc ów klejnot, prędzej go wykupi...

WATORSKI (z gniewem chodząc po scenie).

Powiedz mu: że on głupi!... i sam jesteś głupi!

Ja... herby moich przodków... o hańba! ohyda!

Miałbym na jedną chwilę zastawić u żyda?!

Stemmata Romulusa... Jafeta... Tankreda...

Choć za tysiąc talarów?!

BALTAZAR.

Nie, on tyle nie da:

Widział u nieboszczyka, co warta ta sztuka,

A jego, panie hrabio, już nikt nie oszuka.

Powiada, że tej tarczy każdą część pamięta,

Że ten kogut na hełmie... to blacha wydepta;

Powiada, że nieboszczyk, potrzebując grosza,

Srebrnego na żelazny zamienił kokosza;

Powiada...

WATORSKI (po namyśle).

Dosyć tego! Bóg wie o czem gwarzym.

Pójdę sam się rozmówić z niegodnym lichwiarzem,

Może zdołam wyjednać warunki łaskawsze...

(Do Hanny z cicha).

Ty, Hanno, przyjmiesz gościa, lecz zimniej niż zawsze;

Sama go nie ośmielaj i ja nie ośmielę:

Hrabianka na Watorach dziś wyższe ma cele.

Wkrótce po twoją rękę — ot może jak z chmury —

Przyjedzie Wiśniowiecki lub Zborowski który...

Panie marszałku dworu! proś gościa do sali.

Hej, służba! Baltazarze, niechby wina dali.

Ja tu zaraz powrócę...

(Do Hanny).

Jeśli on nieznacznie

O dawniejszych uczuciach pomrukiwać zacznie,

Niech go spotka wzrok chłodny i taki ponury,

Aby już więcej nie śmiał powracać w te mury.

Tak chcą twoi przodkowie.

(Odchodzi z Baltazarem).

SCENA PIĄTA.

HANNA (sama, rzuca się na krzesło z boleścią).

Nie sposób!... nie sposób!...

(Po chwili).

Czekać tu na przybycie znakomitych osób?

Na co mi znakomitość?... co to wszystko znaczy?

Dlaczego się dziś ojciec z przodków tak junaczy?

Co znaczy herb ze srebra i ciąg rodu długi,

Wobec młodego czynu i świeżej zasługi?

Jak równać pleśń do kwiatu?... O Boże mój, Boże!

Ja kocham Stanisława — on wiedzieć to może;

Bo kiedy stąd odjeżdżał na pole swej chwały,

Musiał dostrzec, żem blada, że mi ręce drżały;

Bo głosem takim ufnym, rzewnym mimo chęci:

Hanno — mówił — zechciejcie chować mię w pamięci.

Tam w boju tyle śmierci czyha na rycerze,

Niechaj wasza modlitwa mojej głowy strzeże!...

Łzy mi w oczach stanęły, jam rzekła Stachowi:

Dobrze, modlić się będę... wracajcie nam zdrowi!...

Modliłam się codziennie, serdecznie a skrycie,

I może mu na wojnie wymodliłam życie...

A dzisiaj, gdy powraca, gdym w sercu tak rada,

Czyż modłów, czyż radości zaprzec się wypada?...

Mamże się samej siebie okazać niegodną?

Kłamać własnemu sercu i przyjąć go chłodno?...

Dobrze! jeśli chce ojciec, jeśli chcą przodkowie,

Usta skłamią nieczułość... lecz wzrok — prawdę powie...

SCENA SZÓSTA.

HANNA, STANISŁAW (w rycerskim stroju).

STANISŁAW.

Witajcie, krasna Hanno! czołem wasze progi!

HANNA (podając mu rękę, ze źle ukrytą obojętnością).

Panie Pacholowiecki! witajcie nam z drogi!...

Jakże się powodziło?

STANISŁAW.

Dobrze, jak widzicie:

Bóg wśród tysiącznych śmierci ocalił mi życie.

Czułem waszej modlitwy skuteczne wołanie,
I wam, Hanno, przychodzę podziękować za nie!
A jakże wasze zdrowie?... Tak jesteś wzruszona!...

HANNA.

Plakałam... stryj mi umarł...

STANISŁAW.

A dziś pogrzeb pono.
Wierzcie mi, biorę udział w każdej waszej szkodzie,
A każda wasza boleść żywo serce bodzie.

HANNA.

Dziękuję wam za udział i zupełnie wierzę.

STANISŁAW.

A wasz ojciec?

HANNA.

Pogrzebem tak zajęty szczerze,
Tyle różnych kłopotów w kościele, we dworze,
Że ledwie za godzinę powitać was może...

(Milczenie).

STANISŁAW.

Jak to Hanno? słyszałem tu w pobliskiej chacie,
Że wasz dworek nad rzeką na zawsze rzucacie?
W tak cudnem położeniu, przy błoni, na górze,
Kędy lipy w ogrodzie rozrosły się duże,
Gdzie na chłodawym wietrze, nad rzeczną odnogą,
Błąkać się tak wesoło, oddychać tak błogo!
Czyż taniego zacisza było wam niedosyć?
Że w te ciasne zwaliska chcecie się przenosić?
Tu wszystko wieje grobem, stęchlizną i pleśnią,
Jakieś więzienne myśli do głowy się cieśnią,
Tu wolnego oddechu dla piersi nie złowię...

HANNA.

Ten zamek spadł po stryju — tu nasi przodkowie
Mieszkali w dawne czasy. Murom, co dziś kwitną,
Mój ojciec chce przywrócić świetność starożytną...
Taka jest woła ojca...

(Milczenie).

STANISŁAW (do siebie).

Boże! co za zmiany!
Gdzie ten wyraz radości na twarzy rozlany,
Którym bywało wita, gdy ku niej przychodzę?...

HANNA (do siebie).

Och! jak ten ciężki przymus dolega mi srodel
Lecz taka wola ojca...

(Po pauzie głośno).

Od tak dawnej chwili,
Gdzieżeście przebywali? i coście czynili?
Nie było o was słyhać.

STANISŁAW.

Bo niegłośne sprawy.
Mielecki, wielki hetman, był na mnie łaskawy;
Przy nim z orężem w rękę, z przyłbicą na czole,
Uganiałem Tatary, co łupią Podole.
Jakież to piękne życie!... lecieć w bój otwarty,
Bezpieczeń... bo modłami życzliwymi wsparty!
Pod wodzem doświadczonym, w ustawicznym trudzie,
Piersią zasłaniać wioski, gdzie bezbronni ludzie,
W pięknych jarach i stepach uwijać się żywo,
Puścić konia, jak wichur, za hordą błędną,
Wpaść na cały ich tabór, odebrać zdobycze,
I z jeńców rozwiązywać więzy niewolnicze!
Iluż błogosławieństwa nagradza się praca,
Gdy się matce stroskanej jej dziecię powraca!
Gdy starzec, co w niewoli miał już umrzeć pono,
Wyzwolony powita swą wioską rodzoną,
A z płaczem przywoławszy swe wnuki i dzieci,
Za swojego wybawcę modlić się poleci,
I na chleb swój zaprosi!... Jakże miło potem
Spocząć na twardym siodle, pod prostym namiotem!
Jakie sny pełne nieba, bez skazy, bez plamy,
Tylko rzewne tęsknotą... po tem, co kochamy!...

HANNA (do siebie z rozrzewnieniem).

Dawni ludzie musieli żyć taką zasługą;
Cóż za dziw, że ich wnuki chlubią się tak długo
Swem pięknem pochodzeniem?... Lecz chluba daleka
Być prawnukiem z prawnuków wielkiego człowieka,
A piękniejszą i świętszą ten musi mieć postać,
Kto, nie licząc swych przodków, sam wielkim mógł zostać.

STANISŁAW.

Potem hetman Mielecki jechał na Wołoszę,
Więc i ja się do niego pod chorągiew proszę;
I tam walcząc z Bohdanem na Iwona imię,
Ważneśmy otrzymali zwycięstwo w Chocimie.
Obok Ciołka, Herburta, Czuryły, Temruka,
Poznałem, co jest bojów regularnych sztuka.
Bóg dozwolił prowadzić mój zawód dostojnie,
Wzbogacił doświadczeniem i łupem na wojnie.
Zyskawszy nieco sławy, wróciliśmy zdrowi
Oddawać nowe służby Polsce i królowi.
Wielkie dla nich me serce obowiązki chowa:
Bo mię sam Zygmunt August i sama królowa,
Kiedy jeszcze zaledwie dzieckiem być przestaję,
Posłali dla nauki w zagraniczne kraje.
Tamem się pilno uczył rzeczy tu nieznaney:
Poznać budowę fortec, rysować ich plany,
Poznać sztukę mierniczą, jak się plany biorą,
I pisać różnem pismem kunsztownie a skoro.
Wdzięczność za tyle nauk mając przed oczyma,
Choć Zygmunta Augusta na świecie już niema,
Nie czułem się spokojny, aż mój dług wypłacę,
Dworowi królewskiemu poświęcając pracę.
Król Stefan był przychylny i przyjąć mię każe
Między Jego Królewskiej Mości sekretarze,
Gdzie przy boku kanclerza, na dostojnym dworze,
Pożyteczną zasługą odznaczyć się może...

HANNA (na stronie).

Zawsze praca... zasługa... wciąż o jednym marzy...
O! jakże młodzieńcowi taka myśl do twarzy! —
A jednak, on w tych myślach zanadto ugrzęzły,
Zerwał inne ze światem łączące go węzły:
Na świetnym dworze króla, sławny i bogaty,
Może już nie pamięta, co kochał przed laty.

(Głośno).

A jakże tam w Krakowie wasz czas przepędzacie?

STANISŁAW.

Przy pracy, lub na służbie w królewskiej komnacie...
A kiedy się unużę pracą nieustanną,
Idę za miasto dumać... dumać o was, Hanno!
A wy, czy choć niekiedy o mnie przypomnicie?

HANNA.

O panie Stanisławie! u nas insze życie:
Tu niema świetnych zabaw, jak u dworu bywa,
Tutaj trąba bojowa dumań nie przerywa,
Wiejska cisza, modlitwa i piękna przyroda
Żadnej do roztargnienia zręczności nie poda;
Kółko jednych przedmiotów ciągle nas oplata,
Jednemi wspomnieniami żyjem długie lata,
A kiedy smutno sercu i łza w oczach stoi,
To wspomnienie przychodzi i smutek ukoj.
Miło nam noc bezsenną przemarzyć w ukryciu,
I długo śnić na jawie o-dawniejszem życiu...

STANISŁAW.

Hanno! wy moje szczęście spełniacie w tej dobie...
Jednaka nas tęsknota ciągnęła ku sobie:
Kiedy byliśmy całym rozdzieleni krajem,
Myśli nasze ku sobie zbiegały się wzajem...
Więc Hanno!... jeśli wola, gdy serce bez zmiany,
Odnówmy naszych wspomnień ciąg niezapomniany!

(Z zapalem biorąc jej rękę).

Dajcie mi waszą rękę, i dzisiaj, w tej chwili,
Zamieńmy w rzeczywistość to, cośmy marzyli!...

HANNA (cofając się).

Stanisławie... ja nie wiem... na zawsze jam wasza;
Ale dziś... dać wam rękę... ojciec mię przestrasza...
Nie mogę... przyjaźniejszej poczekajmy pory...
Bo ojciec...

SCENA SIÓDMA.

C I Z I W A T O R S K I.

WATORSKI (wpadając nagle, dumnie).

Jest Wątorski, comes de Wątory!
Pra-pra-pra-wnuk hrabiego Jafeta jedyny,
Pan zamku swoich przodków i głowa rodziny!
Choć jeden tylko zamek, mniej liczne mam wioski,
Równy mi Wiśniowiecki, Tęczyński, Zborowski,
A może wyższy od nich, miłościwy bracie!...
A wy kto, co po rękę mej córki sięgacie?

(Z przyciskiem).

Szlachcic Pacholowiecki... to coś, jak pacholę...
Herb Równia... wielkie święto!... już żadnego wołę!
Równia... królewski pisarz!... rycerz z pod Chocima!...
Umie rysować zamki, ale sam ich niema!...
Nie dla was połowica w naszym gnieździe starem:
Moja córka być musi tych murów filarem!

STANISŁAW (kładąc rękę na głowni pałasza).

Panie! tyle obelgi... takie urąganie
Tylko od ojca Hanny przenieść jestem w stanie.
Nie bluźnię twoich przodków przedwiecznej rodzinie,
Bo ich krew droga dla mnie w sercu Hanny płynie;
Ale wara przymawiać, że mój herb za świeży:
Osobistej zasłudze także coś należy!
Jeśli wam herb mój skromny nazbyt w oczy kole,
Dziś dosłużyć się nowych wyborne mani pole:
Oto Stefan Batory dziś wojnę ogłasza,
Ze mną Bóg, moja miłość i ostrze pałasza!
Nieprędko, nieinaczej powrócę w tę stronę,
Jak wioząc nowe herby, krwią własną zbroczone.
A kiedy przyjdę do was w bohaterskiej sławie,
Moją Równię na równi z twem rodem postawię.
Zawstydzisz się przemawiać wobec całej ziemi,
Żem zdobył moją świetność piersiami własnymi.
Wtedy będę już godzien wejść w waszą rodzinę...
Hanno! pomódl się za mnie, gdy na wojnie zginę!...

SCENA ÓSMA.

C I Ż prócz STANISŁAWA.

WATORSKI.

Patrz, jaki hardy szlachcic!... przestraszył mię nieco...
A jak twarz jego pała! a jak oczy świecą!
Szkoda, że nie potomek wysokiego domu...

(Do Hanny).

Lecz nie dam twojej ręki nikomu... nikomu,
Kto świetnych antenatów nie otrzymał w darze,
Kto przynajmniej trzech herbów w tarczy nie okaże!
Wola moja niezłomna — tu płacz nic nie nada...
Lecz już dzwonią na pogrzeb — pospieszyć wypada,
Ubierz się w czarne krepy i osłony białe,
Przybierz postać wyniosłą, wejrzenie wspaniałe,

A nigdy nie zapomnieć proszę od tej pory,
Żeś potomek Wątorskich, hrabiów de Wątory.

(Hanna odchodzi).

SCENA DZIEWIĄTA.

WĄTORSKI (załamując ręce w rozpacz).

Lecz mój herb... herb mój srebrny, odwieczny, bogaty,
Na którym wyrażono wszystkie antenaty,
Którym byli tak chlubni praojcowie starzy, —
Musi iść na zastawę, do brudnych lichwiarzy!
Sto talarów... dał przecie... o! łzami je broczę!
Trzydzieści trzy procenta... termin za półrocze...
A broń Boże urodzaj zawiedzie mię zdradnie,
Świetny klejnot domowy w zastawie przepadnie...
Szczęście, kogo Wątorskim urodziły nieba!
Lecz dźwigać takie imię — silnych bark potrzeba...
Hola! służba! pacholcy!

SCENA DZIESIĄTA.

WĄTORSKI, BALTAZAR.

BALTAZAR.

Staję, jak pacholę.

WĄTORSKI.

Zdejmij ten herb i zanieś do komnat na dole;
Powiedz rządcy dóbr moich...

BALTAZAR (na stronie).

To znaczy sam sobie.

WĄTORSKI.

Że z lichwiarzem interes osobiście zrobię.
Niech przyniosą rachunek i pieniądze w worze,
I gotowy cyrograf — ja pieczęć przyłożę.

AKT DRUGI.

SCENA PIERWSZA.

BALTAZAR, WĄTORSKI (w ruinach zamkowych z rydlami
w prostej odzieży kopią ziemię; Wątorski przy pałaszu).

BALTAZAR.

No, miłościwy hrabio! mamy już południe,
Czas odpocząć po pracy, kopaliśmy cudnie;
A wasza miłość rydlem tak wybornie włada,
Jakby nigdy hetmanem nie miał pra-pra-dziada.

(Zdejmuje kapelusz, stawia rydel i siada na zwalisku muru).

WĄTORSKI (także kładąc rydel).

Wstyd mi, wstyd mi, zaprawdę, tak pracować w pocie;
Lecz ludzie z mego hrabstwa w polu na robocie,
A ten ogród zarastał chwastem do tej pory...

(Z bolesnym śmiechem).

Ha! cóż począć? Wątorski, comes de Wątory,
Gdy mu całkiem na środkach utrzymania zbywa,
Musi sam własnoręcznie uprawiać warzywa!

(Siada na drugim zwalisku).

Baltazarze! ty jeden wiesz na całym dworze,
Że incognito czasem me serce przyłożę
Do rydla lub siekiery — to przykład jedyny,
Domowa tajemnica Wątorskich rodziny:
Umiej ją poszanować! Nie tylko ktoś inny,
Lecz cienie moich przodków znać jej nie powinny!...
Wątorski kopie rydlem!... od takiej zakały
Romula i Cyrusa kości-by zadrżały;
A biskupi, hetmani i wojewodowie
Mogliby ze swych trumien złorzeczyć mej głowie!...
Lecz cóż począć?... Posiadam jeden ziemi szmatek,
Jeden kmieć a trzy dworv! chleba niedostatek...
Choć z rodu miałbym prawo dygnitarzem zostać.
Muszę dźwigać ubóstwo, nikczemną mieć postać;
Bo ludzie świeżej daty, co dziś krajem władną,
O hrabi na Wątórach zapomnieli snadno...
Czekając dla tych murów szczęśliwszej jutrzénki,
Muszę dzisiaj, rad nierad, rydel brać do ręki.

BALTAZAR (z rezygnacją).

Gdy służą jeszcze siły, jedzmy chleb w mozole.
Czy wierzysz Wasza Miłość? ja to lepiej wolę,
Niżli biegać na służbie w ustawnej pogoni,
Być marszałkiem bez dworu, koniuszym bez koni,
Piwniczym bez piwnicy, że aż boli dusza —
Wolę pocciwy rydel!

WATORSKI (patrzac na stronę).

Jak znać plebejusza!

A jednakże, jeżeli oko mnie nie myli,
Naczelnikiem sił zbrojnych musisz być w tej chwili.
Jakiś powóz na drodze wymija rozdroże...
Czy też pojedzie dalej? czy do nas być może?...
Przywdziej zbroję i ruszaj na zamkową wieżę:
Niech twój sygnał na trąbie zawczasu ostrzeże,
Jeśli do Watorów zakierował drogą;
W tym stroju, z rydlem w rękę, przydybać mię mogą,
To byłby cios śmiertelny!

BALTAZAR.

Daremna mozola!

Droga chwastem zarosła do naszego siola:
Nikt pewno nie przyjedzie przeszkodzić nam w pracy.

WATORSKI.

Teraz, widzisz, z wyprawy wracają wojacy,
Mogą do nas zawitać; nic bym się nie dziwił.
Gdyby który Zborowski, lub książę Radziwiłł
Przyjechał do Watorów prosić rękę Hanny...

BALTAZAR (do siebie).

Znów mu głowę przewrócił ten szal nieustanny!
Dziewczyna, nim się pańskich doczeka zalotów,
On ją do dnia sądnego doma więzić gotów;
A szkoda! wielce szkoda!

WATORSKI.

No, ruszaj na wieżę!
Pomnij uderzyć w trąbę...

BALTAZAR.

Pewno nie uderzę:
Bo choć codziennie wychodzę i ślepię oczyma,
A żadnego księcia jak niema, tak niema!

WĄTORSKI (niecierpliwie).

Będę czekał lat dziesięć, choćby lat dwadzieście,
Doczekam się książęcia... doczekam się wreszcie!
A waść dowódca straży, to czuвай nad strażą,
Nie wdawaj się w rozprawy i czyn, co-ć rozkażą!

(Baltazar ruszając ramionami odchodzi).

SCENA DRUGA.

WĄTORSKI (sam).

Ja sam poczynam wątpić — lękam się zawodu...
Lecz wydać za plebeja córkę mego rodu
Niepodobna... Przodkowie.. zmarszczą się ich twarze,
Kiedy z niepewnym herbem moją krew skojarzę...
Nie szpieszmy — poczekajmy dostojniejszych osób:
Orlicy trzeba orła, inaczej nie sposób!...
Na skrzydłach tego orła — po trosze, po trosze
Wznosi się dom Watorów... i ja sam się wznoszę.
Wsparty wziętością zięcia, dwa starostwa biorę,
(Dziś intratne starostwo dla mnie w samą porę,
Bo na gwałt trzeba grosza...) Gdy rosnę w honorze,
Kasztelaństwo krakowskie zawakować może;
Staram się... otrzymuję... zasiadam w senacie,
I oto w dostojności nowej mię poznać...
Będę się podpisywał ogromnemi głoski:
Wątorski de Wątory, Kasztelan Krakowski,
To pięknie brzeczy w ucho!... W tej fortunnej zmianie
Hetman wielki koronny umrze niespodzianie,
Ja zostaję hetmanem — i jakimże jeszcze!...
A wtedy obok przodków mój portret umieszczę:
W jednej ręce buława, co oznacza władzę,
Drugą za pas się trzymam, albo wąsy gładzę...

(Bierze rydel zamiast buławy i układa się w pozę).

A czoło wypogodzę... nie... nachmurzę wolej;
Będę miał strusie pióro u czapki sobolej,
Karmazynową delię, żupan złotolity,
A nad głową napiszą wszystkie me zaszczyty
I wymalują herby z całym rodowodem:
Korona z dwoma berły, a beczka pod spodem...
Tak będę wisiał w sali... w moich przodków sali...

(Słychać trąbę).

A to co?. dają sygnał?... goście przyjechali?

Księżęta!... niezawodnie!... doczekałem wreszcie...
Hej służba! na spotkanie co prędzej wybieżcie!
Mój ubiór!... ale żupan świąteczny podarty...
Nie włożę... siadę tutaj, na murze oparty,
Przeproszę moich gości za lekkie ubranie,
Niby mię tu w ogrodzie zesłi niespodzianie.
(Siada majestatycznie na zwalisku).

SCENA TRZECIA.

WATORSKI, BALTAZAR (wpada przestraszony).

WATORSKI.

Marszałku! kogoż z gości zwiastujesz mi wasze?

BALTAZAR.

Och! panie! złe nowiny... może go przestraszę...
Przybył gość niespodziany... i tu prosto zmierza...
Ten... ten... ale...

WATORSKI.

Któż przecię?

BALTAZAR.

Lichwiarz z Sandomierza.
Dał na zastaw pieniądze z terminem we żniwa...

WATORSKI.

No, pamiętam... pamiętam...

BALTAZAR.

Dziś termin upływa.

WATORSKI.

Liczyłem na urodzaj, ten zawiódł mię zdradnie...
Nie oddam, bo nie mogę...

BALTAZAR.

Toć zastaw przepadnie.

WATORSKI.

Tarcza z herbem mych przodków ma zostać przy żydzie!
To za ciężka zniewaga!...

BALTAZAR.

Otóż on sam idzie!

(Wątorski siada majestatycznie na gruzach, jak przed chwilą).

SCENA CZWARTA.

CIŻ I NEFTAL.

NEFTAL (wchodząc z lekkim ukłonem bez zdjęcia czapki).
No? a co z nami będzie?

WĄTORSKI (z powagą).

Sprawa swoją drogą;
Ale pomnij, gdzie jesteś i mówisz do kogo!
Mogłeś czapki uchylić.

NEFTAL (z uśmiechem).

Aj! wielcy panowie!
Jestem w domu dłużnika i z dłużnikiem mówię:
Czy jeszcze za mój pieniądz mam kłaniać się może?
Tu czapka nie zawadzi — bo wietrzno na dworze.
(Poprawia czapkę).

WĄTORSKI.

Przyszedł, by mi ubliżyć — na cześć nie pamięta!
(Do Baltazara):
Niech z przed mego oblicza usuną natręta!
Nie chcę go więcej widzieć!

NEFTAL.

Tylko zapłać wasze! —
Ja się strachów nie lękam, groźby nie przestraszę.
Mam cyrograf waszmości i termin wypłaty.
Od czego woźny, pozew i sądowe kraty?...
No! czego tu się gniewać? wszak takie umowy.
(Patrzac na Wątorskiego, który ima się głowni pałasza):
Zresztą, jeśli potrzeba — zdejmę czapkę z głowy.
Czy waszmość dasz pieniądze?

WĄTORSKI.

Miej trochę pokory:
Jestem hrabia Wątorski — comes de Wątory!
Nie nazywam się waszmość, lecz trochę inaczej!

NEFTAL.

Czy waszmość, czy jegomość — wszystko jedno znaczy.
U mnie tylko wielmożni panowie bogaci,
A ten pan miłościwy. kto swe długi płaci.
Czy gotowe pieniądze?

WATORSKI.

Mój mości Neftali,
Patrz na wieże tych murów!

NEFTAL (patrzy na wieżę).

To coś będzie dalej?
Cegła stara, pobita, mało z niej intraty.

WATORSKI.

Lecz tu bohaterowie mieszkali przed laty!

NEFTAL.

Musi być bardzo dawno.

WATORSKI (dumnie).

Lat pięćset, to mało?!

NEFTAL.

A gdzież tych bohaterów bogactwo zostało?

WATORSKI.

Zostało w księdze dziejów, których czas nie spożył,
I na tarczy herbowej, com w twe ręce złożył;
Na portretach, co jeszcze pleśni nie uległy,
I na ceglach tych murów!

NEFTAL (patrzac ciekawie).

Wszak to proste cegły,
Stare, pobite, kruche, nic niewarte sądzę.
Ja cegłą nie handluję — daj mi pan pieniądze;
A przez grzeczność... zobaczmy... niech i pan co zyska, —
Mogę nastreczyć kupca na te rumowiska.

WATORSKI.

Jakto! mniemasz, że ciężką obarczon biedotą,
Mury moich naddziadów mam sprzedać na złoto?
Nie! jeszcze mię tak ciężka nie przytłacza bieda;
Obejdę się bez złota.

NEFTAL.

Tu złota nikt nie da.
Możnaby gruz na cegłę wyprzedać ryczałem;
Nie chcesz pan... mniejsza o to... nie odbieram gwałtem;
Lecz co będzie z mym długiem? Czekam do tej pory.

WATORSKI.

Święty jest dług, oparty na zamku Wątory...
Ale słuchaj, Neftali! liczyłem na żniwa,
Lecz zima była ciężka... wiosna nieszczęśliwa...
Latem wypadły grady — miej proszę na względzie.
Ja dziś nie mam pieniędzy.

NEFTAL.

A cóż z tego będzie?

WATORSKI.

Musisz trochę poczekać.

NEFTAL.

Na co tu czekanie?

Mam zastaw, pańskie herby, i mam kupca na nie.
Będzie strata — cóż robić? liche nasze zyski!
Każę herby przetopić na srebrne półmiski.
A kiedy wielka strata, nie dopuszczaj Boże!

(Wpada w gniew).

To ja na pański zamek trzy pozwy położę!
Będę się procesował, pozna pan dobrodziej!
Co ten herb? Srebro liche! waga nie dochodzi!
A na wierzchu kogutek, i to z blachy jeszcze!
O! ja tego kogutka na karczmie umieszczę,
I pod znakiem koguta zrobię szynk na wino,
Aby wszyscy widzieli rzetelność waścina!...

(Uspakaja się nieco).

Zresztą, panie Wątorski... jeślibyście chcieli,
Dam waści trzy dni czasu — termin do niedzieli;
Lecz w niedzielę, broń Boże, pieniędzy nie będzie,
Areszt na te zwaliska kładę na urządzie;
Srebrny herb dam przetopić, bo na to mam władzę,
A kogutka na dachu karczemnym posadzę...
A teraz życzę dobrem pocieszać się zdrowiem!

(Kłania się).

Waszmość wiesz, żem ja słowny — dotrzymam, co powiem.
Do niedzieli!

(Odchodzi).

SCENA PIĄTA.

WATORSKI, BALTAZAR.

WATORSKI (załamując ręce).

Szatanie!

BALTAZAR.

Hej, panie Neftali!

NEFTAL (wychylając twarz z za muru).

Do niedzieli poczekam... lecz nie mogę dalej;
Potem herby przetopię...

(Znika).

BALTAZAR.

Czekaj! jedno słowo!

NEFTAL (ukazując twarz znowu).

A koguta umieszczę na wiechę szynkową!

(Znika).

BALTAZAR.

Poczekaj! pogadajmy! czy się waść ośmieli!

NEFTAL (jeszcze raz wygląda z za muru).

A zamek zatraduję; termin do niedzieli.

(Znika).

WATORSKI (z boleścią).

Więc w rękach u lichwiarza, pod młotem złotnika,
Ta najświętsza pamiątka mego domu znika!
Kruszą się, łamią, topią, jakby cyna podła,
Romulów i Cyrusów przedwiekowe godła!
I stanie się za chwilę jedną kruszcu bryłą
Cały ślad moich przodków, jakby ich nie było!...
Przyjdą płatni mularze, z sądową pomocą,
I młotem te odwieczne wieżycy zgruchocą;
A świetny dom Wątorskich, dom moich pradziadów,
Zniknie z oblicza ziemi, bez szczątków, bez śladów;
I uschną wiekuiste rodowe wawrzyny...
I to za moich czasów!... i to z mojej winy!...

(Z rozpaczą).

Ja miałem pielegnować, i ja sam to niszczyć!...
O nie! pierwaj krew moja obleje to zgłiszczce —
A kronika zapisze w potomność odległą:
Padł ostatni Wątorski pod ostatnią cegłą
Zamku swoich naddziadów... Tak! jeden krok śmiały!
Choć raz trzeba być mężnym — nie przeżyć zakały!

(Dobywa pałasza).

BALTAZAR (rzuca się ku niemu).

Panie! to być nie może!... wszak jest Bóg na niebie!
Zapłacim... zapracujem o wodzie i chlebie...

Ja wymodłę, wyproszę... w odzieży żebraczej,
A umrzeć nie dopuszczę — mnie zabijcie raczej!...
Rzućcie pałasz... to zbrodnia! to piekiel pokusa!...

(Wyrywa mu pałasz i ogląda).

Szczęście, że zardzewiały od czasów Cyrusa!
Lecz zawsze niebezpieczny... za to Pan Bóg skarże!
(Odrzuca pałasz na stronę).

WĄTORSKI.

Przeżyć własną ohydę... nie, mój Baltazarze!
Na mnie patrzą przodkowie, patrzą dziejów karty —
Czyż mam być z posiadłości i ze czci odarty?...
Słyszysz, jak jęczą duchy z pod grobowych pleśni?
Patrz, jako, mnie wskazując, chichocą współcześni!
Wątorski celem śmiechu! sromota! sromota!...
Daj pałasz, Baltazarze! szaleństwo mną miota!...

BALTAZAR (do siebie).

To mi ważny argument: trucizna w choroobie!
Szalonemu miecz w ręce! prawda, że to zrobię!

WĄTORSKI.

Za sto nędznych talarów — o, jak to okropnie!
Mój zamek się rozwali, tarcza herbu stopnie,
A kogut, jedno z godeł zyskanych od Lecha,
Ma służyć pośmiewiskiem, jak zwyczajna wiecha...
Ponad dachem gospody!... o moi przodkowie!
Znam od dawna lichwiarza: on spełni! co powie...
I przeżyć tyle hańby!

(Zalamuje ręce i bezsilny usiada na gruzie).

BALTAZAR (klęka przed nim).

Ku takiej ohydzie

Przysięgam, że nie przyjdzie!...

SCENA SZÓSTA.

CIŻ I HANNA.

HANNA.

O! pewno nie przyjdzie!

Ojcie, byleś nie cierpiał... miłosierdzie Boże!

A ja ci zapracuję...

BALTAZAR.

I ja coś dołożę.

HANNA.

Wszak ja mam sznurek pereł z czasów lepszej doli...

BALTAZAR.

Wszak przy nowej opończy mam kołnierz soboli.

HANNA.

Mam pierścień z dyamentem, wszak to każdy kupi;
Lichwiarz weźmie w pieniądzach...

BALTAZAR.

A jakiż ja głupi!

Wszak mam dziesięć talarów, to dla mnie za dużo;
Chowałem je na pogrzeb, niech dziś panu służą...

HANNA.

Wszak jeszcze mi się został klejnot nad klejnoty,
Z błogosławieństwem matki pieniądz szczerozłoty;
Miał służyć mi do ślubu — dziś stosowniej zda się...

BALTAZAR.

Ja łańcuszek ze srebra mam przy kordelasie
I klamrę przy żupanie — chętnie to poświęcę...

HANNA.

Wszak mamy zdrowe ręce.

BALTAZAR.

Tak jest, zdrowe ręce;
Dorwę się do siekiery, do rydla, do młota...

HANNA.

Choć niepopłatna z igłą niewieścia robota,
Pracując w dzień i w nocy, poszczęści się może,
I ja, ojcze, choć małą kwotę ci przysporzę.
Potrzeba tylko zechcieć, aby się udało.

WATORSKI.

Szlachetne wasze serca, ale sił za mało!
Czy myślisz, słabe dziewczę, czy ty myślisz, starcze,
Że wydrę wam ostatki i pracą obarczę?

Na mnie leży ten ciężar: kto jest rodu głową,
Sam powinien obronić świątynię rodową,
Kiedy jej nieprzyjaciół orężem zagraża,
Albo czyhają szpony chciwego lichwiarza;
A jeśli nie obronił — to niechaj nie plami,
Niechaj umie przynajmniej legnąć pod gruzami!...

BALTAZAR (do siebie).

I płacz, i śmiech! te gruzy dały się we znaki!
Zaprawdę, lepszej sprawy godzien zapal taki!
Rzadko widzieć go można w tak pięknym zachwycie.
Aby go uratować, ja oddałbym życie;
Lecz biedny, cóż poradzę?

WATORSKI (z boleścią).

Głupota! głupota!

Ta pycha rodowita, co nam serca miota!
Umiemy się przechwalać naszymi pradiadą,
A gdy bronić ich trzeba, to nie damy rady...
Bo pytam: jak rodzinnych zaszczytów dochowa
Rozleniwiała ręka, niedołężna głowa?
Któryż najlichszy ptaszek nie umie przez pracę
Naprawić swego gniazdka, gdy burza skołace?
Jestże najlichszy kmiotek z najlichszego siola,
Co strzechy swego ojca podtrzymać nie zdoła?...
A syn wielkiego rodu, krajowe bożyszcze,
Umie tylko boleśnie poglądać na zgłiszczę,
I byle jaki piorun, byle chmurka błaha,
Do swej niedołężności przyznać się nie waha...
Poco było mi czekać na losy łaskawsze?
Dlaczego zasług przodków nie odświeżać zawsze?...
Patrzcie! jak się orężem, i piórem, i głową
Wznosi pozioma szlachta na świetność dziejową!
Kiedy mnie ani oręż, ani praca czoła
Kilku nikczemnych groszy pozyskać nie zdoła!
Bo w mych leniwych piersiach rozmięknął hart ducha,
Głowa odwykła myśleć, a pióro nie słucha.
Mnie od pieluch wmawiali, że dostojne dziecię,
Że bez pracy, bez nauk, znajdę cześć na świecie...
Dzisiaj, gdy niedołężny, gdy mię hańba czeka...
Przekleństwo, kto magnata odróżnił od człeka!...

HANNA.

Uspokój się, mój ojczy!...

BALTAZAR.

Uspokój się, panie! .

HANNA.

Porzućmy to zamczysko — to brzydkie wygnanie;
Wrócim w nasz skromny dworek, jakże będziemy radzi!

WĄTORSKI.

A tarcza herbów naszych młotem się zagładzi!
Ja tego nie przeżyję, bo to nazbyt podle...

BALTAZAR.

Pójdę błagać lichwiarza — wystraszę, wymodłę;
On herbów nie popsuje, da nam nieco zwłoki.

HANNA.

A tymczasem dojrzeją i dalsze widoki.

BALTAZAR.

Rzucimy się do pracy.

HANNA.

Spieniężym ostatki...

SCENA SIÓDMA.

CIŻ I STANISŁAW PACHOŁOWIECKI.

STANISŁAW.

Starego przyjaciela przyjmiecież do składki?

HANNA.

Stachu! ty nam przybywasz!...

WĄTORSKI (do siebie, z boleścią).

Właśnie! — sama pora!

Widzieć upokorzenie hrabiego Watora!...

Lecz przyjmijmy uprzejmie, jak obyczaj każe.

(Do Baltazara):

Hej! rumaki do żłobu, mości Baltazarze!

(Baltazar odchodzi).

SCENA ÓSMA.

CIŻ prócz BALTAZARA.

WĄTORSKI (do Stanisława).

Witajcie nam, rycerzu! wracacie z wyprawy;
Cóż? jak nasze rycerstwo?

STANISŁAW.

Zawsze pełne sławy.

WATORSKI.

A król? a wielki kanclerz?

STANISŁAW.

Już w stołecznem mieście,
A wy, hrabio? a Hanna? czy zdrowi jesteście?

WATORSKI.

Zdrowiśmy z całym domem i z rodziną moją,

(Z ironicznym uśmiechem).

Ot, jak te baszty zamku, co pięćset lat stoją.

Dotąd mamy się dobrze, ale trudna rada:

Piorun uderza w basztę i zamek upada,

A cóż dopiero człowiek?...

(Zamyślony usiada znowu na gruzie).

STANISŁAW (do Hanny półgłosem).

Ja wszystko słyszałem.

Boleść waszego ojca dzielę sercem całym,

Chciałbym zawsze dopomóc, a teraz tembardziej.

HANNA.

Znacie mojego ojca... on pomocą wzgardzi...

On dumny... ani zechce w najsmutniejszej porze

Zaciągać obowiązków, co spłacić nie może.

STANISŁAW.

Och! byle zechciał — spłaci, a spłaci sowicie,

Skarbem nad wszystkie skarby, droższym mi nad życie...

Ta ręka... czyż się jeszcze spodziewać wypada?...

HANNA.

Rycerzu! jam z was rada, jam serdecznie rada!

W tej głowie i w tem sercu — powiadam ci śmiało —

Ani jednej ubocznej myśli nie powstało;

Ale ubłagać ojca gdy nadziei niema,

Do czegoż to prowadzi i gdzie się zatrzyma?...

Nie! uzbrojmy się w męstwo — ja ofiarę zrobię:

Postaram się nie myśleć, zapomnieć o tobie.

Cierpieć będę w skrytości, aż śmierć dni me przetnie;

Ty, dalej swoją drogą postępując świetnie,

Zapomnisz biednej Hanny, której niebo dało
Herbów jasnych za wiele, a doli za mało!...

STANISŁAW.

Czyż ta herbowa pycha i na ciebie wpływa?
O Hanno! Hanno moja!

HANNA (z uśmiechem).

O ja nieszczęśliwa!

Duch pychy rodowitej i we mnie coś zmienia:
Bo znając myśli ojca i jego marzenia,
Gdym błagała nad nami zlitowania w niebie,
Czy wiesz? — żem się modliła — o herby dla ciebie?

STANISŁAW.

I niepłonna modlitwa...

WATORSKI (ocykając się z zamyślenia).

Znów herby na scenie?

Kto tu mówi o herbach?... proszę uniżenie!
Panie Pachółowiecki! wy jeszcze nie wiecie,
Że herbów mego rodu już niema na świecie:
Zabrał je z mego domu lichwiarz ryżo-brody
I haniebnie umieścił za godło gospody!...

STANISŁAW.

Panie! twemu rodowi już wiem, co zagraża...
Pozwól — ja ten łup święty wyrwę od lichwiarza.
Jam dziś bogaty z łaski króla jegomości,
On pasował rycerzem, on mi nadał włości.
Przysługa — jeśli wolno oddać waszej strzesie —
Wcale mię nie zuboży... a szczęście przyniesie.

WATORSKI (z radością).

Wy? herb mój? co ja słyszę! w głowie mi się kręci...
Macie dosyć możliwości? macie dosyć chęci?
Wy mi obiecujecie, jako rycerz prawy,
Tarczę pradziadów moich wybawić z niesławy?
Tak... to wielka usługa! dziękuję młodzieńcze!...

(Zamyśla się).

Ale czemże wypłacę? czem ci się odwdzięczę?
Wątorscy żadnych przysług darmo brać nie mogą...

(Dumnie):

A swoim ponizeniem — to płacić za drogo...
 Bo w płonem zamniemaniu, wy — szlacheckie dziecię,
 Może nazbyt wysokiej nagrody zechcecie,
 A czyniąc dla nas łaskę, zapomnieć gotowi,
 Żeśmy równi Tęczyńskim, lub Radziwiłłowi...
 Przysługa swoją drogą, a krew swoją drogą:
 Wątorscy z herbem Równia łączyć się nie mogą.
 Szacuję cię, młodzieńcze! lecz tego za mało.
 Dałeś twoim nadziejom przestrzeń wybujałą:
 Córką moją, do której podnosiłeś oczy,
 Nowym kiedyś promieniem dom przodków otoczy...
 Wierz mi, niech każdy żyje we własnym zakresie.
 Kto z nami chce się równać, niech się do nas wzniesie.

STANISŁAW.

Jakże się wznieść aż do was? jak te przebyć tamy?

WATORSKI.

Drogą zasług posiadać, co my posiadamy,
 Mieć przodków piękny poczet, świetną herbu postać,
 Albo, co lepsza jeszcze, protoplastą zostać.
 Bom przed chwilą inaczej, dziś wierzę inaczej:
 Że ród świetny bez zasług jeszcze mało znaczy,
 Najświetniejsze rodziny gdy karleją w tłumie;
 Kto posiada zaszczyty, niech bronić ich umie.
 Bo czy posiada zamki, czy wiejskie zacisze...

SCENA DZIEWIĄTA.

CIŻ I BALTAZAR.

BALTAZAR (podając list).

Oto list od kanclerza.

WATORSKI.

Do mnie kanclerz pisze?

Kanclerz wie, że ja żyję? skądże wie... w tej chwili?

(Patrzy na kopertę).

Hrabiemu na Wątórach — oko mię nie myli...

Głośny jest dom Wątorskich; ale skądże przecie

Kanclerzby się dowiedział, że żyję na świecie?

(Łamie pieczęć z pospiechem i czyta):

Mnie wielce miłościwy i Panie i Bracie...

(Do obecnych):

On mię bratem nazywa... czy to uważacie?...
Obaczmy, co dalej... niesłychane dziwy!

(Czyta):

Poleca Król Jegomość, Pan nasz litościwy,
Upraszać was o rękę jego zacnej córy...

(Z radością do Hanny):

A to co?... Ja mówiłem, że Tęczyński który,
Albo jaki Zborowski, Wiśniowiecki może,
Dostojnie postawiony na królewskim dworze.
Ktoś sławny z paranteli, wysoki w urzędzie,
O rękę twoją, Hanno, dopraszać się będzie!

(Czyta dalej):

Zacnej córy... dla wielce dzielnego młodziana,
Którego dziś zasługa w całym kraju znana.
Stanisław z Pachołowiec...

(Wykrzykuje i przeciera oczy).

Czy ci się nie marzy?...

(Czyta dalej):

Pa... cho... ło... wiecki, rotmistrz walecznych husarzy,
Którego szczyci łaska królewska i nasza,
O rękę Waszej córki pokornie uprasza.
Król Jegomość, co dobrze jego męstwo baczył,
Co dlań nowe zaszczyty herbowne przeznaczył,
Do Waszej Uprzejmości dziś wstawia się za nim,
I solennie uręcza obecnem pisaniem,
Że jeśli te na względzie będziecie mieć słowa,
W łasce swojej królewskiej wdzięcznie Was zachowa.

(Żywo do Stanisława):

Więc to wy? więc to o was? więc to przez was, panie,
Kancelerza i hetmana dostałem pisanie?
Więc król wie, żem pra-pra-wnuk mego pra-pra-dziada,
I przez swego kancelerza łaski zapowiada?
O rękę mojej córki doprasza się wreszcie,
I to dla was, rycerzu? a któż wy jesteście.

STANISŁAW.

Szlachcic Pachołowiecki, dobrze wam znajomy,
Niespokrewnion zaiste z najpierwszemi domy,
Nie szły na mnie szczyty spadkowe i cudze,
Czem jestem, to winienem pracy i zasłudze:
Trochę krwi, trochę potu — to moje zaszczyty!

WATORSKI.

Ależ łaski królewskiej znak niepośpolity!
Nadał ci nowe herby — to nie rzecz znikoma...
Czy wolno je zobaczyć?

STANISŁAW (dobywając pergamin).

Oto jest dyploma.

WATORSKI (rozwijając go).

Piękny herb!... patrzcie tylko... na tarczy trzy włócznie...
To ci z własnego herbu dał kanclerz widocznie...
Orzeł... w hełmie dwie baszty... suty ogon pawi...
Dwie chorągwie... cóż na nich? jesteśmy ciekawi...
Co widzę!... wilcze zęby — herb królewskiej mości...
Ot! takiego nabytku każdy pozazdrości!
Kto w ten sposób odświeżać herbu nie zaniecha,
Wart być wnukiem Jafeta, a pokrewnym Lecha...
Wszakże o takich rzeczach kronika napisze...
Któż się za wami wstawiał?

STANISŁAW.

Dobrzy towarzysze.

WATORSKI.

Kiedy? gdzie? jak to było?

STANISŁAW.

W oblężeniu Pskowa,
Z mężnym nieprzyjacielem szła walka trzydniowa;
Jam wymierzył plan twierdzy i pochyłość ziemi,
A kiedy przyszło walczyć, biłem się z drugimi.
Kiedy mury obronne szturmowano szczerze,
Z Wybranowskim i Sernym, najpierwsi harcerze,
Skoczyliśmy na mury; bój kipiał zajadły,
Z obu stron kupy rannych i zabitych padły,
Ja zostałem nietknięty... nade mną wysoko
Czuwało oko Boże i królewskie oko.
Pochwalił moje męstwo, przypomniał mię sobie,
I przydał nowy klejnot ku mojej ozdobie.
A kiedy mi oddawał piękne dyplomata,
Wielki kanclerz koronny ścisnął mię, jak brata...
Rzewno mi się zrobiło...

HANNA (z rozczuleniem).

Bo chwil takich mało.
Wam obu w tym uścisku pięknie być musiało...
Nie wątpiłam, że niebo moje modły ziści...

WATORSKI.

Lecz pewnie towarzysze pękali z zawiści,
I nie wszystkich twarz była, jak twoja, wesola?

BALTAZAR (z ukłonem).

Przepraszam, że się wtrączę: nie zgadliście zgoła.
Byłem w wojsku z za młodu, znam duch towarzyski;
Tam szczęśliwych spotkają braterskie uściski,
Rzewne powinszowania — potem kielich w ręce!

STANISŁAW.

Tak... nie znają zawiści szlachetni młodzieńce:
Bo tam, gdzie droga zasług dla wszystkich odkryta,
Nikt w kącie zapomniany zawiścią nie zgrzyta.
Więc towarzysze moi, chrobrzy a wspaniali,
Rzowniejszą od kanclerza pamiętkę mi dali:
To pismo o ich sercach świadczy jak najwierniej.

WATORSKI (czyta).

„My dowódcy piechotni, jezdni i pancerni,
Jednogłośnie słowa to świadectwo piszem
Za naszym ukochanym, wiernym towarzyszem.
Rycerz Pacholowiecki przez całą wyprawę
Okazał serce mężne, a postęпки prawe:
Wśród bitew, swemu zdrowiu nie folgując zgoła,
Ochoczo dawał życie, gdzie powinność woła;
Pierwszy stawał na murach, pierwszy nabił działo,
Wszędy okazał duszę wierną i wspaniałą.
A przeto my, rycerstwo, jego zasług pewni,
Rotmistrze, namiestnicy, wodze chorągiewni,
Wielce miłego brata, podczas wojny samej,
Łaskom Jego Królewskiej Mości polecamy.
Jakośmy w jedno koło zebrani gromadnie,
Każdy się podpisuje i swą pieczęć kładnie.
Dan w obozie...”

HANNA.

Pocziwi! szlachetni koledzy!...

BALTAZAR.

Lecz komu takie pismo wydano bez wiedzy,
Musiał się ciągle sprawiać chlubnie, jak tu pisze;
Bo najlepsi sędziowie — własni towarzysze.

WATORSKI (uroczyście).

Kto herb mojego rodu wykupić jest w stanie,
Za kim się wstawia do mnie kanclerskie pisanie,
Kto podniósł własną świetność tak pięknymi czyny,
Ten godzien zostać członkiem Wątorskich rodziny.
Jeżeli się kochacie, Hanno! Stanisławie!
Niech was Bóg błogosławi! i ja błogosławię!

(Łączy ręce Stanisława i Hanny).

(Po chwili):

Cieszy mię wasza radość — i dobrze mi wróży,
Że kto służył królowi, i nam się zasłuży.
Nie lekka tu, młodzieńcze, oczekuje praca,
Musisz dźwignąć ten zamek, co się w gruz obraca,
Odbudować wieżycę, przyjąć liczne straże,
Jak dostojność dwóch rodów znakomitych każe;
A herby, połączone i twoje, i nasze,
Każesz wyryc nad bramą na śpiżowej blasze...

STANISŁAW.

Dla jej szczęścia, przed żadną nie cofnę się pracą;
Spełnię wszystko, co każesz...

HANNA.

A na cóż to? na co?
Żyć będziem w cichym dworku, szczęśliwi a zdrowi.

WATORSKI.

Zapominasz, coś winna twojemu rodowi.

(Do Stanisława):

Pamiętasz, wchodząc w nasze rodzinne ogniwa,
Że na tobie spojrzenie mych przodków spoczywa;
Że ku tobie się marszczy, albo się uśmiecha,
Oblicze Romulusa, Cyrusa i Lecha,
I że każde spojrzenie mojego naddziada
Nowe na twoje barki powinności wkłada.
Masz na to dosyć siły? czy masz dosyć chęci?....

(Do Baltazara patrząc niecierpliwie na Hannę i Stanisława):

Oni nie uważają! tak sobą zajęci!
Jego bardziej raduje uśmiech na jej twarzy
Niż to, że się z rodziną Wątorskich kojarzy!...

No! idźmy na pokoje, bo chłodnieć zaczyna...
 Mości marszałku dworu! każesz przynieść wina;
 A jeśli mur wytrzyma, osłabiony z laty,
 Postaraj się na wivat dać ognia z armaty.

(Odchodzi z Hanną i Stanisławem).

SCENA DZIESIĄTA.

BALTAZAR (sam).

Wspomnienie obok czynu... starzec obok młodzi...
 Jeszcze pycha rodowa po głowie mu chodzi,
 Jeszcze mu w głowie zamki, herby i filary;
 A o tem nie pamięta zagorzalec stary,
 Że się zamek obali, że się herb połamie,
 Jeśli ich nie podeprze nowych zasług ramie...
 Co do mnie — gdyby dano do wyboru postać —
 Chciałbym Pachołowieckim, nie Wątorskim zostać.
 15 stycznia 1856. Borejkwowszczyzna.

FRANCISZEK Z ASYŻU.

KANTATA.

INTRODUKCJA.

Nr. 1.

CHÓR.

Aniołów i ludzi
 I ptasząt śpiewanie
 Niechaj się rozbudzi,
 Niech głośnie zostanie
 Wszechświata modlitwa poranna;
 Raz, drugi i trzeci
 Nad ziemią zawiśnie,
 I w górę polecą,
 Na ziemię wytryśnie,
 Jak deszczyk majowy, jak manna.
 Niech w jedno uczucie
 Połączy świat cały,
 I zleje się w nucie
 Potężna pieśń chwały:
 Hosanna Królowi, hosanna!

On w piersiach aniołów, i ludzi, i ptaków,
Dał świetną potrzebę śpiewania;
Bóg mocy niebieskich jest Bogiem śpiewaków,
On niebo przed nimi odsłania.

Więc kiedy nam piersi rozżarza i pali
Do pieśni ta chęć nieustanna,
Posłuszni natchnieniu będziemy śpiewali:
Hosanna Królowi, hosanna!

Nr. 2.

RECITATIVO.

Niegdyś we Włoszech był piękny młodzieniec,
Zwany Franciszkiem, z Bernardonów rodu,
Podwójny pieśni i muzyki wieniec
Skoń jego chwałą opasał za młodu.
Do dźwięków wiersza, do muzyki grania
Namiętym taktem jego pulsa biły;
Lecz niebu więcej poświęcił kochania,
Z całego serca, ze wszystkiej swej siły.
Jak pierwszych wieków pustelnik sędziwy,
Pracą, modlitwą i postem się krzepi;
Lubił pustynię i natury dziwy,
Tam mu się modlić bywało najlepiej.
Tam, gdy go ogień rozpromienia Boży.
Ukląkłszy w cieniu gałęzistym drzewa,
Tak się zaduma, że piosnkę ułoży,
I pocnie śpiewać, nie wiedząc, że śpiewa.
Nieraz gdy gorzał w tej świętej zabawie,
W duszy nadziemska zjawiała się siła,
A przed oczyma miewał sny na jawie,
Kraina cudów przed nim się odkryła.
Jednego razu, w noc ciemną majową,
Na rozmyślaniach klęczał wedle drzewa;
Wtem na gałęzce, ponad samą głową,
Słowik czarodziej piosenkę zaśpiewa.
Taka go rwała do śpiewu ochota,
Że tworzył cuda gardziółkiem śpiewaczem:
Tryska trelami, pieści się, szczebiota,
I jakby rzewnym rozlega się płaczem.
Franciszek słuchał — i lży lejąc z powiek,
Głośno zawołał: O Boże mój, Boże!
Ja, krwią najświętszą odkupiony człowiek,

Czemuż tak cudnych hymnów Ci nie złożę?
 Bracie słowiku, nie uciekaj z drzewa!
 Serce mi rwie się do pieśni ptaszącej:
 Śpiewać będziemy: kto kogo prześpiewa,
 Ten swego Stwórcę miłuje goręcej!
 I tak wydali walkę w cześć Jehowy:
 Święty wyznawca i śpiewak gajowy.

Nr. 3.

SŁOWIK.

Nie wam, nie wam,
 Dolecieć tam,
 Gdzie nasza pieśń dostrzeli:
 Nad piętra chmur,
 Gdzie pieją chór
 Ptaszkowie i anieli!

FRANCISZEK.

On sam nauczył pieśni
 I ptaszka, i cheruba!
 Nie wam, śpiewacy leśni,
 Nie wam, niebiescy, chluba!
 Panu samemu cześć,
 Panu samemu sława!
 On pieśniom daje treść,
 On dźwiękiem je napawa!

SŁOWIK.

Znam pieśń człowieczą, znam:
 To twardych słów igraszka!
 Ludzie, nie wam, nie wam
 Pieśnią prześcignąć ptaszka!

FRANCISZEK.

Bracie, śpiewaku drzew!
 Człek się nie upokorzy:
 Silniejszy jego śpiew
 Nutą miłości Bożej!

SŁOWIK.

Ptaszkowa modlitwa strzelista, głęboka!
 On Pana ogląda w widniejszym zakresie,
 On cuda natury ogląda z wysoka,
 Modlitwę na skrzydłach do niebios doniesie,

Bez egoizmu plam,
A wyśpiewaną prościej!...
Ludzie, nie wam, nie wam
Prześcignąć nas w miłości!

FRANCISZEK.

Bracie, śpiewaku kniej!
By godnie kochać Pana,
Wy macie środków mniej,
Bo ptaszkom iza nie dana!
My czujem tylko sami
Urok miłości Bożej:
Gdy człowiek, zlany łzami,
W ziemskim się prochu korzy,
Myślą przebiega góry,
Nurtuje otchłań wody,
Przebija czarne chmury,
Leci na księżyc młody,
Do gwiazd, do mlecznych dróg,
I widzi ze wszech stron,
Że wszędzie Bóg!
Że wszędzie On!
On w chwale majestatu
Założył wszędzie tron;
W słońcach i pyłkach kwiatu,
Wszędzie On!
Zawsze On!

A chcecie ujrzeć Mocarza,
Co słowem światy utwarza?
Patrzcie na jej góry szczyty!
Stroma, straszna ze wszech stron!
Tam człowiek na krzyż przybity.
To On!

Z pod cierniowej korony krew z czoła mu tryska;
Ciżba widzi w nim lichy cel urągowiska.
Błaga o kroplę wody przykowan do drzewa;
A z rozdartej swej piersi źródło krwi wylewa,
Źródło łaski dla ludzi — i w skonaniu chwili
Modli się za oprawców, co go umęczyli!
Kiedy patrzą nań ciekawi,
Gdy się znęca zgraja sług,
Okiem światu błogosławi:
To On... to **Bóg!**

To miłość Boża, to Duch wcielony!...
 O gdzież te słowa? o gdzież te tony?
 Gdzie jest piosenka, co w rym pospłata
 Tę wielką miłość Boga do świata?...
 Kocham Cię, Boże, całą istotą!
 Tłumne uczucia piersi mi gniotą,
 Tysiące hymnów szumi w mej głowie;
 Lecz nie wyśpiewam, lecz nie wystłowię!
 Najwyższa pieśń, gdy w proch się korzę,
 Jęcząc ze łzami: Kocham Cię, Boże!

Nr. 4.

RECITATIVO.

Ukląkł Franciszek w niebieskim zachwycie,
 Oczy wyteżył ku niebios oddali.
 Zda się, że z piersi uleciało życie;
 Ono się tylko w głębi serca pali.
 Twarz mu się mieni gorącem, to zimnem,
 Snadź kipi w myślach to radość, to trwoga,
 Pierś uroczystym kołysze się hymnem,
 Którego żaden nie słyszy prócz Boga.
 A słowik, siedząc na gałęzi drzewa,
 Wysilek człeka uważa z oddali,
 Jedną piosenkę szczebiotliwie śpiewa,
 Jedną modlitwą Pana Boga chwali.

SŁOWIK.

Ja znam, ja znam
 Moich piosenek skalę:
 Nie nam, nie nam
 Śpiewać o Bożej chwale!
 Czuł ziemski pył,
 Że mu na ziemi ciasno:
 W górę się wzbił,
 Upadł pod pieśnią własną.
 Ptaszku my
 Mędrsi od ziemskich dzieci!
 Jak dusza śni,
 Tak się piosenka kleci.
 Bez żadnych zmian
 Ciągniemy hymn zaczęty:
 Tyś Bóg, Tyś Pan,
 Ty Świąty, Świąty, Świąty!

RECITATIVO.

I na promieniach porannego słońca
 Płyną słowika czarodziejskie tony.
 Cała natura powtarza bez końca:
 „O Święty, Święty! o nieogarniony!”
 I cichy wietrzyk, i jeziora fala,
 I stare dęby, i chmurki w lazurze,
 Stworzenie chórem Jehowę wychwala,
 Słowik rej wiedzie w przyrodzenia chórze.
 Wtem z poza gaju, z nad wodnej wilgoci,
 Echem przepływa pieśń ziemskiego świata.
 Z bliskiego zamku, gdzie się wieża złoci,
 Odgłos piosenek biesiadnych dolata.
 Zbliża się, zbliża — to z hucznej biesiady
 Wraca rycerstwo i orężem dzwoni;
 Za nimi spieszą minstrelów gromady
 Z piosenką w ustach, z harfami we dłoni.
 Z wesołym śmiechem postępuje rzesza,
 Słychać jej łoskot od wąwozów góry;
 Echo jej pieśni swawolnie się miesza
 Z uroczystymi hymnami natury.

Nr. 5.

P I E Ś Ń.

JEDEN Z RYCERZY.

Hej! niemasz na świecie, jak życie rycerza!
 Gdy walczy w turnieju, gdy goni na ostrze,
 Gdy piersi uzbroi, gdy ciosy wymierza,
 Gdy sztandar swej ziemi nad wojskiem rozpostrze,
 A wrogów toporem nasiekłszy do syta,
 Do zamku swych przodków zajeżdża gromadą;
 Tam każdy rycerza wesoło powita,
 Dziewica uśmiechem, trubadur balladą,
 I rusza do kniei polować na zwierza!
 Hej! niemasz na świecie, jak życie rycerza!

CHÓR.

Hej! niemasz na świecie, jak życie rycerza!

JEDEN Z RYCERZY.

Hej! niemasz na świecie, jak życie rycerza!
 Niedźwiedzia lub dzika gdy wbije na ostrze,
 I z łowów na powrót gdy w trąbkę uderza;
 Gdy sztandar gościnny nad zamkiem rozpostrze;

A potem z drużyną, przy pełnym puharze,
 Braterstwo ucztuje dni całe,
 Przywoła minstrelów, opiewać im każe
 Kochanie, zwycięstwo i chwałę,
 I nowe wyprawy na wrogów zamierza!
 Hej! niemasz na świecie, jak życie rycerza!

CHÓR.

Hej! niemasz na świecie, jak życie rycerza!

JEDEN Z MINSTRELÓW.

Hej! niemasz na świecie nad życie minstrela!
 On śpiewa na dworach mocarzy,
 On sercom zbolałym radości udziela,
 On mężnych do boju rozżarzy.
 Powiernik miłości i bicia serc świadom,
 Sercami, jak zechce, tak włada;
 Gdzie przybył — sąsiedzi donoszą sąsiadom,
 I zaraz zakipi biesiada:
 Bo przybył z pieśniami posłannik wesela!
 Hej! niemasz na świecie nad życie minstrela!

CHÓR RYCERZY.

Niech żyje pogromca i wrogów, i zwierza!

CHÓR MINSTRELÓW.

Niech żyje z pieśniami posłannik wesela!

RYCERZE.

Hej! niemasz na świecie nad życie rycerza!

MINSTRELE.

Hej! niemasz nad życie minstrela!

Nr. 6.

RECITATIVO.

Z brzękiem zbroicy, tętnieniem podkowy,
 Z chórami pieśni, wedle uczty prawa,
 Przeciągał orszak biesiady światowej,
 Kędy Franciszek Bogiem się napawa.
 Ocknął się, głośną obudzony wrzawą,
 Uchylił głowę i uważnie słucha.
 Takty piosenki bijące tak zwawo,
 Nie były obce dla młodego ucha.

Cenił rycerzy, jak wszyscy społeczni,
Jako obrońców kraju i kościoła;
Kochał minstrelów, bo znając cel pieśni,
Wiedział, co nuta smutna i wesoła.
Do dźwięków wiersza, do muzyki grania
Namiętnym taktem jego piersi biły.
Bóg, co kraj ducha przed piewcą odsłania,
Rymotwórczemi obdarzył go siły.
Poczuł natchnienie ku świeckiej piosence,
Opiewać boje, łowy i puhary,
I mimo woli zadrżały mu ręce,
Jakby szukając dźwięcznych strun cytary.
Ale cytary pod ręką nie było,
Zatęsknion po niej, jak po cacku dziecię;
A tu natchnienie z nieprzepartą siłą
Wiodło myśl jego po tym pięknym świecie,
W krainę bojów, zwycięstwa, kochania,
Gdzie leży niwa dla pieśni bogata...
Dawno Franciszek sam sobie zabrania
Tych marnych uczuć znikomego świata;
A jednak serce rwało się ku ziemi,
Chciał swoje ziemskie wypowiedzieć żale:
Wybrał najświętszą pomiędzy ziemskimi,
Pieśń o swym kraju i o jego chwale.
Więc chociaż z sobą nie miał swej cytary,
Głos wydać z piersi odważył się śmieiej.
Dobrawszy słowa do muzycznej miary,
Taką pieśń posłał za echem minstreli:

Nr. 7.

PIEŚŃ FRANCISZKA.

Niema na świecie, niema,
Jak ta ziemia bogata!
Między morzami trzema
Króluje berłem świata.
Niemasz bogatszej strony,
Jako kraj mój rodzony.

Świat zdumiewa mocarka,
Wszystko zbiega się ku niej.
Rzym, Neapol, gród Marka,
To trzy kwiaty jej skroni.

Niemasz sławniejszej strony,
Jako kraj mój rodzony!

Tu, choć ziemia bez pracy,
Urodzajna i święta;
Tu najlepsi śpiewacy,
Najpiękniejsze dziewczęta.
Niemasz weselszej strony,
Jako kraj mój rodzony!

Łaski świeże a świeże
Płyną na nią jak rosa:
Tu najprawsi rycerze,
Tu najczystsze niebiosą.
Niemasz szczęśliwszej strony,
Jako kraj mój rodzony!

O! jak chlubnie, jak miło
Wyznać przed światem Bożym,
Że się tutaj zrodziło,
Że tu głowę położym!
Bo nie masz miłszej strony
Jako kraj mój rodzony!

Nr. 8.

RECITATIVO.

Kiedy tak mówił, uderzył blask słońca,
Jęknął dzwon ranny w pobliskim kościele,
Poważne echo o pagórki trąca,
Nad dolinami jako mgła się ściele.
Umilkło ptastwo, ścichnął wiatr w dąbrowie,
Ogarnął echo dzwon rozkołysany,
Jęcząc i mruczając w uroczystem słowie:
„Módlcie się Panu nad pany!”
Ten jęk Franciszka duszę opamięta;
On przetaił oczy, badając, czy nie śni:
Witaj mi, dzwonów harmonio święta,
Co od światowej odrywasz mię pieśni!
Piękny jest wprawdzie mój kraj rodowity,
Nie dziw, że z piersi piosenkę wymami;
Ale piękniejsze są niebios błękity,
Świeższa ojczyzna ponad błękitami.
Tam, tam daleko — tam dla pieśni droga!
Leć, duszo moja, do Boga, do Boga!

Nr. 9.

MODLITWA FRANCISZKA.

Panie, Panie, Boże mój!
Przebaczenie święte daj,
Żem na ziemski nucił strój,
Żem zanadto kochał kraj!
Żem na chwałę lubych stron
Śmiał oderwać pieśni ton!

Źródłem pieśni Tyś jest sam,
Tobie służy Hymnów treść;
Jam się ważył, choć to znam,
W inną stronę myśli wzniesić!
Oto błaga ziemski syn
Przebaczenia swoich win!

Przebaczenie, Boże, daj
Za myśl ziemską w serca dnie,
Że gdy wspomnę ojców kraj,
Coś do pieśni duszę rwie!
A gdy m Boga pieśnią czcił,
To zabrakło marnych sił!

Ziemska pieśni! dość już dość
Być narzędziem ziemskich chwał!
Ty byś mogła w serce wrość, —
Bóg nie na to serce dał!
Och! już nigdy w cieniu drzew
Mnie nie skusi ziemski śpiew!

Nr. 10.

RECITATIVO.

Bóg przyjął świętą ofiarę człowieka,
Ofiarę barda, co swe struny zrywa.
I oto słyhać z wysoka, z daleka,
Muzyka jakaś dźwięczna, pieśzczotliwa
Płyne z błękitu nad góry, nad gaje,
Drga w rdzeni drzewa, po gałązkach lata, —
Głos się dla ucha znajomym być zdaje,
Przecież to dźwięki nie ziemskiego świata:
Są tu i hymny, i ptasząt piosenka,
A wszystko złane w tak cudnym doborze,
Że się, słuchając, mimowolnie klęka
I ucho od niej oderwać nie może.

Och! lecz nie każde śmiertelnika ucho
Godne słyszeć te święte rozgwary!
Trzeba być godnym miłością i skruchą,
Unieść się duchem przez potęgę wiary.
Bliżej... wyraźniej... nad gęstwiną drzewa
Tryskają tony dźwięczne i bogate:
To chór aniołów nad Franciszkiem śpiewa,
By ziemskiej pieśni nagrodzić mu stratę.

Nr. 11.

CHÓR ANIOŁÓW.

Wesel się, synu człowieczy!
Pan kontent z ofiary twojej:
W zamianę znikomych rzeczy,
Muzyką niebios cię poi.
Ona twe serce rozżarzy,
Od ziemskiej pieśni uleczy!
W chórze niebieskich pieśniarzy
Wesel się, synu człowieczy!

CHÓR SŁOWIKÓW.

Ej, drobnież my ptaszkanie,
Pieśnią wzruszamy las!
Modlimy się Jehowie,
Jako nauczył nas!
Ej, weźcie nas, anieli,
Weźcie w niebieski chór!
Niech wasza pieśń wystrzeli
Aż pod obłoki chmur,
I tam, i tam,
U niebios bram,
Odbije wtór!

FRANCISZEK.

Wobec ptastwa i anioła,
Pieśń człowieka taka błaha!
Wtenczas tylko wzrosnąć zdoła,
Kiedy zaprzeć się nie waha,
Kiedy ziemskie minie cele,
Gdy miłością Bożą płonie,
Gdy się śpiewak krzyżem ściele,
Gdy wyciąga w niebo dłonie!

Ja mizerny w mej pokorze,
Jednym hymnem wciąż zadzwonię:
Chwała Tobie, wielki Boże!
Chwała Tobie na Syonie!

Nr. 12.

CHÓR OGÓLNY.

Aniołów, i ludzi,
I ptasząt śpiewanie,
Niechaj się rozbudzi,
Niech głośną zostanie
Wszechświata modlitwa poranna;
Raz, drugi i trzeci
Nad ziemią zawisnie,
I w górę polecą,
Na ziemię wytryśnie,
Jak deszczyk majowy, jak manna.
Niech w jedno uczucie
Połączy świat cały,
I zleje się w nucie
Potężna pieśń chwały
Hosanna Królowi, hosanna!

On w piersiach aniołów, i ludzi, i ptaków —
Dał świętą potrzebę śpiewania.
Bóg mocy niebieskich jest Bogiem śpiewaków,
On niebo przed nimi odsłania.
Więc kiedy nam piersi rozżarza i pali
Do pieśni ta chęć nieustanna,
Posłuszni natchnieniu będziemy śpiewali:
Hosanna Królowi, hosanna!

KASPER KARLIŃSKI.

DRAMAT HISTORYCZNY.

W TRZECH AKTACH.

OSOBY:

KASPER KARLIŃSKI, dowódca zamku.

DOROTA, jego żona.

ZYGMUNT, ich syn.

PIENIAŻEK, namiestnik Karlińskiego w Olsztynie.

LICHTENSTERN, dowódca niemieckich wojsk Maksymiljana.

STANISŁAW ZE ŻMIGRODU STADNICKI, starosta zygwański.

ADAM CZACHOROWSKI, namiestnik Stadnickiego.

ZBOROWSKI, } stronnicy Maksymiljana.
GÓRKA, }

BIENIASZ, giermek Karlińskiego.

MARTA.

SZLACHTA, stronnicy Maksymiljana.

Dwaj Chorążowie w zamku olsztyńskim.

Dwaj Puszkarze tamże.

Rzecz dzieje się w roku 1587, w pierwszym akcie w wiejskim dworze Karlińskich, w drugim w obozie Maksymiljana pod Olsztynem, w trzecim w murach Olsztyna.

AKT PIERWSZY.

SCENA PIERWSZA.

(Rzecz dzieje się w wiejskim dworze Karlińskich. — Wieczór. — Izba ubrana w ryzsztunek rycerski. — Pani Karlińska kończy czytanie Żywotów Świętych. — Zygmunt, wsparty na stole, jej słucha. — Opodał Marta z robotą).

KARLIŃSKA (czyta).

Czwarty i piąty syn poszedł na mękę;

Szóstemu matka szeptała te słowa:

Synu, patrz w niebo, patrz na świt jutrzeński, —

Wszystko to stworzył z nicości Jehowa.

On cię umocni, — nie lękaj się kąt,

Przyjmij, jak bracia, śmierć z wesołą twarzą!

Pójdiesz po mękach do lepszego świata,

Kędy praw Pańskich łamać ci nie każą, —

Syn jej wysłuchał i do zbirów rzecze:
 Mnie Antyocha nie złamie obawa;
 Wiedźcie mię raczej pod topór i miecze,
 Niżbym miał złamać Mojżeszowe prawa.

(Przestaje czytać).

ZYGMUNT.

Lubię, gdy matka Pismo święte czyta,
 Lub męczenników za wiarę żywoty,
 Gdzie święty człowiek o nic się nie pyta.
 Oddając życie dla Boga i cnoty.
 Jego naprzykład na tortury wleka,
 Szarpią mu ciało, pochwyciwszy w kleszcze;
 Lecz on, Chrystusa widząc niedaleko,
 Wpółśród męczarni uśmiecha się jeszcze.
 Gdy tego słucham, coś na sercu milej!
 Ot, myślę sobie — czy uwierzysz, mammo?
 Dziś gdyby ludzi za prawdę męczyli,
 Jabym się zgodził umęczyć tak samo!

KARLIŃSKA.

Każdy powinien ofiarować życie,
 Gdy Bóg na niego krzyż męczeństwa zsyla.

ZYGMUNT.

Gdyby mnie, matko, wlekli na zabicie,
 Tybyś zapewne pobłogosławiła.

KARLIŃSKA.

Skąd ci to przyszło?... och! ja nie wiem sama!
 Lecz dzisiaj jestem spokojna w tym względzie:
 Pan Bóg ofiarą krwawą Abrahama
 Słabej niewiasty doświadczać nie będzie.
 Rycerskich matek wiekuista chwała
 Dobrze mi znana z powieści i z dziejów;
 Ale, Zygmuncie, jabym nie umiała
 Być matką Grakchów, albo Machabejów.
 Biedna pierś moja z boleściby pękła
 Pod dąświadczenia okrutnego próba...
 Jednej ofiary, cobym się nie zlekła:
 Oplakać ciebie — i umierać z tobą.

ZYGMUNT.

Ty płaczesz, matko!... nie lękaj się zgoła:
Dziś męczenników nie mamy na świecie.
A gdy mię Pan Bóg na wojnę powoła,
To przy mym boku będzie szabla przecie.
A raz poszedłszy pod zaciąg orężny,
Z życiem czy śmiercią — to nic się nie traci.
Zostanę mężnym, jak mój ojciec mężny,
Albo polegnę, jak siedmiu mych braci.
Patrz, jak to będzie!

(Zdejmuje ze ściany hełm i pałasz ojcowski).

Kiedy ja podrosnę,
A ojciec siwy, zgarbiony i stary, —
Przyjdzie wiadomość, jak zwykle na wiosnę,
Że naszły Polskę Turki lub Tatarzy.
Wtedy ja sobie ot tę czapkę włożę,

(Wkłada hełm).

Ze strusią kitą, z blaszaną przyłbicą,
Przywdzieję pancerz — czyż w takim ubiorze
Twoje się, matko, oczy nie zachwycą?
Przyjdę do ciebie, przeżegnasz mi czoło,
Dasz mi święcony obrazek na blasze;
Przyjdę do ojca, a ojciec wesoło
Ot tę mi szablę do boku przypasze.

(Przypasuje szablę).

Zbrojny' rodziców modłą i opieką,
Wsiądę na konia, co Bieniasz poda,
I w bój polecę, daleko, daleko!
Krew płynąć będzie, jak w rzeczulce woda!
Machnę szablą — spada łeb tatarski;
Krzyknę — a Turczyn wnet ucieknie z bojów;
A hetman powie: Dziarskiś, chłopcze, dziarski!
Krew nieodrodna Karlińskich Ostojów!
Patrz, jaka postać dzielna i junacka!
Brzęk, brzęk szablą! ja poglądam dumnie...
Tymczasem Tatar podjeżdża znienacka
I w samo serce łuk naciąga ku mnie.
Strzała stęknęła — leci ku mnie, leci,
Przeszywa pancerz, i piersi, i serce;
Ja się posłaniam raz, drugi i trzeci,

(Kładzie się na krześle).

Padam — i życie skończyłem w żołnierce.
 A dusza moja, gdzie spieszniej niż ptaszę!
 Leci do nieba do nóg Jezusowi!
 I tam się modli o zwycięstwo nasze,
 A Jezus naszą wygraną stanowi...
 Ty, matko, płaczesz — czyż cię serce boli?
 Czyż ci niemiło, żem umarł tak pięknie?

(Podbiega ku niej i bierze za rękę).

Przebacz mi, matko, ten wyskok swawoli!

KARLIŃSKA.

Przestań, Zygmuncie, bo mi serce pęknie!

MARTA.

Niedobre dziecię! Bóg gnicwa się w niebie,
 Jeśli kto matkę aż do łez rozżali.
 Rzuć te zabawki, jeszcze nie dla ciebie
 Ten twardy szyszak i ten miecz ze stali.

(Odpina mu pałasz i zrzuca hełm).

Idź, zmów pacierze! przeproś Pana Boga,
 Żeś dzisiaj matkę niewinnie zasmucił;
 Zmów drugi pacierz, by minęła trwoga,
 By ojciec z wojny szczęśliwie powrócił.
 Może, gdy pięknie pomodlisz się o to,
 Zdołasz uprosić zlitowanie Boże.

ZYGUNT.

Dobranoc, matko!

KARLIŃSKA (całując go).

Dobranoc, pieścizno!

MARTA.

Ja zaraz przyjdę, do snu cię ułożę.

(Zygmunt zawstydzony odchodzi).

SCENA DRUGA.

KARLIŃSKA, MARTA.

KARLIŃSKA.

Co to jest, Marto, że zawsze w nim świeci
 Jakieś przeczucie krwawe i grobowe?

MARTA.

Nic, dobra pani: nasze polskie dzieci
Zawsze podobnie rozmarzają głowę.
Patrzy na oręż, wciąż o wojnach słucha,
Hasa na koniu przez pola i jary,
Czytaniem kronik rozegrzewa ducha,
Z Żywotów Świętych uczy się ofiary.
Nic to nie szkodzi, niech przywyka wcześniej;
A czy on Niemiec, by się bawił w lalki?

KARLIŃSKA.

Zawsze mi straszno, zawsze mi boleśnie,
Gdy on wyprawia po komnacie walki.
W jego zabawkach — uważałaś, Marto —
Zawsze na końcu dostrzegam śmierć ciemną...
Och! gdyby jeszcze jego mi wydarto!
Boże mój, Boże! zlituj się nade mną!
Wszak teraz wojna — to niepróżna trwoga,
Obszerne pole dla niedobrych ludzi.
Ja mam w rycerstwie śmiertelnego wroga, —
Bóg, wie, do czego zemsta go pobudzi!

MARTA.

Ty, pani, wroga miałaś na ziemi!
Anioł dobroci!... nie wierzę ni trocha.

KARLIŃSKA.

Nie wszystkie wrogi wrogami naszymi,
Czasem wróg sroższy — ten, który nas kocha!
Wiesz o szalonej Stadnickich rodzinie,
Która po kraju najbezkarniej broi.
Jeden, Stanisław, co najgłośniej słynie,
Przed laty ręki dopraszał się mojej.
Jam pogardziła — brakło na odwadze
Z dzikim szaleńcem stanąć na kobiercu;
Anim sądziła, że tyle sprowadzę
Kłęski na siebie i na drogich sercu.
Kochałam, Marto, dzielnego młodziana,
Co się przed żadną potęgą nie cofa;
Ale Stadnickich zemsta spodziewana
Dosięgła celu — zabili Krzyżstofa.
Dom mego ojca, kędy się broniono,
Poszedł w perzynę; jam ledwie uciekła.
Chciałam pod grubą klasztorną zasłoną
Skryć się od oczu posłanników piekła;

Lecz gdzie są mury, gdzie warowne kraty,
Coby przed możnym słabych osłoniły?
Tam prześladowca silny i bogaty
Znalazł nieszczęsną — groził swemi siły.
Nie chciałam przeto narażać na strzały
Dziewic Chrystusa, żyjących spokojnie.
Kasper Karliński, rycerz osiwiiały,
Co pięciu synów utracił na wojnie,
Przyszedł do furty i rzekł ze szczerotą:

Dajcie mi rękę, uspokójcie trwogę.
Wiem, co ci grozi; lecz, krasna Doroto,
Ja od Stadnickich obronić was mogę.
Mam własne ramię, dwóch synów rycerzy,
Mam miłość szlachty, opiekę na tronie, —
I biada temu, który się zamierzy
Na bezpieczeństwo głowy, której bronię.
Straciłem żonę — wy bądźcie mi żoną;
Mówcie, Doroto: zgoda, czy nie zgoda?
Ścisnęłam rękę od szabli zmarszczoną;
Błysła mu ogniem szlachetna jagoda...

MARTA.

Patrzę, jak w obraz naszego paniska,
Gdy mu rumieńcem skraśnią jagody.
Na taki zapał, co mu z oczu błyska,
Nie każdy rycerz zdobędzie się młody.

KARLIŃSKA.

Nie pamiętając na włos jego siwy,
Dałam, się chętnie zaprzęgnąć do jarzem...
Byłam szczęśliwa, i on był szczęśliwy,
Gdyśmy przysięgli wiarę przed ołtarzem.
Mego spokoju odtąd nic nie wzruszy;
Kocham go, Marto, a on mię osłania.
Cnota, zasługa i szlachetność duszy
Więcej niż młodość budzi przywiązania!
Gdy codzień widzę jego piękną duszę,
Gdy codzień słyszę jego piękne czyny,
Jak nie mam kochać, kiedy czcić go muszę?
On mój na ziemi obrońca jedyny.
A to pieszczone bohaterskie dziecko,
Które Bóg przysłał na pociechę naszą,
Kocham nad wszystko, nad wszystko na świecie...
Tylko mię jakieś sny bolesne straszą.

Te jego ciągle przeczucia męczeństwa,
 Jego zabawki, co ciągle śmierć wróżą...
 Och! wiele, wiele potrzeba mi męstwa!
 Boże, daj siłę, bo cierpieć mam dużo!

SCENA TRZECIA.

TEŻ i ZYGMUNT (wpada z listem w ręku).

ZYGMUNT.

Listy od ojca! nasz Bieniasz stary
 Przybył z Olsztyna...

KARLIŃSKA.

O! dzięki ci, Boże!

(Łamie pieczętkę i czyta).

Miła Doroto! nastał czas ofiary...

ZYGMUNT.

Bieniasz pyta, czy widzieć się może?

KARLIŃSKA.

Proś, niech tu wejdzie.

SCENA CZWARTA.

CIŻ i BIENIASZ (w zbroi, hełmie i burce).

KARLIŃSKA.

A jakże się macie?

BIENIASZ (z ukłonem).

Notandum tedy, jakoś Pan Bóg chowa,
 A resztę w pańskich liściach wyczytacie,
 Pani czy zdrowa? i Marta czy zdrowa?
 Panicz, jak ptaszek, trzpiota się i wierci, —

(Wita się ze wszystkimi).

Notandum tedy, że swawolnik wielki.
 A my zaledwie umknęliśmy śmierci,
 Dzięki opiece Boga Rodzicielki!
 Sejm elekcyjny wielce był gorący:

Ci chcieli Szweda, a ci Austryaka;
 Notandum tedy, chcący, czy niechcący,
 Tłukła się w szable partya wszelaka.
 Zamojski, hetman i kanclerz korony,
 Składał swe wota na szwedzkiego pana;
 Zborowscy zasię i szlachta z ich strony
 Trzymali sprawę Maksymiliana.
 Więc ku zgadnieniu nietrudna przyczyna.
 Snuł się tłum szlachty po Warszawie całej,
 Miody i piwa, i węgierskie wina,
 Notandum tedy, srodze podrożały!

KARLIŃSKA.

Czytajmy listy.

(Czyta).

„Nastał czas ofiary...

Już Zygmunto wi korona oddana,
 Ale Zborowskich przeciwne zamiary
 Chcą mieć na tronie Maksymiliana.
 Długoby przyszło opowiadać pono
 Te zobopólne waśni i swawole.
 Szopę wyborczą po nocy spalono,
 A krwią spłonęło elekcyjne pole.
 Pomimo Niemców fakcyi zdradzieckiej,
 Gdy Prymas królem Zygmunta ogłasza,
 Biskup kijowski, Jakób Woroniecki,
 Okrzyknął Niemca. A choć szlachta nasza
 I kraj miłuje, i prawa stanowi,
 I swoich swobód nie opuszcza marnie,
 Chcąc się zasłużyć Zborowskich domowi,
 Pod sztandar Niemca ochoczo się garnie.
 Mamy dwóch królów — na czem to się skończy?...
 Niechaj kto zechce przekonania zmienia,
 Kasper Karliński nigdy się nie złączy
 Ze stroną Niemców na przekór sumienia.
 Pomimo całej Zborowskich czeredy,
 Zygmunt mym królem... wybrałem... przysiągłem.
 Będę go bronił“.

BIENIASZ.

Więc notandum tedy,
 Że przyjdzie truchleć w niepokoju ciągłym.
 Gdzie pan, tam sługa — już obyczaj taki,
 Choć żaden za to i grosza mi nie da,

Czy to napadną niemieckie żołdaki,
Czy przyjdzie nędzę ucierpieć od Szweda.
Uciecze mądry, nadstawi się głupi;
A czy wygrana nasza, czy nie nasza,
Cała się mocarstw polityka skupi
Na starym, biednym karku Bieniasza.
Notandum jednak, choć nałożyć głowę,
Karlińskich domu nigdy nie opuszczę.

KARLIŃSKA (czyta).

„Zborowscy szlachtę pod swój sztandar zową,
Zbierają k'sobie niepocziwą tłuszczę;
Ale pod wodzą Zamojskiego Jana,
Chorągwie wiernych krajowi Polaków
Idą naprzeciw wojsk Maksymiliana,
Który chce szturmem uderzyć na Kraków.
Więc wszystkich fortec na granicznej stronie
Pod wodzą starców pilnuje kwiat młodzi:
Murów Olsztyna ja od Niemców bronię,
Mężny Hołubek w Rabsztynie dowodzi.
A chociaż Niemcy nacierają biegle,
Obronim twierdzę zapomocą Bożą,
Dopóki cegła zostanie na cegle,
Dopóki trupów na trupach nie złożą“.

BIENIASZ (do siebie).

Ja chciałbym wrócić na wioskową ciszę;
Lecz, jak uważam, żadnej rady niema.
Notandum tedy, kiedy pan tak pisze,
To pewnie słowa swojego dotrzyma.

KARLIŃSKA (czyta).

„Jeden niepokój, co mem sercem miota,
Jedna mię dręczy troska pokryjoma:
Czy moja dobra i krasna Dorota,
Czy moje dziecię bezpieczne jest doma?
Bracia Stadniccy z Zygmuntem trzymają
I szlachtę dla nas gromadzą na Rusi;
Tylko Stanisław z zaprzedaną zgrają
Gdzieś w waszych stronach obracać się musi.
Jam tutaj sprawą ojczystą zajęty,
Nie mogę ruszyć ku domowej stronie;
Lecz moje syny, Marcin i Walenty,
Wkrótce pospieszą ku waszej obronie.

Dziś Bieniasza do was posyłamy:
Niech lud wioskowy zgromadzi we dworze,
Rozda mu strzelby, pozamyka bramy,
Okopie rowy...

SCENA PIĄTA.

CIŻ I STADNICKI (który stał we drzwiach przez chwilę i słuchał).

STADNICKI.

Za późno już może!

Dwór otoczony, a wioska w pożarze.

(Do Bieniasza).

Nie trudź się starcze, ktoś za ciebie czyni,
W Karlińskich dworze tu my gospodarze.

(Do Karlińskiej).

Jak się miewacie, miła gospodyni?

KARLIŃSKA.

To on! o Boże!

BIENIASZ (dobywając oręża).

Ja ciosu nie chybię!

Czy chcesz mieć czoło na dwoje rozdarte?
Wynoś się zaraz!

STADNICKI (wytrącając mu oręż).

Precz mi, stary grzybie!

Hola, pacholcy! weźcie go pod wartę!

(Wchodzą zbrojni ludzie i uprowadzają Bieniasza).

KARLIŃSKA (przerażona).

On przyszedł tutaj... ze złemi zamiary!

Ratunku! ludzie!... mój mężu! mój mężu!

STADNICKI (z szyderstwem).

Ucisz się pani! daleko twój stary!

W zbyt zardzewiałym ufałaś orężu.

Wzgardziłaś sercem — teraz twój kochanek

Z pogardą patrzy na twoje męczarnie.

Stadnicki szatan, nie cichy baranek.

Jego nie można znieważać bezkarnie.

Tyś w moich rękach — Olsztyn za górami,

Do męża twoja nie doleci skarga.

Kochanko moja! my jesteśmy sami,

Przemoc twe śluby z Karlińskim potarga!

MARTA (padając na kolana).

Panie! zlituj się!

STADNICKI.

Milcz, stworzenie głupie!

A uznaj we mnie zwycięzcę i władcę.

ZYGMUNT (z mieczem ojcowskim podbiegając ku niemu).

Widzisz ten oręż? chyba po mym trupie

Zdołasz ku mojej przybliżyć się matce!

STADNICKI (porywając go za rękę).

A tuś mi zuchu, nie wiedziałem zgola,
Że waszmość żyjesz na tym pięknym świecie.

Pani Dorota, powiłaś anioła;

Stary Karliński snadź kocha to dziecię.

Takiego starca pod życia ostatki

Kupido jeszcze rozpromieniać może!

Bardzo podobny do ojca, do matki;

Wielce winszuję!

KARLIŃSKA.

Puszczaj go, potworze!

STADNICKI (stawia Zygmunta na ziemi i silnie trzyma go za ramiona).

Pani Doroto! czy on kocha syna?

KARLIŃSKA.

Wydrze za niego twoje nędzne życie!

STADNICKI (chłodno).

Dobrze! niech odda fortecę Olsztyna,

Wtedy pieśczętkę waszą zobaczycie.

Teraz małego uprowadzam zucha:

Zakład miłości ma być zakład wojny.

Jeśli Karliński mych słów nie usłucha,

Wtenczas, chłopaku, możesz być spokojny.

Twą piękną główkę tą samą szablicą

I własną ręką rozplątam na dwoje.

Hola, pacholcy!

(Wchodzi kilku zbrojnych ludzi).

Niechaj go pochwycą,

Niechaj na siodło przywiążą go moje,

I w tejże chwili niech dziesięć husarzy

Pędem piorunu pod Olsztyn dopada,

Zdać go do ścisłej Czachrowskiego straży

I zapowiedzieć, że to ptak nielada.

(Pisze kartkę i oddaje żołnierzowi).

ZYGUNT.

Puść, bo ta szabla głowę ci rozwali!

MARTA (klękając).

Panie, miej litość!

KARLIŃSKA.

On litość mieć może!

(Patrzac na syna).

Na co mu ręce tak mocno związali?

To takie słabe i wątłe nieboże!

Zamrze wam w drodze!... Tygrysie! tyranie!

Krwi tobie trzeba?... wysączę ją rada!

Pij!... żłopaj!... ciesz się!...

(Klęka).

Ulituj się, panie!

Przebacz, co matka nieprzytomna gada!

Oddaj mi syna!... Już jego powlekli!...

ZYGUNT (szamocąc się z żołnierzstwem).

Ja was zabiję! puśćcie mię do matki!

KARLIŃSKA.

Czekajcie chwilę!... o siepacze wściekli!...

Ja wydobędę sił moich ostatki!

Spieszycie konno!... ja pieszo polecę,

Ja was dopędzę, — pozwólcie mi gonić!

(Żołnierze wyprowadzają Zygunt).

Idź, drogi synu! idź w Bożej opiece!

Ja krew przeleję, ja łzy będę ronić, —

Trafie do króla... dla mnie wszystko jedno,

Czy Maksymilian, czy Zygunt się zowie...

A król nad matką zlituje się biedną,

Was na tortury osądzi, panowie!

Poczekaj, synu! pokrzep się nadzieją!

Ja w ślad za tobą polecę, jak strzała!...

Ratujcie, ludzie!... nogi mi się chwieją...

Synu mój, synu!...

(Upada zemdlona).

STADNICKI.

Wszak ona zemdląca.

Wpiłem w jej serce pazury tygrysie.

Ratunku! wody, pacholcy przynosćcie!...

Panie Karliński! ani waści śni się,

Jacy w twym domu gospodarzą goście.

AKT DRUGI.

SCENA PIERWSZA.

(Namiot żołnierski, w środku długi stół, przy nim kilku szlachty przy puharach, jeden szlachcic przy świetle czyta list. — Milczenie).

PIERWSZY SZLACHCIC (do tego, który czyta).

Co słyhać w Litwie? Co słyhać w Koronie?
Wy macie listy, to wy wszystko wiecie.
Prędkoż Szwedzika osadzą na tronie,
Maksymiliana wymiółszy jak śmiecie?

(Śmieje się).

SZLACHCIC (kładąc list).

To list po prostu od żony i dzieci,
Niech sobie w Polsce kto chce berłem włada,
Czy Maksymilian, czy to Zygmunt Trzeci, —
U mnie zarazą ohora wypada.
Rzucajcie sobie rodzicielskie wioski,
Wola każdemu z miłościwych braci;
A mnie Zamojski, ani pan Zborowski
Za moje straty grosza nie zapłaci.
Wracam do domu!

DRUGI SZLACHCIC.

Ho! ho! jaki szparki!
Szkoda, że za to więzienie i kula!

TRZECI SZLACHCIC.

Jemu tak pilno do swej gospodarki,
Gdy do stolicy wprowadzamy króla.

PIERWSZY SZLACHCIC.

Jakiego króla?

TRZECI SZLACHCIC.

Wszak byłeś na sejmie,
Na którym obran Maksymilian Pierwszy?

PIERWSZY SZLACHCIC.

Kłaniam się waściom, kłaniam się uprzejmie!
Ja od was wszystkich będę trochę szczerzy.

(Staje wsparty oburącz na szabli).

Czy wam, panowie, doprawdy się zdawa,
Żeście obrali Maksymiliana?

Czy wedle ustaw powszechnego prawa
Stanowi naród garstka zbuntowana?

(Szlachta się oburza).

Nie kręćcie wąsów, a powiedzcie szczerze:
Mybyśmy wszyscy stali przy Zygmuncie,
Lecz jeden jurgielt od Stadnickich bierze,
A drugi mieszka na Zborowskich gruncie;
Tego Czarnkowski przynęcił nadzieją,
Temu książę Pruński przyrzekł swą pokrewną.
Myślimy, bracia, o wszystkim koleją,
Ale o Niemcu, że najmniej, to pewno!
I nikt zaiste nie wierzy w swej duszy,
By się utrzymał nasz elekt na tronie.

DRUGI SZLACHCIC.

Co waść rozprawiasz? ściany mają uszy!

TRZECI.

Ja ci rozumu do głowy nagonię!
Co to? ja matacz! lub jaki przechera!

PIERWSZY.

Kręcisz się waszmość, kędy wiatr powieje.

TRZECI (dobywając pałasza).

Co! bij się ze mną, jeśli prawda szczera.

PIERWSZY (także dobywając pałasza, do obecnych).

Bądźcie świadkami, mości dobrodzieje!

(Krzyżują pałasze).

(Jeden ze szlachty raniony w rękę).

CZWARTY (wpadając pomiędzy nich).

Zgoda, panowie! czyście zapomnieli,
Że tu żyjemy pod niemieckiem prawem?
Że kto w obozie rąbać się ośmieli,
Zwierzchność nań patrzy okiem niełaskawem?
Oto przychodzi pan Adam Czachrowski,
Nasz wódz, gdy niema pana Stadnickiego...

TRZECI.

Poeta jakiś!... niech obcina zgłoski.

CZWARTY.

Obetnie uszy i tobie, kolego!
Z nim nie żartować...

SCENA DRUGA.

CIZ i CZACHROWSKI (z siwą brodą i długimi włosami).

CZACHROWSKI (groźnie).

Do pochwę oręże!

Waszmościom w głowie bitwy i kielichy,

Gdy ja się w myślach gubię i mitręzę,

Jakby ten zamek opanować lichy.

Mury niekrzepkie, nieliczna załoga,

Czas, by się w nasze władanie dostała...

Ale przez skały niedostępna droga

I u dowódcy serce, gdyby skała.

Pisałem z groźbą, on nie dba o życie...

Posłałem mówić o jakim okupie.

— Nie dam — rzekł — zamku, chyba położycie

Cegłę na cegle, a trupa na trupie!

On z armat ciągle naszych ludzi traci,

Gdy nasze działa sięgnąć tam nie mogą;

Lecz wezmę zamek!... A krew moich braci,

Kasprze Karliński, przypłacisz mi drogo!

A tu czas nagli... a wojna niezmierna...

Dziesięć lat nie stać, jak pod jaką Troją!

Nie wzięwszy fortec, wojska Lichtensterna

W głębinę kraju zapuścić się boją.

Ja dałem panu Stadnickiemu słowo!

We trzy dni zburzyć, albo wziąć te mury...

Szturmem pójdziemy.

JEDEN ZE SZLACHTY.

Iść na śmierć gotową,

Gdy, jak w cel, palą armatami z góry?!

To rozkaz waszmość, niechaj Niemcy idą.

CZACHROWSKI.

Właśnie trafiłeś — żarłoki i tchórze!

Nam trzeba działać, lub odejść z ohydą...

Służę waszmościom!...

JEDEN ZE SZLACHTY.

Ale ja nie służę!

Prowadź nas waszmość gdzieś na równe pole:
Przy brzęku trąby, przy naszym sztandarze,
Z bardyszem w rękę, z szyszakiem na czole,
Zobaczysz waszmość, co szlachta dokaże.
Lecz tu... gdzie murów nie dostać pałaszem,
Gdzie po namiotach zgnuśniliśmy prawie...
Panie rotmistrzu! z przeproszeniem waszem,
Ja łba na pewny pocisk nie nadstawię.

DRUGI.

Łeb nam potrzebny nie na jedną chwilę.

TRZECI.

I mój łeb także ja coś sobie ważę.

CZWARTY.

I ja z namiotu głowy nie wychylę.

(Słychać trąbkę).

CZACHROWSKI.

Hańba wam! hańba! sarmaccy husarze!
Ojcowie wasi na oślep walczyli,
Jak o tem dziejów zapisała karta...

JEDEN ZE SZLACHTY.

To może było w przyjaźniejszej chwili?

DRUGI (z cicha z przekąsem).

Lub może sprawa była więcej warta.

ŻOŁNIERZ (wchodzi).

Listy od wodza i jakieś pacholę,
Pojmane jeńcem, czeka tam na dworze.

CZACHROWSKI.

Skąd jemu przyszło brać dzieci w niewolę?

SZLACHTA (otaczając Czachrowskiego).

Z tego pisma dowiemy się może.

CZACHROWSKI (czyta).

„Mnie wielce miły Mospanie Czachrowski!
 Uprzejmie waszmość pozdrawiam z podróży.
 Plondrując naszych nieprzyjaciół wioski,
 Złapałem ptaszka, co-ć dobrze usłuży.
 Dawny rachunek miałem z tą rodziną,
 Dziś dobry połów usłużył mej dłoni;
 Jest to zuch mały, z bohaterską miną,
 Syn Karlińskiego, co Olsztyna broni.
 Napisz do starca, niech pomyśleć raczy,
 By jutro zamek był w dzierżeniu naszym;
 Bo swego synka więcej nie zobaczy, —
 Ja sam mu głowę rozplątam pałaszem...
 To moja wola — to stanowcze słowo,
 Które niech waszmość Karlińskiemu poda.
 Jestem z attencją zawsze jednakową,
 Sługa Waszmoścín, Stadnicki z Żmigroda“.

SCENA TRZECIA.

CIŻ SAMI I ŻOŁNIERZE.

(Wnoszą śpiącego Zygmunta).

ŻOŁNIERZ.

W drodze na zimnie usnęło niebożę.

CZACHROWSKI.

Nie budzić dziecka, nie stapać tak z góry,
 Wojłok i siano podesłać na łożę,
 Odjąć mu z lekka krępujące sznury!
 Niech trochę spocznie...

(Do szlachty).

A który tam z waści
 Chciałby pojechać do zamku Olsztyna?
 Jużci Karliński nie zdziała napaści,
 Gdy mu przywieziesz wiadomość od syna.

JEDEN ZE SZLACHTY.

Piękna wiadomość! ja takiego posła
 Kazałbym zrąbać, lub przybić do pala.

DRUGI.

Panie Marcinie! tyś żołdak z rzemiosła,
Nie wiesz, że prawo tego nie pozwala...
Prawo narodów — przeczytaj, sąsiedzie.

PIERWSZY ZE SZLACHTY.

Nie czas do książki, kiedy stryczkiem grożą.

CZACHROWSKI.

Mości panowie! kto do zamku jedzie?

JEDEN Z GRONA.

Ja moje losy zdam na wolę Bożą...
Jadę, rotmistrzu!

CZACHROWSKI.

Papieru i pióra!
Napiszę listy... tu idzie o życie.

JEDEN ZE SZLACHTY.

Ciekawy jestem, co nasz poseł wskóra?

CZACHROWSKI.

Papieru! pióra! czy waszmość słyszyacie?

SZLACHTA (zakłopotana).

Papieru! pióra niełatwa zagadka
Znaleźć te rzeczy między husarzami.

(Patrzą na siebie).

JEDEN ZE SZLACHTY (oddzierając kawał listu, który czytał).

Mam tutaj papier, udzielię wam szmatka.

DRUGI (odrywając orle pióro od husarskich skrzydeł swojej zbroi).

Mam tutaj pióro... zaostrzcie je sami.

(Czachrowski z pośpiechem temperuje pióro).

ZYGMUNT (przez sen).

Nie płaczcie, matko! nie płacz i ty, Marto...
Ja będę w niebie — ja będę zhawiony...
Czyż męczennikiem być za to nie warto?
Czyż zazdrościcie palmy i korony?

CZACHROWSKI (skończywszy temperować pióro).

Dajcie inkaustu!

SZLACHTA (znowu zafrasowana).

O to trudniej pono...
My czarnej cieczy nie nosim w podróży,

CZACHROWSKI.

Wszystko mi jedno: czarno, czy czerwono.

JEDEN ZE SZLACHTY (ten, który był raniony).

Ia mam krew moją, niech waszmości służy.
(Podaje mu rękę z poważnym ukłonem).

CZACHROWSKI.

Lubię cię! znacznie, żeś rycerskie dziecko,
Co do niczego swojej krwi nie przeczy...
Dziękuję waści.

(Macza we krwi pióro i pisze).

GŁOS Z TŁUMU.

Ale krwią szlachecką
Tylko szlachetne trzeba pisać rzeczy!

(Czachrowski pisze).

JEDEN ZE SZLACHTY (patrzac na śpiącego Zygmunta).
A szkoda dziecka!... jego los na szali.

DRUGI (także patrzac na Zygmunta).
Karliński twardy!

TRZECI (ze spółczuciem).

O! zmiękczenie go, Nieba!

ZYGMUNT (przez sen).

Krwia odpowiemy, gdy krwią zapytali!
Matko! krwi własnej zaprzec się potrzeba.

CZACHROWSKI (szukając w tornistrze).
Mam tu i pieczęć, mam i kawał wosku.

(Pieczętuje list).

(Do szlachcica, który ma iść z poselstwem).
No! ruszaj waszmość, nie zwlekając chwili;
Jeśli Karliński czuje po ojcowsku,
Do mojej rady pewnie się przychyli.
Niech się na łaskę zwycięzcy poddadzą,
I on, i szlachta, i wszyscy żołdacy;
Dziś jeszcze zamek niech trzyma pod władzą,
A jutro klucze złoży mi na tacy!
Waszmość obejrzysz prochownie, zbrojownie,
I weźmiesz wszystko pod pieczęcie nasze.

SZLACHCIC.

A gdyby miano postąpić gwałtownie
I mnie posłańca chwycić na pałasze?...

CZACHROWSKI.

Śmieszne pytanie! — to umrzesz, kolego,
A my za głowę poniścimy się waści.
Lecz znam ja serce Kaspra Karlińskiego:
On nie popęlni bezecnej napaści...
To człek rycerski — sami zobaczycie...
Nie bój się waszność, tam nie czeka zdrada.
Zresztą przypomnij, że za twoje życie
Syn jego własny życiem odpowiada.
Idź, jak powinien poseł uroczysty,
Wracaj z responsem pomyślnie a rychło.

(Szlachcic odchodzi).

JEDEN ZE SZLACHTY.

A gdyby jednak, mimo wasze listy,
Jutro strzelanie z armat nie ucichło?
Co waszność poczniesz z tem nieszczęsnem dzieckiem?
Toż syn szlachecki, bezbronny i młody.
Czyż ma polegnąć pod ciosem zbójcekim,
Pod ciosem naszym?...

DRUGI.

Czy to my Herody?

CZACHROWSKI.

At! pleciesz waszność! i któż tego nie wie,
Że krew niewinna o poniszczenie woła?
Mało co pisze pan Stadnicki w gniewie!
Ale się zbrodni dopuścić nie zdoła.
A zresztą pytam: czyż Karliński może
Pogardzić naszym przełożeniem szczerem?
Wydać krew własną na śmiertelne noże...
Trzeba być zwierzem...

SZLACHCIC (z tłumem).

Albo bohaterem.

ZYGMUNT (przeciera oczy z grymasem zaspanego dziecka).
Gdzie to ja jestem? gdzie matka? gdzie Marta?
Czy ojciec wrócił? gdzie nasza czeladka?

Dlaczego na mnie sukienka podarta?
Jeszcze doprawdy zagniewa się matka!
Matko! w śnie moim, gdybyś ty widziała,
Jakie mi Jezus darował ubranie!
Sukienka śnieżna i przepaska biała,
Gdzieniegdzie złota i purpury tkanie...
Och! gdyby zasnąć i przyśnić ją jeszcze!
Włóżę ją, włóżę... och! tak, nie inaczej!...

SZLACHCIC (do drugiego).

Wiesz, panie bracie? Mnie przechodzą dreszcze.

DRUGI.

Zwyczajnie dziecko, coś przez sen majaczy.

ZYGMUNT (przychodząc do siebie).

Czy to nasz dworzec? gdzie moja komnatka?
Ach! przypominam o tej strasznej chwili...
Już mię na zawsze pożegnała matka;
Zbójca mię zabrał... i na koń wsadzili —
Związali ręce — puścili się kłusem...
Jam długo krzyczał — usnąłem nareszcie,
I byłem w niebie, gadałem z Jezusem,
Dał mi sukienkę.

(Do Czachrowskiego).

A wy kto jesteście?

Czy służy tego straszego rycerza,
Co na nasz dworek wpadł wczora, jak zbójca?
Macie mię zabić?

CZACHROWSKI.

Tyś zakład przymierza,
Chcemy mieć zgodę z wojskiem twego ojca.

ZYGMUNT.

Chcecie z nim zgody?

CZACHROWSKI.

O! my niedalecy!

ZYGMUNT.

A o cóż kłótnia? niech winny przeprasza...

CZACHROWSKI.

Twój ojciec nie chce oddać nam fortecy.

ZYGUNT.

Bo ta forteca zapewne nie wasza.
O, ja znam ojca! — daremne gadanie —
On cudzej rzeczy nigdy nie przywłaszczy!
Ale co swoje, to obronić w stanie,
Nawet wilkowi odebrałby z paszczy!
On wielki rycerz, wy tego nie wiecie,
Odbył sto bitew w chwale i odwadze.
Łatwo wam w nocy uprowadzić dziecię,
Ale się z ojcem porywać nie radzę.
A starsi bracia!... Ho, także są zuchy!
Nie zaczepiajcie Ostojów z Karlina!

SZLACHCIC (do drugiego).

To dziecię pełne najlepszej otuchy.

DRUGI.

Jak on mojego chłopca przypomina!

TRZECI.

W oczach odwaga, a zuchwałość w mowie...
To polskie dziecko, jak mi Pan Bóg miły!

(Słuchać trąby).

CZACHROWSKI.

Grają pobudkę! słyszycie, panowie!
Snadź pierwsze kury już się obudziły.
Wszyscy do swoich chorągwi niech spieszą,
Ranną modlitwę niech wojsko odśpiewa.
Nabijać działa! a chorągiew pieszą
Od wschodniej strony ukryć między drzewa.
Ruszajcie waszmość — ja tu się pomodłę,
Odśpiewam hymny za koronną dolę.

JEDEN ZE SZLACHTY.

Jednak, rotmistrzu, zbyt byłoby podle,
Abyśmy mieli zabić to pacholę.

(Szlachta się rozchodzi — tylko zostaje kilku ze służby obozowej).

(Muzyka poczyna przegrywkę).

SCENA CZWARTA.

CZACHROWSKI — obok ZYGMUNT — w głębi namiotu kilku żołdaków. —
(Wszyscy zdejmują helmy).

CZACHROWSKI (śpiewa).

(Wolne recitativo).

Najwyższy Panie,
Mocny Hetmanie,
Dobądź oręża swego!
Pomóż wygranej,
Ulecz nam rany,
W sławie imienia Twego!

CHÓR.

W sławie imienia Twego!

CZACHROWSKI.

Ani gromada,
Ni ludzka rada,
Wygrywa plac w potrzebie;
Szabla tępieje,
Serce truchleje,
Gdy, Boże, nie masz Ciebie.

CHÓR.

Gdy, Boże, nie masz Ciebie.
(Słychać zewsząd trąby wojenne).

JEDEN ZE STRAŻY (wchodzi).

Jakaś niewiasta chce tutaj przebojem
Porwać to dziecko.

CZACHROWSKI.

A mniejsza mi o to;
Niechaj się stawi przed obliczem mojem!

GŁOS MARTY (za sceną).

Gdzie ty, Zygmuncie? ty moja pieszczoto!

SCENA PIĄTA.

MARTA (wpada w potarganym ubiorze i rzuca się na szyję Zygmunta).
Zygmuncie!

ZYGMUNT.

Marto!

MARTA.

Znalazłam cię przecie!

ŻOŁNIERZ (do Marty).

Zbliż się do wodza...

MARTA.

Precz mi, dzika hydro!

(Do Zygmunta).

O mój ty skarbie! o moje ty dziecię!
Mogą mię zabić, lecz ciebie nie wydrą!

CZACHROWSKI.

Kto waszmość jesteś?

MARTA.

Wszak jam to niebożę
Piersią karmiła, na rękach dźwigała...

CZACHROWSKI.

Nic mu tu złego trafić się nie może,
Dziecina będzie wesola i cała:
Wnet go do ojca odeślemy zdrowo,
Jeśli, jak sądzę, fortecę nam wyda.

ZYGMUNT.

A gdzie jest matka?

MARTA.

Bóg czuwał nad głową,
Gdy miała spotkać sromotna ohyda.
Zaledwie wrogi ciebie pochwycili,
Wojsko ojcowskie przybiegło w drużynie,
Wzięto twą matkę, i pewno w tej chwili
Już jest bezpieczna przy ojcu w Olsztynie...
Stadnicki umknął — z nim jego husarze.
Chciano mnie zabrać k'zamkowej załodze,
Lecz ja pobiegłam, gdzie mi serce każe,
Odszukać ciebie... och! przecie znachodzę!

(Ściska Zygmunta).

(Słychać znowu trąbkę).

CZACHROWSKI (do wchodzącego żołnierza ze straży).

Czego tam trąbią?

ŻOŁNIERZ.

Bo Pan Bóg dał gości:
Przybywa sukurs tysięcy ze cztery,
Wojsko Królewskiej Austriackiej Mości
I wszyscy wodze od głównej kwatery.

SCENA SZÓSTA.

LICHTENSTERN, ZBOROWSKI, GÓRKA i KILKU WODZÓW.

(Szlachta kłania się Zborowskiemu i Górcie).

LICHTENSTERN.

Czy to wasz Olsztyn? To i czasu szkoda!
Zburzyć mi zaraz gniazdo rozbójnicze!
Kto tutaj wodzem?

CZACHROWSKI.

Stadnicki z Żmigroda,
A ja w chorągwi jego namiestniczę:
Adam Czachrowski...

LICHTENSTERN.

Słyszałem o waści —
Dlaczego zamku nie wzięłeś przemocą?

CZACHROWSKI.

Bo trudno znaleźć miejsce do napaści,
Skały wysokie — a tam z armat grzmocą.

LICHTENSTERN.

Podwoić siły!

CZACHROWSKI.

Straciłem ich dużo,
Ale mi żadne nie wiodły się plany;
Stracili serce ci, co ze mną służą,
Szlachta iść nie chce...

LICHTENSTERN.

To szlachtę w kajdany!

ZBOROWSKI.

Niech na to Wasza Ekscelencja zważa,
Że prawo nasze więzić nas zabrania.

GÓRKA.

A taka mowa to szlachtę obraża,
Gdy nam w jej sercach trzeba przywiązania.

LICHTENSTERN.

Radźcież, co począć?

(Panowie polscy otaczają Lichtensterna, toczy się cicha narada. —

Czachrowski przechodzi na przód sceny).

(Wchodzi szlachcic, który był posłany do Olsztyna).

CZACHROWSKI.

Z czem powracasz wasze?
Z różdżką oliwy, czy z kością niezgody?

SZLACHCIC.

Stary Karliński groźb się nie przestrasza,
W swoim zapale trwa jeszcze, jak młody.
— Zamku nie wydám! — rzekł do mnie z zapalem —
A z synem czyńcie, jako wam się zdawa...
Pierwej niż ojcem Polakiem zostałem —
Starsze ojczyzny niż ojcostwa prawa.

CZACHROWSKI.

Przeklęty upór!

SZLACHCIC.

A z armat wystrzeli,
Jak tylko słońce poranne zaświeci.

LICHTENSTERN (postrzegając Zygmunta i Martę).

Niewielkie dziwy, żeście zniewieścieli,
Włócząc z obozem niewiasty i dzieci.

CZACHROWSKI.

To nasi jeńcy, wódz przysłał ich wczora...
Syn Karlińskiego, co w zamku starostą,
A to piastunka.

LICHTENSTERN.

A więc dobra pora,
Wziąć mury zamku bez walki i prosto.
Czy wie Karliński, że syn tu w niewoli?

CZACHROWSKI.

Właśnie do niego pisałem w tej chwili.

LICHTENSTERN.

Jakaż odpowiedź?

CZACHROWSKI.

Że go serce boli,
Lecz się przed żadną ofiarą nie schyli,
Że prędzej syna niż zamek utraci,
Że puści na nas wytrzały i groty.

LICHTENSTERN (z ironją).

Dziwnyście naród, panowie Sarmaci,
Lubicie rzymskie naśladować cnoty!
Lecz zmiękniesz... zmiękniesz, mój ty hardy ptaku,
Zniżysz twój polot aż do samej ziemi!
Panie Zborowski! zagrać do ataku!
I szturm przypuścić siłami wszystkiemi!
Niechaj się mężnie krzątają żołnierze,
Król Maksymilian dobrą da nagrodę.
Gdzie najwarowniej tam ja sam uderzę...
Ha! i to piskłę przed sobą powiodę.
Niechaj na rękach trzymają go strażę,
A tę niewiastę niech obok prowadzą!
Zobaczym wtedy, czy ognia dać każe,
Czy serce ojca ocknie się z swą władzą??

GÓRKA.

Lecz to niegodnie — to za ciężka próba
Dla serca ojca, gdy je nosi w łonie.

LICHTENSTERN.

Pozwolił czynić, co się nam podoba,
I ja mu czynić, co zechce, nie bronię;
Wolno mu zabić lub ocalić dziecię.
Hej! tuż przede mną ponieść go pod wartą!
Zagrać do szturm!

MARTA.

Panie! czy zechcecie

Gubić pacholę?...

ZYGMENT.

Nie zniżaj się Marto!

Jak ojciec zechce, jak rozrządzą nieba,

Tak w Imię Boże niechaj się i stanie!

Jeśli krwi mojej na ofiarę trzeba,

Z chlubą wypełnię moje powołanie.

(Słychać sygnały. — Żołnierze biorą Zygmunta pod ręce — drudzy Martę. — Za nimi wychodzi Lichtenstern, dobywając pałasza, za nim inni wodzowie).

WSZYSCY ŻOŁNIERZE (wołają).

Dalej, do szturmu!!

CZACHROWSKI (wychodząc na ostatku).

To rycerz nie dziecko!

Czego mam życzyć, sam nie wiem już zgoła...

Płakać mi chce się! — Precz ze łzą zdradziecką!

Dalej do szturmu, gdzie powinność woła!

(Zasłona spada).

AKT TRZECI.

(Wnętrze bastjonu. — W strzelnicach działa, których tylko zapaly dają się widzieć. — Ściana przystrojona w chorągwie).

SCENA PIERWSZA.

KARLIŃSKA I KARLIŃSKI.

KARLIŃSKA (z rozpaczą).

Cóż teraz czynić!?

KARLIŃSKI.

Póki nie wyświta,

Trudno coś począć... Odwaga! odwaga!

Muszę tak czynić, jak Rzeczpospolita

Po swoich wiernych obrońcach wymaga.

Trzeba jej służyć najwierniej, najprościej,

I siłą ducha, i ramienia siłą;

Na świętej drodze naszych powinności

Nie można czynić jako sercu miło!

Aby tych zbójców prześcignąć na drodze.

Posłałem odsiecz we dwadzieścia koni:

Lecz z Czachrowskiego pisanja dochodzę.

Że pospieszyli umknąć od pogoni.

Zygmunt w obozie, w nieprzyjaciół mocy,
Ale tymczasem nie zginie w niewoli.
Rankiem wypadnę jak kamieniem z procy,
Odbiorę dziecko, jeśli Bóg dozwoli.
Ale nie oddam i nie przefrymarczę
Murów tej twierdzy za krew mego syna:
Znam mą powinność...

SCENA DRUGA.

CIŻ I BIENIASZ.

KARLIŃSKI (do Bieniasza).

Co mi powiesz, starcze?

BIENIASZ.

Notandum tedy, niedobra nowina:
Wracam z pogoni bez żadnego skutku;
Panicz w obozie...

KARLIŃSKI.

Wiem o tem, — cóż dalej,

BIENIASZ.

Więc myślę sobie: trzeba po cichutku
Napaść na obóz...

KARLIŃSKI.

Czy wy zwarzowali!

W dwadzieścia koni na kilka tysięcy!
Stary szaleńcze, natarłbym ci uszy!

BIENIASZ.

O! byli z nami dobrzy sprzymierzeńcy:
Najprzód noc ciemna, potem rozpacz w duszy,
Potem stróż anioł, co stoi na straży
Przy pańskim dziecku — zaginać nam nie da.
Notandum tedy, to coś więcej waży
Niż śpiąca kilku tysięcy czereda.

KARLIŃSKA.

Pocziwy! dobry! zacny Bieniaszu!
Jaka myśl święta przyszła ci do serca!
Miałeś nadzieję w Bogu i pałaszu,
Zdobylbyś obóz, zginąłby wydzierca,

Zygmuntby wrócił!!... Idź, wszak jeszcze ciemno,
Wszak jeszcze pora: oni snom oddani!
Idź, Bieniaszu, zlituj się nade mną,
Uderz na obóz...

(Kłęką przed nim).

BIENIASZ.

Niepodobna, pani!

KARLIŃSKI.

Przed świtem czynić wycieczki nie wolno!
Może gdzie matnia zdarzyć się ukryta...
Rankiem uderzym na kupę swawolną.

KARLIŃSKA (zwracając się ku mężowi, zawsze na kolanach).

Ależ mój mężu! czy widzisz? już świta!
Każ zebrać wojsko — to dzielna drużyna;
Ci dobrzy ludzie jak w ogień polecą;
Wróć ci syna... czy ty słyszysz? syna!

BIENIASZ.

Nieszczęsna pani! pohamuj się nieco...
N o t a n d u m t e d y, jak się wyżej rzekło,
Sam chciałem szczęścia spróbować w tej mierze.

KARLIŃSKA.

Anioł cię natchnął...

BIENIASZ.

Przeszkodziło piekło!

N o t a n d u m t e d y, szykuję żołnierze,
Powiadam do nich: Hej, mości panowie!
Uderzmy w obóz naszych nieprzyjaciół,
Ratujmy dziecko! — Zgoda! — każdy powie,
Każdy broń podniósł i rumaka zaciął.
Jużeśmy mieli, jak wichry szalone,
Wpaść do obozu nieprzyjacielskiego...
N o t a n d u m t e d y, patrzę w drugą stronę,
Aż tu niemieckie dwie chorągwie biega.
Przy szarym świetle poznałem ich znaki,
Lecieli hurmem, dobywszy pałasze,
Pieśń obozową śpiewały żołdaki;
Lecz w pieśniach słowa i tony nie nasze.

Źle! myślę sobie... Stajem u pagórka,
 I poglądamy, co tam dalej będzie?
 Walą chorągwie — potem konna czwórka
 Wiezie karocę w całych sił zapędzie;
 Płoną latarnie; dalej znów bagaże,
 I polskie wojsko z chorągwią powiewną,
 I herb Jastrzębiec szyty na sztandarze, —
 No t a n d u m t e d y, to Zborowski pewno.
 Wojsko, jak woda, i płynie, i płynie;
 Nas nie postrzegli, bo byli dalecy.
 A my, ukryci w zarośli gęstwinie,
 Postawszy trochę, nazad do fortocy.

KARLIŃSKI (zrywa się).

Co! więc posiłki!... więc w tej samej chwili
 Uderzy na nas ich potęga cała!

(Do Bieniasza).

Każ, aby zaraz w bębny uderzyli!
 Wojsko do broni! ponahijać działa!

(Bieniasz wychodzi).

SCENA TRZECIA.

KARLIŃSKI i KARLIŃSKA.

KARLIŃSKI (przechadzając się w zamyśleniu).

Żywności jeszcze wystarczy na długo;
 Bronić się będziemy — nie brak nam odwagi.
 Poczciwe skały! za waszą usługą
 Mój Olsztyn białej nie wywiesi flagi.

(Do Karlińskiej).

Nie płacz, niewiasto! teraz na nas patrzy
 Król, karta dziejów i wszyscy rodacy;
 Niech nie powiedzą, że duchem upadłszy,
 Zdaliśmy zamek, jakby zdrajcy jacy.
 Królu Zygmuncie! ja nie znam cię w oczy,
 Lecz cię obrały niezmuszone wota;
 Ostatnia kropla krwi, co się wytoczy,
 Ostatnie tchnienie naszego żywota
 Tobie należą... Cześć twojej korony,
 Całość twej głowy zdałeś w ręce nasze:
 Póki przeciwnik nie będzie zwalczony,
 Helmu nie zdejmę, miecza nie odpaszę.

KARLIŃSKA.

Jakże ci pięknie, gdy twe oko pała
W tym bohaterskim szlachetnym zachwycie!
Nie sądź, mój mężu, abym zapomniała,
Żem córka kraju, który dał mi życie.
Nie zapomniałam, żem winna do zgonu
Mieć dla ojczyzny miłość niezachwianą, —
Miłość dla kraju i wierność dla tronu
Śmiercią zaświadczyć, jeśliby kazano.
Umrę dla kraju, jeśli Bóg przeznaczy,
Pójdę ochoczo na stos i na miecze...
Lecz syna oddać na pastwę siepaczy —
Ofiara wyższa nad siły człowiecze!
Bóg i ojczyzna nie mogą zbyt srodze
Chcieć takich ofiar od duszy niewieściej...

KARLIŃSKI (wzruszony).

Patrz na Maryę na krzyżowej drodze,
Kiedy Ją przeszył miecz siedmiu boleści,
Gdy Syn Jej konał wśród urągowiska,
Z przebitem sercem, z cierniami na głowie,
Przeżyła jednak...

KARLIŃSKA.

Cóż kraj na tem zyska,
Jeśli Zygmunta zamęczą wrogowie?
Ratuj go, mężu! Do siepaczów napisz,
Oddaj im mury olsztyńskiego grodu.
Król ci przebaczy — daremnie się trapisz,
Wszak król jest ojcem swojego narodu!
On twe ojcowskie uczucia oceni,
Przebaczy sercu, które się rozczuła...

KARLIŃSKI.

Błuźnisz, niewiasto? Czyż ludzie spodleni
Mogą mieć prawo do litości króla?
My obowiązki zdradziwszy na wojnie,
Czyżbym już zdołał wznieść oczy do góry?
Czyż ja noc jedną zasnąłbym spokojnie,
Wolny od srogiej sumienia tortury?
Małżonko moja! matko nieszczęśliwa!
Czuję boleści, co twe serce gniołą;
Lecz czyż powinna moja głowa siwa
Nad samym grobem okryć się sromotą?
Byłem rycerzem...

KARLIŃSKA.

Toć zostań rycerzem;
Przebacz, żem śmiała kusić cię potrosze.
Więc po rycersku nasze wojsko zbierzem,
Uderzym zaraz — lecz to zaraz, proszę!
Pozwól, ja sama przy tobie pojadę.
Na własne ręce odbiorę pacholę...

KARLIŃSKI.

Teraz już nie czas... trudno dać im radę;
Patrz, jakie wojsko zalega ich pole!
My teraz na nich napadać nie możemy;
Musim się bronić, bo oni napadną.

KARLIŃSKA.

Każdem mię słowem przeszywasz, jak nożem,
Nie dajesz prośbą zwyciężyć się żadną...
Więc ja mam czekać, aż nadejdą wieści,
Że już Zygmunta ścięły ich pałasze?...
Och! Bóg dał siłę słabości niewieściej;
Naszym orężem — bolesne łyzy nasze.
Pójdę do wrogów i czołem uderzę,
Łzami ich serca do litości wzruszę:
I oni zbrojni, i oni rycerze,
Ale od ciebie czulszą mają duszę!
Starcze, wojenną wypieszczony chwalał!
Lękasz się we śnie wyrzutów za zdradę, —
Cóż gdy przed tobą będzie widmo stało
Twojego syna, skrwawione i blade?
Gdy w dzień i w nocy głos twojego serca
Będzie wyrzucał, żeś postąpił dumnie?
Czyż sen spokojny będzie miał morderca,
I tu na ziemi, i w grobowej trumnie?

KARLIŃSKI.

Doroto moja! takąż mię zniewaga
Miała z ust twoich dotknąć na ostatek?
Wódz rozkazuje — małżonek cię błaga,
Bądź godną mężnych chrześcijańskich matek!
Trudna ofiara, gdy Pan przynieść każe,
Co najdroższego mieliśmy na świecie...
Odejdź, Doroto... pomyślę, rozważę...
Łza mi się kręci — ja kocham to dziecię!...

KARLIŃSKA (z radością).

Łza!... kochasz dziecię!... O dzięki Ci, Boże,
Żeś zmiękczył serce niezłomne, jak skała!
Pozwól mi, mężu, ja okno otworzę,
Ot tu na ścianie jest chorągiew biała!
Wywieś ją z okna — to jest znak poddania...
Wszakbyś nie zdołał obronić zamczyska!
Ich taka siła coraz się odsłania...
Boże! za chwilę Zygmunt nas uściska!
Prędejję, prędejję!...

KARLIŃSKI.

Wstrzymaj się, niewiasto!
Bądź dobrej myśli... a odejdz na chwilę.

(Karlińska uradowana odchodzi).

SCENA CZWARTA.

KARLIŃSKI, potem BIENIASZ.

KARLIŃSKI.

Mam poddać zamek?... ja mam poddać miasto?...
Wróg w samej rzeczy wzmaga się na sile.
Długo nie wytrwać... szturmem nas przemogą...
Król mi przebaczy... i syna ocale...
Lecz oddać zamek z tak liczną załogą,
Kiedy zapasów nie braknie nam wcale,
Żołnierz na duchu jeszcze nie upada...
Och! ja drzę wszystek — kręci mi się w głowie...
Hej!

(Do Bieniasza).

Niech się zbierze wojenna narada,
I pan Pieniążek, i dwaj chorążowie;
Czekam ich tutaj.

BIENIASZ.

Od nieprzyjaciela
Przybył posłaniec i czeka przy moście.
Dał znak, że ważnej nowiny udziela.

KARLIŃSKI.

To most sprowadzić i tutaj go proście;
Zawiązać oczy, wiodąc przez fortecę, —
Kędy tu przejście, niechaj nie postrzeże.

(Bieniasz odchodzi).

SCENA PIĄTA.

KARLIŃSKI (sam, pada na kolana).

Boże Zastępów! miej w Twojej opiece
 I serce moje, i tej twierdzy wieże!
 Wesprzyj ramiona słabego człowieka,
 By chytry szatan nie ujął mię w pęta!
 Od mego serca niech będzie daleka
 I podła słabość, i dzikość zawzięta!
 Pozwól, bym ojców chrobrym obyczajem
 Nie dał się ugiąć pod ciosem Twej plagi,
 Abym nie zgrzeszył przed Tobą i krajem
 Brakiem odwagi, lub zbytkiem odwagi!...

SCENA SZÓSTA.

KARLIŃSKI, PIENIAŻEK, DWAJ CHORAŻOWIE.

WODZOWIE.

Czołem ci, wodzu!

KARLIŃSKI.

Czołem wam, panowie.

Czas mamy krótki, a wieści złowieszcze.
 Z ręką na sercu niech mi każdy powie:
 Czy poddać zamek? czy bronić się jeszcze?
 Czy trzeba umrzeć? czy z naszego zgonu
 Będzie krajowi pożytek, czy szkoda?
 Zwróciwszy myśli do Pana Syonu,
 Mówcie, co Pan Bóg do serca wam poda.
 Panie Pieniążek, na waszmości kolej:
 Radzisz się poddać?

PIENIAŻEK (po namyśle).

Niełatwe zadanie.

Jeszcze czas jakiś trzymajmy się wolej:
 Kul, prochu, chleba na tydzień nam stanie.

KARLIŃSKI.

A potem...

PIENIAŻEK.

Umrzeć. Kiedy szturm przypuszczą,
 Zdobędą w zamku kamienie i skały.

JEDEN Z CHORAŻYCH.

A moja rada: dzisiajby z tą tłuszcą
Dobre warunki ułożyć się dały.
Może pozwolą oddalić się z bronią,
Zabrać zapasy prochowe i chlebne.
A życie nasze, co pakta osłonią,
Nie na raz jeden krajowi potrzebne.
Jest pole bitwy i dalsze są twierdze;
Tam trzeba naszej ręki i bardysza.

KARLIŃSKI (do drugiego z Chorażych).

Cóż waszmość radzisz?

DRUGI Z CHORAŻYCH.

Ja zdanie potwierdzę
Wielce miłego mego towarzysza:
Poddać się trzeba, poddać się w tej chwili,
Bo jutro, wodzu, za późno już będzie...

SCENA SIÓDMA.

CIŻ i BIENIASZ, potem PUSZKARZE.

BIENIASZ (przerażony).

Panie! dokoła zamek otoczyli,
Wojsko niezmierne rozlewa się wszędzie,
Niosą drabiny, podchodzą pod wały,
Huf najmocniejszy tu prosto przy rowie.

KARLIŃSKI.

Niełatwo Niemcy ugryzą te skały!
Dać ognia z armat! Hej, mości panowie,
Nie czas do rady! już Boskie zamiary
Wskazały naszej powinności drogę.
Spieszcie na wały! a tej baszty starej
Ja z jednym działem sam obronić mogę.
Z tej wysokości, między dwa parowy
Kula puszczone cały hufiec zwali.
Hola, puszkarze!

(Dwaj Chorażowie odchodzą).

(Wchodzi dwóch puszkarzy).

Czy nabój gotowy?

PUSZKARZ.

Działo nabite, a lont już się pali.
Toż się, mój Boże, całą noc nie spało.
Oczyścić, nabić... to praca niezmierna.
(Słysząc podwójny zgrzyt trąby).

KARLIŃSKI.

Atak się wzmaga... a więc...

(Głośno).

rychtuj działo!

(Chwila pauzy).

Pal!

SCENA ÓSMA.

CIŻ I CZACHROWSKI.

CZACHROWSKI (wbiega, odtrąca puszkarza, który lont zapalony
przykładał do armaty i popycha Karlińskiego ku oknu).

Patrz, Karliński, to huf Lichtensterna!

KARLIŃSKI (odwraca się z pośpiechem).

Kto? czego chcecie?

CZACHROWSKI (biorąc go za rękę).

To ja, druż twój stary,

Choć dziś w obozie twoich wrogów służę.

Bóg losy krajów zapisał już w górze.

Czy Maksymilian, czy Zygmunt król będzie,

My tego grzeszni rozwiązać niegodni.

Ja, starą przyjaźń mający na względzie,

Przybiegłem tutaj wstrzymać cię od zbrodni.

Patrzaj. Karliński! tam chorągiew wieje,

A przed chorągwią widzisz punkt ten biały?

To Lichtensterna wojenne nadzieje,

Strzelaj, gdy możesz!...

KARLIŃSKI.

Jakto? mego syna!

CZACHROWSKI.

Widzisz punkt biały, ot tu, przy opoce?

Kula, nim nasze hufce poprzerzyna,

Twojemu dziecku piersi pogruchoc!

Wódz rakuszański chciał go mieć za tarczę

Swojego życia, przy szturmie wśród kuli...

Wpadłem cię ostrzec — teraz strzelaj, starcze!...

PUSZKARZ (rzucając lont).

Panie! twe serce niechaj się rozczuli!

PIENIAŻEK.

Wodzu! kraj takiej próby nie wymaga!

CZACHROWSKI.

Bracie mój dawny, miej litość nad sobą!

PIENIAŻEK.

Oddaj im zamek!

(Słysząc trąby).

KARLIŃSKI.

Odwaga! odwaga!...

Panie! zbyt ciężką dotknąłeś mię próbą!

Łzy płyną z oczu... drży serce — drży ręka...

Mróz lodowaty przebiega me kości...

W obliczu wrogów Karliński się lęka,

Lęka spełnienia swojej powinności!...

Tam król... tam hetman... krew dziecka, płacz żony...

Tego zanadto!... o!... poddać się raczej!...

(Bierze do ręki białą chorągiew).

Kasprze Karliński! zhańbiony! zhańbiony!

Chciałeś się podle poniżyć w rozpacz!

Krew mego syna upadnie na wroga:

Nie ja zabójca, ale on zabójca...

Ziemio rodzinna, matko moja droga!

Przebacz, że chwilę miałem serce ojca!

Synu mój drogi! starą moją głowę

Któż tu przytuli? kto do trumny złoży?

Ty miałeś wskrzesić wspomnienie ojcowe,

W tobie rycerstwa był widny duch Boży...

Lecz musisz umrzeć!...

(Z załamanemi rękoma pogląda na białą chorągiew, potem ją rzuca na ziemię).

Przebaczcie mi, nieba,

Żem się zawahał w tak stanowczej sprawie!

Synu! czas przyszedł — wylać krew potrzeba!

Na drogę śmierci ja cię błogosławię!

Żegnaj mi, synu! cześć młodej twej głowie,

(Wyrzywa lont od puszkarza, który stoi osłupiały).

Że krew przelałeś w krajowej potrzebie!

Kocham cię więcej niżli własne zdrowie,

Ale powinność droższa mi od ciebie.

Ziemio mych ojców! bierz dar prawowierny
 Z krwi pacholęcia i z ojca katuszy!
 Boże najwyższy! Ojcze miłosierny!
 Bądź tam miłościw jego czystej duszy!
 (Przykłada lont do zapалу armaty — słychać wystrzał).

WSZYSCY OBECNI (z przerażeniem).

Ach! coś uczynił?

CZACHROWSKI.

Szlachetny szaleńcze!

KARLIŃSKI.

Dzięki Ci Boże! nie zadrżała ręka.
 Musiałem trafić — o! musiałem, rękę:
 Cios tu się odbił!...

(Wskazuje ku sercu).

Tak mi serce pęka!...

A ja sądziłem, że to łatwiej pono
 Sprawić się z serca uczuciem rodzimem...
 Panie Pieniążek, czy dobrze trafiono?

PIENIĄŻEK (patrząc w strzelnicę).

Ja nic nie widzę za armatnim dymem.
 (Słychać z daleka głucho wystrzały. Wszyscy cisną się do okna).

KARLIŃSKI.

Drżą ręce — nogi trzęsą się pode mną...
 Serce tak bije — rozpada się z bólu —
 Głowa się kręci — a w źrenicach ciemno...

(Usiada).

Panie Pieniążek, co tam widzisz w polu?

PIENIĄŻEK (zawsze w oknie głosem uroczystym).

Już się spełniło...

(Chwila milczenia).

JEDEN Z PUSZKARZÓW.

Już Niemca odparto.

Pierzchają zewsząd... szeregi popsuli...
 Trupy, jak pomost... a nasz panicz z Martą
 Padli zabici odłamkami kuli!...

KARLIŃSKI.

Śpij, drogie dziecię!... niedługo, niedługo...
 Przyjdę przebłagać twą męczeńską duszę...
 Ale kraj jeszcze czeka mię z posługą:
 Ja powinienem... ja żyć jeszcze muszę.

BIENIASZ (wchodząc).

Niemcy uciekli; wódz ich ciężko ranny,
Nasz panicz poległ, jak podcięty kosą.

KARLIŃSKI.

Niech dają z wałów ogień nieustanny!
Trup mego dziecka niech tutaj przyniosą.
(Bieniasz odchodzi).

PIENIAŻEK (patrzac w okno).

Zwijają obóz... a ich przednie straże
Kierują pochód na krakowskie strony.
Rannego wodza niosą przy sztandarze.
Górą król Zygmunt!

KARLIŃSKI (powstawszy uroczyście, wznosi ręce).

Olsztyn ocalony!

Pańskie to, Pańskie podparło mię ramię;
Syn mój to sprawił... Czyż mam płakać po nim?
Wracaj do swoich, Czachrowski Adamie.

PIENIAŻEK.

A powiedz swoim, że gdzie dobra sprawa,
Tam duch ofiary mężnieje w potrzebie.

SCENA DZIEWIĄTA.

CIŻ i KARLIŃSKA (wpada z rozpaczą).

KARLIŃSKA.

Bitwa skończona... strzelanie ustawa...
Gdzie Zygmunt? mężu! gdzie Zygmunt??...

KARLIŃSKI.

Już w niebie.

(Widać w głębi, jak wnoszą zwłoki Zygmunta. Obecni uchylają głowy.
Zasłona spada).

1857. Wilno.

WIEJSCY POLITYCY.

KOMEDJA W TRZECH AKTACH WIERSZEM.

OSOBY:

SĘDZIA NOWINA.

SEDZINA, jego żona.

STEFAN, ich syn.

PODKOMORZY LESZCZYC.

ANNA, jego córka.

SZŁOMA, arendarz sędziego.

GOSPODARZ w oberży.

WÓJT.

GROMADA WIEJSKA, / za wsi sędziego.

Rzecz dzieje się w pierwszym i drugim akcie w domu wiejskim sędziego;
w trzecim w oberży w miasteczku.

AKT PIERWSZY.

SCENA PIERWSZA.

Wieczór. Pan SĘDZIA przy jednym stoliku czyta gazetę; STEFAN przy drugim z rozłargnieniem czyta książkę; SEDZINA z robotą przy tymże stoliku.
(Stefan składa książkę i wzdycha).

SĘDZINA (z czułością).

Co tobie jest, Stefanie? wzdychasz, moje dziecię!
Tęskno tobie po twoim uniwersytecie,
Po twoich towarzyszach, po miastowej wrzawie;
Na wsi nudno.

STEFAN.

Nie, mamó! ja się dobrze bawię.
Straciłem moich dobrych towarzyszków grono,
Żal mi ludzi, z którymi spotkać się sądzono,
Z którymi się człek smucił, z którymi weselił,
Z którymi myśl, naukę i dążenia dzielił;
Lecz za to jestem w kraju. O! jakże to błogo,
Gdy domowem powietrzem tchnąć już piersi mogą,
Po długim niewidzeniu gdy powitać dano
Rodziców, dom rodzinny, Litwę ukochaną,
I nasz strumyk w olszniaku, ulicę z topoli,
I mową się rodzinną nagadać dowoli,
Powitać nasz lud wiejski, uściskać go szczerze.

SĘDZIA (do obecnych).

Dostali niezłą cięgę Francuzi w Algerze,
Gotują się w Maroku wypadki nielada:
Bo już Kurjer Wileński nieznacznie powiada,
Przebąkiwa, mosanie, że jeszcze w tym roku
Wszystkie porty handlowe zamkną się Maroku.
A skądże marokańską tabakę świat kupi?
Czy Anglja pozwoli?... Palmerston nie głupi!
Na wiosnę straszna wojna buchnie niespodzianie!
(Czyta znowu).

SĘDZINA (do Stefana).

Aleś ty zamyślony i blady, Stefanie;
Możesz chory, broń Boże?...

STEFAN.

Och! ja cierpię srogo
Na marzenia, co jeszcze ziścić się nie mogą,
Na zuchwałe żądanie z nieziemskiego świata,
Co mi serce rozrywa i w głowie kołata.

SĘDZINA.

O, biednaż ja kobieta! Stefanie, Stefanie!
Może octu do głowy... to boleć przestanie.
Na ból serca... ból serca... o mocny mój Boże!
Anodinum na cukrze...

STEFAN.

Och! nic nie pomoże,
Bo to ból niezwyčajny — pali jak zarzewiem.

SĘDZINA.

Cóż ci jest, łube dziecię?

STEFAN.

Ja nie wiem, ja nie wiem...
Com wyczytał, wysłuchał, w co przywykłem wierzyć,
Chciałbym na mojej Litwie od razu rozszerzyć;
Ona mi się stawiała szczególnym obrazem:
Och, jak tu na niej dobrze! och, jak tu źle razem!
Jakie tu śliczne pola, jakie cudne gaje!
Ale grunt zaniedbany już chleba nie daje,
Lasy pustoszy wieśniak, pustoszą do dworu,
Piękne łąki nie dają i połowy zbioru,
Jakiby przy uprawie należytej dały.

SĘDZIA (zawsze czytając).

To ~~zuch~~ Ibrahim basza... pokopał kanały,
 Egipskie grzędzawice osuszył w połowie...
 Tylko czy Turek za to wojny nie wypowie?
 To, panie, mądra sztuka, ten Ibrahim basza!

STEFAN (zawsze z zapalem do matki).

Jakież ma piękne wioski droga Litwa nasza!
 Wpółśród zielonych pastwisk, przy rzeczce, przy młynie,
 Owdzie prześliczny strumyk wśród olszniaku płynie,
 Owdzie na ładnych wzgórkach wznosi się chałupa...
 Rozkosz dla pejzażysty takich chatek grupa!
 Ale, kochana matko, jakże boli srodze,
 Kiedy po grząskich groblach, po nierównej drodze,
 Wjedziesz do której wioski bez cienia, bez płotów!
 Ktośby ją za schronienie nędzarzy wziąć gotów.
 Chaty niskie, jak żebrak oparte na szczudła;
 A każda twarz wieśniaka wybladła, wychudła,
 Ubiór jego podarty, na twarzy głupota;
 A toż Litwin! to serce pocziwe ze złota!
 Przecież w brudnym nałogu, jak w błocie, się tarza,
 W nałogu, zaprzędanym za pieniądź karczmarza,
 Z zamroczonym umysłem Paryas wyklęty,
 Jak on będzie pracował?

SĘDZINA.

O mój Boże święty!

Mój Boże! co on gada? to z bolenia głowy...

O! ja mam plastr cudowny...

STEFAN.

Nasz Litwin surowy

Swoją podartą chatę ukochał najszczerzej,
 Nie jak Niemiec, co w żadną ojczyznę nie wierzy;
 Przechował obyczaje i domowe cnoty,
 Nie jak dziecko Paryża, kędy stek sromoty;
 Nie został, jak Włoch, zbójcą, jak Greczyn, obłudnym,
 Jak Anglik egoizmem nie przejął się brudnym;
 Wiara tylko swój kielich zółci z octem słodzi.

SĘDZINA.

Uspokój się, Stefanie, bo to ci zaszkodzi.
 Prawda, że u nas wieśniak i głodny, i chłodny;
 Lecz tak było od wieków za grzech pierworodny,
 Czy podobno od Sema, Chama i Jafeta.

STEFAN.

Nie, mamó.

SĘDZIA (zrywa się).

Posłuchajcie, co pisze gazeta!

(Czyta).

P a r y ż ó s m e g o w r z e ś n i a. Król jegomość z rana
Przyjmował uroczyste poselstwo sułtana;
Potem telegraficzna wiadomość doniosła,
Że prosił na śniadanie hiszpańskiego posła;
Dalej... okręt angielski przybył z Malabaru;
Dalej... pierwszy minister, z powodu kataru,
Dziś nie był w parlamencie, — a dalej: na scenie
Nowe i nader świetne było przedstawienie,
Dano „Włoszkę w Algerze!“ Tak, „Włoszkę w Algerze!“
Głęboka allegorja! Włoch już Alger bierze,
Król francuski z sułtanem przyjaźni się skoro,
I uważasz... Hiszpanów na c u h u n d e r biorą.
Okręt od Malabaru... minister w katarze...
Tak pisać to głęboka polityka każe.
Ale znamy się na tem... ho! znamy się trocha!
Francuz. Hiszpan i Turek pójdą przeciw Włocha;
Wtedy Ibrahim basza, co przytulił uszy,
Na Hiszpana, Francuza i Turka wyruszy.
Toż to będzie, mospanie, wojna w Europie!
Wtedy i nam wypadnie chować się w konopie;
Bo nasze wojska pójdą bronić pruskich granic,
A od Persa, mospanie, nie zaręcę za nic:
Ich przymierze na włosku, czysto za kontraktem.
Wszak mi żydek powiadał, że onegdaj traktem
Jechało dwóch ichmościów... wąsaci, brodaci,
I mieli czapki perskie... niech go porwą kaci!
On zgadł, że będzie wojna — to już niedaremnie,
A podkomorzy Leszczyc śmiał się wtedy ze mnie.

STEFAN (przerywając).

Leszczyc?... jakież tu Leszczyc mieszka w okolicy?

SĘDZIA.

Jan Leszczyc, podkomorzy, dziedzic na Bruśnicy;
Z traktu majątek jego widać o trzy kroki.

STEFAN.

Czy on ma młodą córkę?

SĘDZIA.

Polityk głęboki!

Ciągle czyta gazetę, a ciemny jak w rogu,
Nie wierzy w żadną wojnę. Dzisiaj, dzięki Bogu,
Otóż go wyśmiejemy, otóż go wychłoszczem,
Kiedy* z rana w niedzielę zejdę się z proboszczem!
Podkomorzy, polityk mądry w każdym względzie...

(Do wchodzącego arendarza).

Jak się masz, panie Szloma?... Czy wiesz? Wojna będzie!

(Sędzina odchodzi).

SCENA DRUGA.

C I Ż I S Z L O M A (wchodzi z ukłonem).

SZLOMA.

Wojna? kogo i za co?

SĘDZIA (uroczyście).

Ba! zgadnijże za co!

Włosi zdobyli Alger, Ibrahim ładaco
Idzie wojować Turki, Francuzy, Hiszpany;
Lecz w gazecie, uważasz, inszy obrót dany:
Niby tak, niby owak... przypuszczenia, wnioski...
Jak wiesz, pod allegorją pisze Marcinowski;
Lecz kto ma zdrowe oczy, jasno prawdę widzi.

SZLOMA.

Pan to lepiej rozumie niż my, biedni żydzi.
My sobie handlujemy — wojna rzecz nie nasza.
Póki Ibrahim baśza wystrzeli z pałasza,
Ja chciałbym choć trzy grosze zyskać na arendzie;
A tu gwałty! rozbójstwa! i co z tego będzie?!

SĘDZIA.

Cóż się stało?

SZLOMA.

No! Janek!!

SĘDZIA.

Nudzić mię poczynasz!

Czego chcesz? jaki Janek?

SZLOMA.

Jaki Janek? — młynarz!

Sam nie chodzi do karczmy, powiada, że pości,
I jeszcze całą wioskę naucza trzeźwości,
Buntuje całą wioskę, buntuje i kwita!
Czy wierzy pan dobrodziej?

(Tajemniczo do ucha sędziego).

Nawet książki czyta!

Kiedy jeździł z transportem do pszenicy mojej,
Przywiózł książki i z Wilna — aj gwałt, co tam stoi!
No! że żyd wkrótce chłopą do szczętu wysuszy,
No! że pijak w niedzielę ciężki grzech dla duszy,
No! kiedy dzień powszedni, to trzeba do pracy,
No! że pijąc na kredyt, to będą żebracy!
I mało czego jeszcze! buntuje widocznie!
Bolą uszy słuchając, kiedy czytać pocznie.
Na co jemu czytanie? i z tego czytania
On jeszcze wszystkich ludzi z karczmy porozgania.
Co to jest!!

SĘDZIA (chodząc niespokojny).

Prawdę mówisz! masz słuszość, mój Szłomo!
Gdy chłop porozumnieje, wtedy już wiadomo:
Nie pójdzie na pańszczyznę.

SZLOMA.

Nie pójdzie do szynku.

SĘDZIA.

Czytanie!... jak sto batów weźmie w upominku,
To się czytać oduczy, a z nim cała wioska.
Chce być mędrszym ode mnie! a to kara Boska!
To już skończenie świata!!

STEFAN.

Nie, to jutrznia świata.

Duch Boży sam do chatek wieśniaczych kołata,
Wykluwa się ze skorup gołąbek skrzydlaty
I siedmiu promieniami niebieskiej oświaty,
Jak ojcowskiem objęciem, otuli, opasze
Pogardzonych nędzarzy chróściane szalasze.
Dzięki Ci, dobry Boże! ta chwila już blisko,
Twój palec nam wskazuje nasze stanowisko;
Bądźmy wierni wezwaniu!

(Sędzia i Szłoma patrzą na niego z podziwieniem).

SZLOMA.

Gwałt! co panicz gada!

SĘDZIA.

Co asan takie rzeczy?... słuchać nie wypada...
Łatwo w kłopot, a kłopot sakiewkę wycieńczy...

STEFAN (chłodniej).

Przepraszam cię, mój ojczu, za wyskok szaleńczy!
Wszak wiesz, jak żywo pragnę... ale tego dosyć.
Chciałem tylko za Jankiem młynarzem cię prosić:
Nie odbieraj mu książki, gdy się pragnie uczyć,
Nie karz go za czytanie, nie daj mu dokuczyć.

(Groźnie patrząc na Szłomę).

A ty, jeśli się ważysz, żmijo jadowita,
Jeżeli słówko piśniesz...

SZLOMA (cofając się).

No! niech sobie czyta,
Niechaj z karczmy rozpędza, niech zaleca pracę,
A ja na święty Jerzy raty nie zapłacę!

SĘDZIA.

Zaraz nie płacić raty — wyśmienita rada!
Nie uważaj, mój Szlomo, co pan Stefan gada:
Taka dziś cała młodzież — dowodzi jak może,
Że pan, i kmieć, i szlachcic wszystko dzieci Boże,
Że trzeba naszym wioskom nadać inną postać,
Że ekonom przy pracy nie powinien chłostać,
Że trzeba zmniejszyć karczmy, zaprowadzać szkoły
I z rolnikiem na roli pracować do spółki.

SZLOMA.

Cóż dalej z tego będzie?

SĘDZIA.

Dalej nic nie będzie.

Jam o mego Stefana spokojny w tym względzie.
Nadaś się, jak inni, zmiany naprzyrzeka,
I pójdzie starym torem, jak chodzili z wieka;
Zmęczy go postępowo nad chłopstwem móżoła,
Pocznie chłostać, jak drudzy, i żyda przywoła;
Pocznie do wiejskich dziewcząt zalecać się dzielnie,
I, zamiast szkoły wiejskiej, zbuduje gorzelnię.

SZLOMA.

O! tak, to co inszego!

STEFAN.

Ojcze, jak to boli!

SĘDZIA (ze śmiechem).

Wyszumi młode piwko, wyszumi powoli.
Teraz pójdziem do rzeczy, mój Szlomo kochany!
Mam pewne interesa, mam tu pewne plany;
Chciałbym z tobą pomówić — tak, na cztery oczy;
Chodź do mego pokoju.

SZLOMA (do siebie).

Już wiem, z czym wyskoczy;
Ale bądźmy ostrożni... odmówić najprościej.

SĘDZIA.

Służę ci, panie Szlomo.

SZLOMA.

Służę jegomości.

(Odchodzą we drzwi boczne).

SCENA TRZECIA.

SĘDZINA. STEFAN.

SĘDZINA.

Źle robisz, mój Stefanie, choć mówisz, jak księga,
Choć każde twoje słowo do serca mi sięga...
Bronisz uciśnionego, kochasz lud ubogi,
To znaczy dobroć serca, to pięknie, mój drogi;
Lecz mówisz za gorąco i w ciągłym ferworze.
Wszak ojciec przekonań odmienić nie może;
Więc zamiast go rozdrażniać, zamilczałbyś wolej.
Zresztą, synu, my starzy: przyjdzie wasza kolej,
Wtedy tworzyć będziecie postępowe cuda,
Może wam stare błędy poprawić się uda.
Wszak słyszałeś od ojca, że na święty Jerzy
Już całe gospodarstwo w twe ręce powierzy.
Będiesz swobodnym panem i woli, i środków,
Będiesz mógł po swojemu uszczęśliwiać kmiotków;

Lecz póki się ku tobie szala nie przychyli,
Poszanuj jego zdanie do ostatniej chwili.
Przepraszam, że to mówię.

STEFAN.

O! dzięki sto razy!

Będę ściśle obliczał wszystkie me wyrazy,
Schowam do głębi serca moją świętą wiarę,
Poszanuję ojcowskie przekonania stare.
Lecz gdy naszą fortunę odda mi pod strażę,
Przebacz, matko! postąpię, jak mi serce każe,
I niejedno odmienie, niejedno przerobię:
Dam kmiotkom prawa ludzi...

SĘDZINA.

Jak sam zechcesz sobie.

Tutaj jedyna rada, jaką dać ci mogę:
Abyś obrał powolną do postępów drogę,
Bo co nagle rozpoczniesz, nic ci się nie skleci.
Po kolei, mój synu, wszystko po kolei,
A śmiało w Imię Boże.

STEFAN.

Nic się nie przestraszę, —

Zbrojny w błogosławieństwo i Boskie, i wasze,
Czuję, że mi co chwila nowy popęd nada
Dobre serce matczyne i ojca porada.

SĘDZINA.

I sercem, i modlitwą, pocciwy Stefanie,
Będę ci pomagala, ile sił mi stanie;
Niekiedy rada matki przydać ci się może.

STEFAN (całując jej rękę).

Radź, matko, i rozkazuj — przyjmuję w pokorze.
Dawaj mi od tej chwili tve dobre przestrogi,
Wskaż mi najpierwsze kroki mojej trudnej drogi.
Powiedz mi: w gospodarstwie nim się coś uczyni,
Od czego trzeba począć?

SĘDZINA (z uśmiechem).

Szukać gospodyni.

Wynaleźć dobrą żonę, co cię kochać będzie,
Co twojemi oczyma rozpatrując wszędzie,

Gdzie ty zarzucisz wątek, ona da ośnowę,
Wzmocni niewieściami sercem twoją męską głowę.
Do niej przyjdą odważniej ubodzy i chorzy,
Przed nią niejednen wieśniak swe serce otworzy,
Ona się porozumie roztropniej daleko
I z niewiastą, i z dzieckiem, i z biednym kaleką.
Ona się wtajemniczy i trafniej, i prędzej
W najdrobniejsze odcienie cierpienia i nędzy,
A dopóki trwać będziesz w zbawiennym zamiarze,
Gotową drogę czynu ona ci ukaże.

STEFAN.

Prawda po tysiąc razy.

SĘDZINA.

Ona cię nauczy,
Że konia, jak to mówią, pańskie oko tuczy.
Będziesz pilnował domu — a tu co godzina
Nowy się obowiązek sercu przypomina,
Nowy dobry uczynek codzień się dokona.
Skarbem jest, mój Stefanie, skarbem taka żona;
Ale z tysiąca kobiet wyszukać jej rzadko!
Szukaj dobrze!

STEFAN.

Znalazłem, znalazłem ją, matko!
Muszę ci wyznać słowo, co pod sercem gniotę.
Ja kocham już od roku niebiańską istotę,
Ona, choć nieobecna, wspomnieniem mię krzepi,
Ona mojego serca świadoma najlepiej,
Ona olbrzymią siłą wzmocni me ramiona;
Zna lud wiejski i kocha, jakby w nim zrodzona.
W dalekiem, w obcym mieście marzyliśmy razem,
Żyliśmy naszych dworów, naszych wsi obrazem;
Długie, długie wieczory, często załzawieni,
Błądziliśmy oczyma po niebios przestrzemi;
Promieniami księżyca z oddali, z oddali,
Pozdrowienie kochanej Litwie przesyłali.
Ona tam przy swej ciotce w gościnie bawiła.
Jam ją pokochał wiecznie, ile starczy siła;
Przysięgła mi najświęciej — wiernie — najgoręcej,
Być moją — tylko moją — i niczyją więcej.
Niech ją ojciec przeklina, niech jak chce się sroży...

SĘDZINA.

Któż to taki jej ojciec?

STEFAN.

Leszczyc podkomorzy.

SĘDZINA.

Pan Leszczyc podkomorzy — a toż sąsiad przecież!
Córkę jego znam dobrze: to pocziwe dziecię,
Urodziwej postaci, kształtna, pięknooka,
Bawiła rok u ciotki, czy półtora roka,
Lecz teraz powróciła, zesmutniała trocha...
Ty ją kochasz, Stefanie — ona ciebie kocha —
To dobrze, wszystko dobrze... lecz miej się na wodzy:
Oni ludzie bogaci, my — szlachta ubodzy.
Pan Leszczyc nie jest dumnym z majątku i z rodu,
I pysznić się przed nami nie miałby powodu;
Obok pana Leszczyca my niżej nie staniem
Ni dobrem urodzeniem, ni urzędowaniem.
Lecz pan Leszczyc spekulant, obrotowa sztuka,
Spekulanta na męża dla swej córki szuka,
Człowieka z kapitałem i przemyślną głową,
Coby szybko podwoił sumę posagową.
Tybyś w takim zawodzie nie dotrzymał pola,
Bo jakież tve zasoby?

STEFAN.

Zdrowa myśl i wola,
Dwoje rąk, kierowanych pocziwym zapalem,
Do pomocy lud wierny, który ukochałem.
Wierzcie mi, że tu rolnik daleko zajść może
Z temi kilku środkami.

SĘDZINA.

Daj Boże, daj Boże!
Zresztą, patrzaj Stefanie, jak się dobrze składa:
Wkrótce mamy u siebie powitać sąsiada,
Bo dzisiaj do nas pisał stary podkomorzy,
Że jutro razem z córką swą atencję złoży.
Zobaczmy, co się święci, zdajmy się na Boga.

STEFAN (z radością).

A więc jutro mię czeka niespodzianka błoga!
Jutro Annę zobaczę!...

SCENA CZWARTA.

CIŻ, SZLOMA, a za nim SĘDZIA.

(Szloma kłania się i chce wychodzić).

SĘDZIA (doganiając go).

Co za powód zmiany?

SZLOMA (do siebie).

Widoczna ze wszystkiego, że zbankrutowany.
Chce mnie częstować miodkiem i paniczem straszy,
Chce pieniędzy na konto Ibrahima baszy...
Na co mi to potrzebne?

SĘDZIA.

A z Jankiem młynarzem
Już się sami rozmówim, sami go ukarzem;
Przestanie czytać książki, zalecimy srogo.

SZLOMA (do siebie).

Cztery tysiące złotych... to trochę za drogo.

(Głośno).

Upadam do nóg pańskich!

SĘDZIA.

Zabronię i kwita.

SZLOMA.

Kiedy taki uczony, niech sobie już czyta.
Upadam do nóg pańskich!

STEFAN (do siebie).

Jakaś czuję trwogę.

Memu własnemu szczęściu uwierzyć nie mogę.
Jutro Annę zobaczę...

(Odchodzi drugimi drzwiami).

SCENA PIĄTA.

SĘDZIA, SĘDZINA.

SĘDZIA (nie widząc żony).

Choć zastawić duszę,
Cztery tysiące złotych koniecznie mieć muszę.
Podatki niepłacone — nie żartować z władzą:
Pustopole opiszą i z młotka przedadzą.

Stefan, co o ludzkości i postępie gada,
 Nie wybrnie z tarapaty... Jakoś nie wypada
 Wkładać na jego głowę ciężar takiej miary.
 Masz tobie!... syn za młody, a ojciec za stary,
 Podatek niepłacony, a procent narasta...
 Co począć?...

(Chodzi zamyślony).

Trzeba skończyć gazety i basta.
 Redaktor wbił mi klina... rwą się do pałasza
 Anglik, Francuz i Turek, i Ibrahim basza;
 Będzie na wiosnę wojna — pieniądz na widoku.
 Czy to ja nie pamiętam, we dwunastym roku
 Jaka była drożyzna? to aż wspomnieć ładnie!
 Pociągnę pasjansa, czy wojna wypadnie.
 (Siada przy stoliku i wyrzuca karty).
 As, dwójka, trójka, czwórka... jest czwórka — no, proszę!

SĘDZINA (przerywając mu).

Ciekawą ci, mój mężu, wiadomość przynoszę;
 Tylko cicho... nikomu nie mów ani słowa.

SĘDZIA (zawsze zajęty).

Piątka, szóstka, siódemka, ósemka dzwonkowa,
 Walet winny... No, słucham, co tam za wiadomość?

SĘDZINA (tajemniczo).

Nasz Stefan zakochany...

SĘDZIA.

Widzisz go, jegomość!
 Lud... idee ludzkości... postępy narodu...
 A myśli o dziewczętach, tak jak ja za młodu.
 Trzeba wiedzieć, że byłem zalotny i zmienny.
 (Kładzie znowu karty).
 Walet, dama dzwonkowa... ot i król czerwieny,
 To znaczy król francuski.

SĘDZINA.

Tu ważniejsze rzeczy:
 Mówię, Stefan się kocha.

SĘDZIA.

A któż mu tam przeczy!
 Miłostki dla młodego bardziej odpowiednie
 Niż te wszystkie idee, postępowe brednie,

Z któremi z takim dzisiaj wyrwał się zapalem,
 Że mi Szłomę przestraszył — a interes miałem.
 Uciekł Szłoma, jak zmyty, wcale się nie dziwię.
 I jeżeli kabata nie wyjdzie pocziwie,
 Jeśli wojny mocarstwo nie wypowie które,
 To zboże ani myśleć aby poszło w górę.
 A u mnie w Pustopolu jedyna rachuba:
 Albo wielka drożyzna, lub zupełna zguba.
 Podatek niepłacony, włościwanie bez chleba,
 Trzeba zboża na zasiew, zapomogi trzeba;
 A u mnie jedno z drugim dwie pustki w kieszeni.
 Jedyna tylko rada...

(Zrywa się gwałtownie).

Niech się Stefan żeni!

Niech weźmie dobry posag, niech długi pospłaca.
 A może mu szczęśliwiej powiedzie się praca;
 Niech się zagospodarzy, grosz oszczędza w miarę, —
 Młodsza głowa i ręce już nie to, co stare.
 Kogoż tam przecież kocha? gdzie ofiary pali?

SĘDZINA.

Z córką podkomorzego dawniej się poznali,
 I ona mu wzajemna.

SĘDZIA.

Gadaj jejmość zdrowa!

SĘDZINA.

Młoda, piękna, szlachetna.

SĘDZIA.

O tem ani słowa;

A jednak...

SĘDZINA.

Co za jednak? nie bój się o zmianę.

SĘDZIA (uroczyście).

To są gruszki na wierzbie i bańki mydlane.
 Czy ja nie znam Leszczyca? Ho, ho! bita sztuka!
 Stary lichwiarz bankiera na zięcia wyszuka.
 Jemu widzę od dawna przewróciły głowę
 Procenta, kapitały, maszyny parowe.
 Powiedz mu: będzie wojna, to on śmiechem parska,
 Mówi, że już minęła epoka tatarska,

Że teraz Europa długich walk już syta,
Że bogactwo krajowe w pokoju rozkwita,
Że największa spokojność panuje na świecie...

(Triumfalnie wskazuje gazetę).

A zobacz, kiedy łaska, co pisze w gazecie!
Dzielny Ibrahim basza, jak wyruszy w pędzie,
Na złość podkomorzemu, Gibraltar zdobędzie.

SĘDZINA.

Lecz myśłmy o Stefanie.

SĘDZIA.

I cóż o Stefanie?

On tutaj, ani wątpić, odkosza dostanie.
A zresztą dobry zamiar — nie zawadzi proba:
Może stary spekulant chłopca upodoba.
A nawet podkomorzy, jak w czubek naleje,
Lubi czasem rozwodzić postępu ideje.
Kto to wie? jeśli dola posłuży szczęśliwa,
Może się zrozumieją, plotąc troje-dziwa.
Jutro zobaczym skutek; ja coś mało wierzę.
Lepiej skończyć gazetę i pójść na wieczerzę.

AKT DRUGI.

SCENA PIERWSZA.

STEFAN, WIEŚNIAK.

(Wieśniak stoi u progu, kręcąc swój kapelusz. Stefan chodzi po pokoju zamyślony).

STEFAN (do siebie).

Witajcie, moje piękne powietrzne pałace!
Dziś ojciec zdaje na mnie gospodarcze prace.
Niech najszcześniejszy z ludzi teraz mi zazdrości:
Jestem opiekun włości — ojciec mojej włości...
Czyż potrafię wypełnić zadanie olbrzymie,
Nosić godnie to imię, najchlubniejsze imię?
Już okiem przemierzyłem pole mego trudu,
Wiem, com czynić powinien dla dobrego ludu;
Lecz jak się wziąć do dzieła, do szczęścia gromady?
Gdzie udzielić pomocy, gdzie i jakiej rady?

Czego najgwałtowniejsza z początku potrzeba:
Czy duchowego chleba, czy ziemskiego chleba?
Czyli pierwszej nauki? czy pierwszej swobody?
Rozwiązać to zadanie mój umysł za młody.
Długo się rozmyślało, wiele się czytało,
Mam serce, ale serca tu jeszcze za mało.
Trzeba się wtajemniczyć w ich mowę, w ich życie;
A ja ludu wiejskiego nie znam całkowicie.
W niedoświadczone ręce biorę rządów wodze.
Wspieraj mię, Duchu Boży, na mej trudnej drodze!

(Wieśniak zniecierpliwiony tupie i kaszle).

STEFAN (zwracając się ku niemu).

Siadaj, pocziwy człeku; weź krzesło przy ścianie.
Czy jesteś wójtem z wioski?

WIEŚNIAK (z pokłonem).

Wójt, wielmożny panie.

STEFAN (chodzi zakłopotany, nie wiedząc, co mówić dalej).

A masz żonę i dzieci?

WIEŚNIAK.

Mam dziątek aż troje.

STEFAN.

Siadajże, weź krzeselko.

WÓJT (z pokłonem).

Ja sobie postoję.

STEFAN (do siebie).

Pokora niewolnicza, to wielka ich wada!
Lecz ze starym przesądem walczyć nie wypada:
Trzeba ich przyprowadzić stopniowo, z daleka,
Aby w sobie uznali dostojność człowieka.

(Do wieśniaka).

A jakże się nazywasz?

WIEŚNIAK.

Pasieka Bazyli.

STEFAN.

Umiesz czytać i pisać?

WIEŚNIAK.

Z rodu nie uczyli.

STEFAN.

A jakże, będąc wójtem, bez pisma być może?
Jak rachujesz podatki, roboczną, zboże?
Jak możesz zapamiętać, co czynić wypada?
Jak ci może zaufać i dwór, i gromada?
Skąd pewność przed gromadą, przed sądową władzą,
Że się wiernie wyliczysz z tego, co ci dadzą?

WIEŚNIAK.

Co te pisma, paniczu! pamięć to rzecz święta!
Człowiek chce zapamiętać, to i zapamięta.
Wierzą mi, bo się zdradą nie splamiłem żadną.
Czy to, proszę panicza, piśmienni nie kradną?
A zresztą, czego dobrze spaniętać nie mogę,
To się na prostym kiju zakarbuje nożem:
Oto mój kij, paniczu, — przypatrzeć się proszę:
To kopy, a to stopy, to złote, to grosze;
Jakoś to się wyliczam, rachunki nieduże,
Dziesięć lat, jak dworowi i sąsiadom służę.

STEFAN.

A jednak umieć czytać czyżby ci nie miło?

WIEŚNIAK.

No! toby się w kościele z książki pomodliło.
A u nas jaki pacierz? Ojciec nasz i Wierzę,
Dziesięcioro przykazań — to całe pacierze;
A jednak, gdy niedola, gdy się serce kruszy,
Człowiek zmówi co umie, to i lżej na duszy.

STEFAN.

Więc tu działwa nic a nic z książki nie korzysta?

WIEŚNIAK.

Jest, z przeproszeniem pańskim, pijak organista.
Ten, gdy czasem ochota na niego napadła,
W karczmie zimową porą uczył abecadła;
Ale to nic niewarte.

STEFAN.

Ciekawym, dlaczego?

WIEŚNIAK.

Bo dziatwa wyuczona nie słucha starszego,
Myśli, że wszyscy głupi, że wszyscy prostacy,
Czytać się nie nauczy, a odwyknie pracy.
Zresztą, dobrze zważywszy, głupstwo to czytanie:
Chłop, choćby umiał czytać, księdzem nie zostanie,
Urzędnikiem nie będzie, dziedzictwa nie kupi;
A czy jeden piśmienny, z przeproszeniem, głupi?
Rolnik niech umie orać.

STEFAN (do siebie).

Serce się rozrywa!

Jaka satyra ostra! jaka sprawiedliwa!
I sprostuj tu u ludu wypaczone drogi,
Rzuć kamień na ciemnotę lub na złe nałogi!
Straszna rzecz!

(Do wieśniaka).

No, a teraz, mój kochany wójcie,
Mówcie jak na spowiedzi — o nic się nie bójcie:
Czy dobre wasze życie? czy raczej mieć insze?
Czy lepsza dla wieśniaka pańszczyzna lub czynsze?

WIEŚNIAK.

Widzi wielmożny panicz... trzeba ruszyć głową.
Dobre i to i owo, złe i to i owo...
Czynsz, byle sprawiedliwy, to każdy go woli;
Lecz jaka sprawiedliwość na nierównej roli?
Jeden ma same piaski, drugi same gleje,
Jednemu grunt wysuszy, drugiemu zaleje,
A czynsze jednakowe. Gdyby pan poznawał
Każdy szmatek łąk naszych, każdy gruntu kawał,
Byłaby sprawiedliwość, pracują czy płacą.
Są bogaci, ubodzy, dobrzy i ładacy;
A bez dozoru wójta, pańskiej zapomogi,
Byłby jeszcze uboższym, kto dzisiaj ubogi;
Albo wieśniak leniwy, niepocziwej duszy,
Spustoszy kawał gruntu i sam w świat wyruszy.

STEFAN.

A jakaż na to rada?

WIEŚNIAK.

Na to trudna rada.

Lepiej poznać i ludzi, i grunta wypada.
 Lat dziesięć będąc wójtem, wiem, że w naszej włości
 Nie trzeba pobłażania, lecz sprawiedliwości:
 Wymagać od nas pracy, dać nam dosyć chleba,
 A gdzie warto pokarać, to i karać trzeba;
 A zresztą, przebacz panie, że wieśniak pobredzi:
 Częściej panom i chłopom chodzić do spowiedzi.

STEFAN.

Dzięki ci, dobry wójcie! teraz to już mogę
 Zrozumieć mego celu pożyteczną drogę.
 Rozpatrzę i zrozumieć z bliska i z daleka
 Każdy morg naszej ziemi, każde serce człeka;
 Gdzie przyjdzie świadczyć łaskę, wyświadczę ją szczerze,
 Gdzie idzie sprawiedliwość, ściśle ją wymierzę;
 Przyłożę bratniej ręki — a wtedy, mój bracie,
 Korzyści oświecenia i swobód poznacie,
 I odrodzi się w Bogu gromada wioskowa.

WIEŚNIAK (do siebie rozrzewniony).

Jakie to złote serce!

STEFAN (do siebie).

Jaka mądra głowa!

(Głośno).

Chcę za twoją poradą iść dalej a dalej.

(Ściska go).

WIEŚNIAK (cofa się z pokorą).

Jam nie godzien tej łaski.

SŁUŻACY (wchodząc).

Goście przyjechali.

SCENA DRUGA.

PODKOMORZY, ANNA wchodzą — potem SĘDZINA, SĘDZIA,
 STEFAN. (Wieśniak cofa się cichaczem).

SĘDZINA (wychodząc naprzeciw gości).

Jak łaskaw podkomorzy, że o nas pamięta!

PODKOMORZY (z gracją całując jej rękę).

A mości dobrodziejko! to powinność święta,
Obowiązek... powinność... prawdziwe rozkosze...

(Przedstawia Annę):

A to jest moja córka — przypomnieć ją proszę.

SĘDZINA (ściskając Annę).

O! pamiętam, pamiętam, chociaż jeszcze małą.

A jakże to urosło! jakże wyładniało!

Ci rosną, ci starzeją, to już kolej taka.

(Przedstawia Stefana):

Mój syn Stefan.

PODKOMORZY.

Pamiętam, pamiętam chłopaka.

Jak wyrósł! jak wypiękniał w naukowej pracy!

(Podczas następnego powitania Stefan i Anna podają sobie ręce i rozmawiają z cicha w głębi sceny).

SĘDZIA (wbiegając ściska podkomorzego).

Kopę lat, panie Janie!

PODKOMORZY.

Och! panie Serwacy,

Kopę lat z procentami, a może i dłużej!

SĘDZIA.

Jakże zdrowie?

PODKOMORZY.

Jak zdrowie?

SĘDZIA.

Pomalutku służy.

PODKOMORZY.

A ze mną źle, mój sędzio. Gdy cierpieć się zdarzy

Ty wiesz, że się nie pieścę, nie dbam o lekarzy;

Ale tu gorzej jeszcze: bo moja obora,

Czy uważasz, mój sędzio? na księgosusz chora.

Krowy nie dają mleka: pomału, pomału,

Na nich ginie mój prawny procent z kapitału.

Dziesięć od sta na miesiąc, czyż nie słuszna skala?

Tymczasem jedno bydlę z nóg mi się obala,

Drugie nie daje mleka, a innym na leki

Muszę jeszcze kupować lekarstwa z apteki,

Tak, że cała obora, co niemało warta,

Daje cztery procenta, lub czasem półczwarta.

SĘDZIA.

Tak... księgosusz... księgosusz... zaraza ze Wschodu.
 Lękać się gorszych rzeczy mam wiele powodu:
 Bo na wiosnę, gdy wojsko poruszać się zacznie,
 To nam dżumy, cholery naniesie nieznacznie.
 Pamiętasz, we trzydziestym...

PODKOMORZY.

A któż nie pamięta?

Lecz na cóż ten ruch wojska?

SĘDZIA.

Wojna rozpoczęła!

Nic nie wiesz... Hiszpan, Francuz i sułtan już w lidze,
 Politykę angielską, jak na dłoni, widzę;
 Włosi zburzyli Alger, — a Ibrahim basza
 Niby to nie uważa, niby nie przestrasza,
 Ale ma dobre oczy, krzywd nie zapomina;
 A Gibraltar, mospanie, to dobra zwierzyna,
 O! dobra! jej nie sposób skryć w torbę borsuczą.

(Z cicha):

A u nas incognito Persowie się włóczą;
 Spytaj żydków.

(Podaje mu gazetę).

Przeczytaj, pokombinuj zdrowo.

PODKOMORZY (niedbale przerzucając gazetę).

Och, stary zapaleńcze z przewróconą głową!
 Wojna... kto dzisiaj wojnę wypowiadać pocznie?
 Świat praktyczny: narody poznały widocznie,
 Że wojna to zabytek dawniejszego szalu,
 Procentu nie wypłaci, bierze z kapitału,
 Bierze ręce od pracy, bierze grosz z skarbony, --
 Wygrał, przegrał, a strata dla obojej strony.

SĘDZIA.

A równowaga świata?

PODKOMORZY.

Właśnie równowaga:

Każdy, myśląc o sobie, drugim dopomaga;
 A handel, a rolnictwo, a przemysł, a praca,
 Każdy kraj swój kapitał najszparciej obraca,
 A gdy obraca szybko, od sta bierze trzystą, --
 To już i kraj ościenny koniecznie skorzysta.

Braterstwo, które głoszą rozmarzone głowy,
To jest prosty, mój sędzio, interes handlowy.
Polityka w tej mierze proste ma pochopy,
By procentować wspólne siły Europy.

SĘDZIA.

Gadasz, jak znasz, sąsiedzie... handel, wielkie święto!
(Triumfalnie):
A w Marokku już porty handlowe zamknięto,
Anglik już się pokłócił z tamtym wielkorządcą,
Włosi Alger zdobyli...

PODKOMORZY.

Ach! jak tu gorąco!
Wyjdziem sobie na ganek... bo to czasu strata.
Trzeba dobrze używać choć krótkiego lata.
Tam chłodniej pod drzewami... brzydzę się upałem;
I twojej gospodarki dawno nie widziałem,
A ty wiesz, ja to lubię... to moje zadanie.
Idźmy, panie Serwacy.

SĘDZIA.

Idźmy, panie Janie!
(Kłaniają się ceremonjalnie we drzwiach i odchodzą).

PODKOMORZY.

Padam do nóg sąsiadki!

SĘDZINA.

Idźcie państwo sobie,
A ja skromny tymczasem podwieczorek zrobię.
(Odchodzi innemi drzwiami).

SCENA TRZECIA.

STEFAN i ANNA.

STEFAN.

Anno!

ANNA.

Panie Stefanie!

STEFAN.

Ja jak we śnie roję,
Sam nie mogę uwierzyć w własne szczęście moje!

Gdym sądził, że na długo z sobą się rozstaniem,
Gdy mi dom rodzicielski stawał się wygnaniem,
Kiedym nie śmiał do ciebie pisać bez twojej woli, \n
Gdym z tęsknoty po tobie usychał powoli, —
Wczora najniespodzianie powiada mi matka,
Żeś ty tutaj przybyła, żeś nasza sąsiadka,
A dzisiaj ciebie widzę, dziś z ust twoich słyszę,
Że miłe twemu sercu wioskowe zacisze.
Gdy znikła twej zmienności dręcząca obawa,
Kiedy przestałem wątpić...

ANNA.

Bo nie miałeś prawa.
Za cóż krzywdzisz niewiarą?... Stefanie, Stefanie!
Od czasu, kiedyś postrzegł moje przywiązanie,
Od czasu, kiedyś wyznał, że kochasz wzajemnie,
Czyż miałeś kiedy powód niekontent być ze mnie?
Czyż widziałeś, ażeby ktokolwiek z młodzieży
Choć chwilkę zajął serce, co tobie należy?
Powiedz...

STEFAN.

Tak... lecz odległość, ale czas niemały
Ostudza w sercu kobiet najtkliwsze zapaly.
Tyś piękna — mogłaś znaleźć wielbicieli krocie;
Tyś kobieta — więc mogłaś zmienić się w istocie.
Opuszczała mię wiara i męska odwaga.

ANNA.

Czas i przestrzeń prawdziwe przywiązanie wzmaga.
Gdyśmy razem, to czasem i fraszka oziębi,
Nie czujemy wzajemnie całej uczuć głębi,
I w kochanej istocie, choć się szczerze kocha,
Nawet i wady jakiej znajdujemy trocha.
Lecz straciwszy... straciwszy... to zaraz w rozpacz
Cały ogrom tej straty smutno się zobaczy;
A świat, niegdyś tak piękny, najmielsza zabawa,
Czemś się takim bezbarwnem takim nudnem stawa,
Że chciałoby się uciec i odwrócić oczy.
A tutaj tyle wspomnień dawniejszych otoczy,
Głowę takie bolesne porównania gniołą!
Żyło się dwojgiem życia — dziś jestem sierotą!

STEFAN.

Zawsze jedna... ta sama, szlachetna i wzniosła,
Zawsze sercem do dawnych pamiątek przyrosła...
Tęskniłaś...

ANNA.

Wy mężczyźni macie inne życie:
Wy pracą próżnię życia zająć potraficie,
To umysł zatrudniony, to ruch krzepi ciało;
A kobieta w tęsknocie zawsze jest schorzała.
Powolna ręczna praca umysłu nie trudzi;
Chcę się książką rozmarzyć, i tam spotkam ludzi,
Jednych nudnych, jak żywi egoiści drobni,
Drudzy zda się, że do nas z zapału podobni,
Ale oni szczęśliwi, oni byli razem, —
I znowu własnych wspomnień ludzim się obrazem.
Książka nam targa serce, ale nie nasycza.
Szczęśliwsza wasza praca myśl urozmaica.
Pracowałeś, Stefanie?

STEFAN.

O, tu pracy wiele!
Tu mam możność rozwinać moje wyższe cele.
Ojciec oddał mi rządy, rządy starej daty:
Wieśniak ubogi duchem, choć dosyć bogaty;
Domy ich opuszczone, stodoły bez dachu,
Przywykł nędzarz do dawnej groźby i postrachu;
Odurzony, nie czuje, gdy ma kawał chleba,
Że może wyjść z niedoli, że wyjść z niej potrzeba.

ANNA.

Tak u nas prawie wszędzie... biedny stan nędzarza.

STEFAN.

A co mnie bardziej jeszcze smuci, upokarza.
Że muszę tylko zwolna ład wyniszczać stary.
Tu potrzeba zachęty, potrzeba ofiary,
Groszem, dobrym przykładem trzymać ich na wodzy:
A my nie mamy grosza, my bardzo ubodzy,
Interesa zwiłkane dźwigać się nie mogą,
Serce każe iść inną, prawo inną drogą;
A ja tak mało umiem, bo tylko z idei,
I potrzeb mego ludu i prawych kolei.

ANNA.

Biedny, biedny Stefanie, jak ci tu mozolnie!
Przyjeżdżaj często, często! radzić będziem wspólnie:
Dwie głowy i dwa serca, gdy się w radę złożą,
Może coś obmyślimy za pomocą Bożą;
A przynajmniej na sercu będzie nam weselej,
Kiedy się każda przykrość na dwoje rozdzieli.

STEFAN (biorąc jej rękę).

O! tegom się spodziewał po twojej pięknej duszy.
Czuję dziś, że dłoń moja i skały pokruszy.
Wezmę z twego natchnienia czyny niezachwiane,
I ojcu, i ludowi pomocnym się stanę.
Natchnienia mi potrzeba — tyś natchnieniem mojem.

GŁOS PODKOMORZEGO (za sceną).

Mówisz sędzio za wojną, a ja za pokojem.

GŁOS SĘDZIEGO.

Wojna, koniecznie wojna wybuchnie na lato.

GŁOS PODKOMORZEGO.

Procent od sta tysięcy wyliczyłbym za to;
Ale wojny nie będzie: godzą się narody,
Światu potrzeba handlu, a handlowi zgody,
A koleje żelazne...

GŁOS SĘDZIEGO.

A w Algerze klęski.

GŁOS PODKOMORZEGO.

A okręty parowe...

GŁOS SĘDZIEGO.

A traktat wiedeński!
(Wchodzą zaperzeni).

SCENA CZWARTA.

C12, oraz PODKOMORZY i SĘDZIA.

PODKOMORZY.

A przymierze handlowe!

SĘDZIA.

Cóż Kurjer ogłasza?

PODKOMORZY.

Anglicy cła już znieśli!

SĘDZIA.

A Ibrahim basza?

PODKOMORZY.

A na giełdzie paryskiej procent się podnosi
Wskutek wieści z Algeru...

SĘDZIA (z gniewem).

Bo w Algerze Włosi!

PODKOMORZY (z gniewem).

Bałamuctwo!

SĘDZIA.

Nieprawda, nieprawda, albowiem. . .

PODKOMORZY.

Ja za niegrzeczne słowa z procentem odpowiem.
Nieprawda! . . . kłamstw żydowskich nie noszę w zapasie.

SĘDZIA.

Lecz nie znasz się na rzeczy.

PODKOMORZY.

A jegomość zna się!

SĘDZIA (ukazując podkomorzego).

Głęboki mi polityk!

PODKOMORZY (ukazując sędziego).

Uczeń Metternicha!

SCENA PIĄTA.

CIZ I SĘDZINA (za nią wnoszą podwieczorek).

SĘDZINA.

Panowie! zamiast wojny lepsza zroda cicha.
A czy się ludzie kochać. czy bić będą srodze,
Nie zawadzi malutka przekąska po drodze.

PODKOMORZY (opamiętywa się).

Sąsiadko dobrodziejko, o! to tylko żarty;
Ależ mężulek pani, jak kozieł uparty,
Chce koniecznie wojować.

SĘDZIA (opamiętywa się).

Chcę prawdy i kwita.

PODKOMORZY.

Prawdę znajdziem w kielichu... przednia okowita!
Naley waszmość i przepij... to gawęda pusta.

SĘDZIA (nalewa i przepija z uśmiechem).

W nieomyłne ręczęta!

PODKOMORZY (z ukłonem).

W niezawodne usta!

(Pije).

(Do Stefana, zając):

Bardzo, bardzo winszuję, panie kawalerze!
Wybornie procentuje, kto tak rzeczy bierze.
Niedawno gospodarzysz na ojcowskim dworze,
A już się znacznych odmian nie widzieć nie może.
Dachy ponaprawiane, które dawniej cieką,
Uprawa waszych gruntów dziś lepsza daleko.
Pracuj na swoim gruncie, pracuj na swej strzesie,
A ziemia niezawodny procent ci przyniesie.
Prawda, że nie tak prędko kwiat wyda nasiona:
Fortuna wcale dobra, ale opuszczona,
Bo mój szanowny sąsiad, niech mi rzec pozwoli,
Dobry do bitwy z Turkiem, ale zły do roli.
Lecz dopomagać ojcu obowiązkiem świętym —
Młodość jest kapitałem, a czyn jest procentem...
Wasz Stefan z moją Anną znajomi od dawna.
Wczoraj mi powiedziała.

SĘDZINA.

Wczoraj nam powiedział.

PODKOMORZY.

Jak to zbiegną się ludzie, mimo miejsca przedział!...
Ale wiecie co, dzieci? tracić czasu szkoda:
Na dworze taka jasna i piękna pogoda,

Wy pewno coś powiedzieć sobie mieć musicie
O dawniejszych znajomych, o wspólnym pobycie,
Przejdźcie się po ogrodzie — a my tutaj starzy;
U nas o innych rzeczach zwyczajnie się gwarzy,
Mam ja tu z panem sędzią interesa duże.

ANNA.

Dobrze, ojcze, pójdziemy.

STEFAN.

Chętnie pani służę.
(Odchodzi).

SCENA SZÓSTA.

SĘDZINA, SĘDZIA i PODKOMORZY.

PODKOMORZY (wstaje i zamyka drzwi tajemniczo).

Sąsiedzi dobrodzieje! zdziwicie się może,
Gdy wam niespodziewanie myśl moją otworzę;
U mnie tak: co się myśli, mówi się i czyni.
Bo myśl niedokonana, to martwy grosz w skrzyni,
Kapitał bez procentu, dobra bez intraty,
Co chwila narażone na zupełne straty.
Więc prosto i do rzeczy... Wszak prawda, sąsiedzie,
Że ci się w Pustopolu nieszczególnie wiedzie?

SĘDZIA.

Ej, prawda!... lecz cóż dalej?

PODKOMORZY.

Grunt i dobry może,
Lecz strasznie zapuszczony, nie rodziło zboże.

SĘDZIA.

Tak, nie rodziło zboże — to mi każdy przyzna;
Lecz wiosną będzie wojna, a w wojnie drożyzna.

PODKOMORZY.

Co tam wojna czy pokój! myśl, jak się podoba,
Ale starość nie radość — czujemy to oba.

SĘDZIA.

Smutna prawda... lecz starość idzie swoją drogą.

PODKOMORZY.

A jużci na fortunie i dłużki być mogą?

SĘDZIA (obrażony).

Proszę się nie frasować.

PODKOMORZY.

Nie udawaj zucha!

A żyd ciebie okrada, chłop ciebie nie słucha;

Żle, bracie... krucha sprawa... zaginięcie w nędzy.

SĘDZIA.

Mam syna, niech pracuje...

PODKOMORZY.

Potrzeba pieniędzy,

Potrzeba doświadczenia, w działaniu swobody,

A bez tego wszystkiego zmarnuje się młody.

Zostawisz mu fortunę — nie gniewaj się, proszę —

Co będzie jedno z drugim niewarte trzy grosze.

Szkoda czasu, młodości... Widziałem, widziałem:

Onby sobie dał radę z jakim kapitałem,

Włość go poczęła kochać. a to wiele znaczy,

Inszy wiek, dziś i z chłopem trzeba być inaczej.

Ja sam do filantropów wielkich nie należę,

A jednak pielęgnuję te idee świeże,

Mój poddany mię kocha — mądrość niedaleka:

Daj krówce więcej siana, będzie więcej mleka.

Nasz chłop, to jest kapitał, procent — jego praca;

Niechże mi się największym procentem wypłaca.

Tu wszystkie środki dobre — niech świat co chce głosi:

Chłop chce wódki — daj wódki, to za trzech ci skosi:

Żyd nie w tem zły, że chłopą rozpaja, jak zwierzę,

Ale że nasze zyski sam do siebie bierze.

Na co ma naszą własność ujarzmiąć pomału?

Ja nie mam żyda w karczmie, bo nie chcę podziału.

SĘDZIA.

Tak... trochę masz słuszności; lecz dokąd to wiedzie?

Prawda, żem zubożony...

PODKOMORZY.

Czekaj, mój sąsiedzie!

Nie trzeba załamywać rak bardzo żałośnie.

Twój kapitał niszczeje, ale procent rośnie:

Masz syna, co pracować i chciałby, i może,
Masz wioskę, kawał lasu i niezgorsze zboże,
Masz więc przyszłość przed sobą — to już znaczy wiele;
Tylko nie masz pieniędzy... ja ci ich udzielię.

SĘDZIA (zrywa się radośnie).

Ty dałbyś nam pieniędzy?... panie podkomorzy!

PODKOMORZY.

Nie daję bez procentu — procent się ułoży.
Zyskać na każdej rzeczy to moje systema;
Zysk moralny, pieniężny — tu różnicy niema.
A gdybym własnych zysków nie miał na uwadze,
Pewniebym nie poradził, co teraz wam radzę,
Jestem stary — a syna nie dały mi nieba;
Mam jeszcze bystre oko, lecz mi ręki trzeba.
Gospodarstwo upada, co rok procent znika...
Och! trzeba mi koniecznie, trzeba pomocnika.
Wasz syn Stefan, to chłopak z rozumem, z zapalem;
Takiego właśnie dostać pomocnika chciałem,
Co to ręce młodzieńcze, dusza nieskażona,
Co ja głową pomyślę, on czynem wykona.
Lecz cóż? kiedy mu powiem: Mój panie Stefanie,
Dam ci stół i usługę, światło i mieszkanie,
Dam ci rocznej zapłaty na tyle i tyle, —
To pewno, że w rachubach moich się pomyślę.
On powie: Mnie to na co? i wzgardzi ofiarą;
Ja mam starego ojca, ja mam matkę starą...

(Kłania się sędzinie).

Przepraszam cię, sąsiadko... Lecz niechaj pamięta,
Że w kapitale życia wzrastają procenta.
Kobiety zawsze młode i zawsze są hoże;
Lecz Stefan mnie na przekor powiedzieć tak może.
A zresztą miałyby słusność: poco drugim służyć?
Lepiej w domu swej pracy i zapалу użyć,
Lepiej na własnej miedzy choćby tracić siły,
Niżli jeść chleb służebny, nikomu niemiły.
A zresztą, gdyby moje i podzielił zdania,
To... możeby...

(Zakłopotany).

korzystał z mego zaufania.

SĘDZIA.

Co! onby cię okradał?!

PODKOMORZY.

Ale mówmy szczerze:
Wszyscy jesteśmy ludzie — sam sobie nie wierzę.
Zresztą, drodzy sąsiedzi, po długiej rozwadze,
Widzę, że ze Stefanem już nic nie poradzę...
Wtem, patrzcie co za radość! jak mi było słodko!
Wraca Anna, co w mieście bawiła się z ciotką,
Mówi o swych znajomych, i jakoś niechcąca
Imię syna waszego przypadkiem natrąca.
Panienska pokraśniała — na razie-m ją schwytał.
Nie wiem, czy to jest procent, czy to jest kapitał,
Ale coś jest... z gawędy dośledziłem trocha,
Że już się nasza dziatwa nie na żarty kocha.
Kapitał! myślę sobie... chwytajmy co prędzej!
Mnie trzeba pomocnika, sędziemu pieniędzy,
Skombinujęm te rzeczy; więc tutaj dziś jadę.
Widzę, chłopak, jak może, daje sobie radę,
Dwór naprawił, grunt usiał, dał rów aż do lasu,
Coś za wojną turecką dojrzeć nie miał czasu;
Włóść do siebie przywiązał — to chwałę, to chwałę;
A cóż gdyby na większą gospodarzył skalę?
Rzucił myśli postępu, co w głowie się roją?
Gdyby moją fortunę uważał za swoją?
To i zdoła pomnożyć mój dochód ubogi,
I fortunę ojcowską postawi na nogi.
Trzeba tylko dać czasu rok, drugi, czy trzeci...
Wiesz co, panie Serwacy? — żeśmy nasze dzieci.

SĘDZIA i SĘDZINA.

Co mówisz, podkomorzy?

PODKOMORZY.

Sprocentują skoro;
A tam po naszej śmierci niech wszystko zabiorą.
Lecz dopókiśmy żywi, dopókiśmy zdrowi,
Z rąk niech patrzą. bo wszystko przehulać gotowi.
(Do sędziego):
Cóż? zgoda?... Nie poglądaj taką długą twarzą.

SĘDZIA (zakłopotany).

A jak wojna na wiosnę — do wojska pójść każą.

PODKOMORZY.

Znów wojna! wszak mówiłem: dziś być niepowinna.

SĘDZINA.

A jeżeli ich miłość, to tylko dziecinna?

PODKOMORZY.

Ech! co tam psuć interes chwilową gawędą!
Jak my rodzice każem, to kochać się będą.
Tu zobopólna korzyść, tu spółka handlowa:
Jego młodość i ręce, a mój grosz i głowa.
Pókim żyw, nic mu nie dam — ma sam kawał chleba,
Lubię grosz, i mnie grosza na obrót potrzeba,
Tylko mu coś pożyczę, choćby z serca bolem, —
Naturalnie, zaręczysz twojem Pustopolem;
Procent wypłaci z góry, — jak zajmie się szczerze,
Sam z wioski ulepszonej procenta wybierze.
A po śmierci, gdy wszystko odziedziczy w spadku,
Będzie miał dwa majątki i żonę w dodatku.
Cóż, mój sędzio, czy zgoda? Dobijmy rzecz naszą,
A potem sobie wojuj z Ibrahimem baszą.

SĘDZINA (z czułością).

Szanowny podkomorzy, patrz, to łzy pociechy.
Przyjeżdżasz świadczyć łaskę do ubogiej strzechy,
Oddajesz Stefanowi ukochane dziecię,
Rozszerzasz jego pole działania na świecie.
Lecz serca się nie wążą na handlowej szali, —
Kto wie, czy się doprawdy oni pokochali?
Może to urojenie, może nam się zdaje:
Trzeba przeznać ich serca, skłonności, zwyczaje.
Jeśli oni, szanując nasze lata stare,
Zechcą spełnić życzenia tylko przez ofiarę
I dla naszych urojeń zatruć przyszłą dolę, —
Czyńcie sobie, co chcecie, a ja nie pozwolę,
I pomimo warunki sąsiada korzystne,
Raczej prostą wieśniaczkę, jak córkę, uścisknę.

PODKOMORZY.

Sąsiadko dobrodziejko! więc jakaż tu rada?

SĘDZINA.

Nic nie mówić, a śledzić ich serca wypada.
Wszakże to niedaleko, kochany sąsiedzie:
To wy tu przyjedziecie. to on tam przyjedzie;
Przypatrz się, oceni jedna strona drugą,
Trzeba nieco poczekać.

PODKOMORZY.

Byleby niedługo;

Szkoda czasu na zwłoki — bo czas, to rzecz święta:
Praca, młodość i miłość niech dają procenta.

(Do sędziego):

No Sędzio, cóż powiadasz o naszym zamiarze?

SĘDZIA.

To rzecz dyplomatyczna — ściślej ją rozważę.
Po najlepszych traktatach zwykła bywać sprzeczka;
Ot na przykład...

(Słychać pukanie do drzwi).

A kto tam?

(Otwiera).

SCENA SIÓDMA.

CIŻ, STEFAN z listem i ANNA.

SĘDZIA.

Posłaniec z miasteczka?

Są gazety?

STEFAN.

Nie przywiózł.

SĘDZIA.

To skaranie Boże!

Anglicy dotąd weszli na Czerwone morze,
Włoskie działa już pewno grzmocą na Saharze,
A redaktor gazety miesiąc czekać każe.
Dowiedzieć się aż w miesiąc — piękna mi nowina!

STEFAN.

Ale pan Kałamarski prosi i zaklina,
Abyś, ojcze, przyjeżdżał w jak najprędszym czasie.

SĘDZIA (zmieszany, do siebie).

Zła sprawa!... dług bankowy... jakoś zrobić da się.

(Do Stefana):

Odpisz mu, że przyjadę...

(Do siebie):

Hm!... sprawa niemiła...

(Do Stefana):

A zapytaj, dlaczego gazet nie przysyła?

PODKOMORZY.

Kiedyż jedziesz?

SĘDZIA.

Pojutrze.

PODKOMORZY.

A i ja tam będę.

Pamiętaj, odnowimy dzisiejszą gawędę.

Teraz żegnam, sąsiadów! niedłgie rozstanie.

Bądź zdrów, panie Serwacy!

SĘDZIA.

Bądź zdrów, panie Janie.

AKT TRZECI.

Wnętrze oberży w miasteczku; drzwi na prawo i na lewo oznaczone numerami.
W głębi gospodarz woła w okno za kulisę.

SCENA PIERWSZA.

GOSPODARZ, potem PODKOMORZY, ANNA i SŁUŻĄCY.

GOSPODARZ.

Proszę jasnego pana, niech pan tu zajędzie:

Jest piwo, owies, siano, obwarzanki, śledzie,

Cukier, kawa, herbata, jest mleko, są sery.

W całym mieście pan takiej nie znajdziesz kwatery,

Proszę jasnego pana!

(Wybiega i wprowadza podkomorzego i Annę, za nimi wnoszą paki podróżne).

PODKOMORZY.

Pewnie wszystko drogo.

(Idzie do drzwi na prawo).

GOSPODARZ.

Nie, ten numer zajęty. Tu nie masz nikogo.

(Wskazuje na lewo):

Tu stanął z Pustopola pan sędzia Nowina.

Daj Boże jemu zdrowie — nas nie zapomina.

Bo zawsze tu zajeżdża każdy pan wielmożny,

Pan marszałek, pan prezes, pan deputat drożny,

Pan Kociuba, podsędek z Wysokiego Siola...

PODKOMORZY.

A jestże w domu sędzia?

GOSPODARZ.

Wyszedł do kościoła;
Jest tylko syn sędziego, co się Stefan zowie, —
Jaki to dobry panicz! daj mu Boże zdrowie!

(Do służącego):

Ot tutaj, mój kochany, ot tu paki wnoście.
Trochę nie zamieciono — wyjechali goście —
Ale to nic... ot tutaj.

PODKOMORZY (patrzy na zegarek).

Godzina dwunasta.

Rozgość się, moja Anno, ja idę do miasta.
Pilnuję pana Szmula — zguba na człowieka!
Kapitału nie płaci i procenta zwleka.

(Wychodzi przez głab sceny. Anna, za nią służący idą do drzwi na prawo).

GOSPODARZ (do siebie).

Dwóch ludzi, cztery konie... o! to nie hołota!
Lubię, gdy takie państwo zajeżdża przed wrota:
Można coś utargować, liczyć na intratę,
Za owies, siano, mleko, cukier i herbatę.
Tylko, że ten pan Leszczyc skapy nadzwyczajnie:
Ma rozum... Pójdę teraz pokazać mu stajnie.
(Odchodzi).

SCENA DRUGA.

STEFAN, ANNA (wbiegają każde z przeciwnych drzwi).

STEFAN (z radością).

Czy wiesz?

ANNA.

Czy wiesz Stefanie? niespodzianka miła:
Powiadał mi mój ojciec...

STEFAN.

Mnie matka mówiła.

ANNA.

Lecz cicho...

STEFAN.

Pod sekretem.

ANNA.

Niby to nie wiemy...

STEFAN.

Oni chcą nas połączyć... dla jakiejś systemy,
Dla jakichś tam widoków...

ANNA.

Kłękam przed rozkazem.
To najlepsze systema, że będziemy razem.
Cieszysz się?

STEFAN.

A ty, Anno?

ANNA.

Czyż pytać potrzeba?
Nie śmiałam nawet o to modlić się do nieba,
Nie śmiałam się spodziewać, by rodzice starzy,
Aby ojciec, co ciągle o majątku marzy,
Zechciał zmienić o tobie swe zdanie surowe...
A widzisz, co to znaczy mieć serce i głowę,
Takie, jak ty posiadasz — to każdego wzruszy.

STEFAN.

Dlatego, że twój piękny podobał się duszy,
To myślisz, że mój widok wszystkich już pokona?
Mam serce, sam to czuję — lecz głowa szalona,
Przed chwilą mi krążyła od licznych kłopotów,
Teraz od zbytku szczęścia umierałbym gotów.
Chwieje się słaba głowa przy każdej odmianie,
Krew mi do niej uderza...

ANNA.

To źle, mój Stefanie!
Na nowym stanowisku trzeba krew mieć chłodną,
Serce wolne od wzruszeń, a głowę swobodną,
Nie wpadać w uniesienia, te zawsze dziwaczne...
Słuchaj!... jak będę twoją, to zrzędzić ci zacznę.
Siadaj! zagraj przede mną twoich reform rolę.
Dziś twój ojciec na ciebie spuścił Pustopole,
A wkrótce... wraz po ślubie... naszych Zajezerzy
Mój ojciec pełnomocny zarząd ci powierzy.
Będziesz u nas najpierwszą parafjalną głową,
Stefana jasnym panem w miasteczku nazową;
To mnie cieszy, to w uchu jakoś brzęczy ładnie, —
A tytuł jasnej pani wszak i na mnie spadnie.
Więc od czego poczynasz twoją jasną władzę?

STEFAN.

Najprzód po wszystkich wioskach szkoły zaprowadzę;
Bo młodzież, która nowych czasów się doczeka,
Co ze stanu niewoli ma przejść na człowieka,
Więcej powinna umieć.

ANNA.

To dobrze, a potem?

STEFAN.

Pocznę szczerzej pracować nad ich sercem złotem,
Wytępiać złe nałogi, nie przez groźbę kary,
Ale drogą miłości, ufności i wiary;
Tak — wiary, droga Anno, bo lud u nas wierzy.

ANNA.

A mnie pozwól, bym działawę uczyła pacierzy.
Sprowadzę im obrazki, zbiorę me słuchacze,
I każdego obrazka treść im wytłumaczę;
Czytać im będę książki, dla ludu pisane,
Naszemu organiście pomocną się stanę...
Cóż potem?

STEFAN.

O! szerokie, szerokie me plany.
Twój ojciec, przemysłowym zabiegom oddany,
Kapitały i procent dopatrując wszędzie,
Ma kmiotka nie za człeka, ale za narzędzie.
I mój ojciec tak samo, choć ceni człowieka,
Na oświatę ludową straszliwie narzeka.
Słuchaj, aż ci bolesno! mówią jak bluźnierce;
Lecz myślisz, droga Anno, że to przez złe serce?
Nie... lecz drobiazgowemi zajęci rachuby,
Moralnej i pieniężnej lękają się zguby;
Nie widzą, że chłop większe przyniesie im plony,
Gdy będzie z niewolnika sąsiad oświecony.

(Podczas tej rozmowy wchodzi sędzia i podkomorzy. Podkomorzy wskazuje ze śmiechem zadowolenia młodą parę, daje znak sędziemu, i obaj się rozchodzą, każdy do swej izby).

ANNA.

A jakże ich przekonasz? jak walczyć z narowem?

STEFAN.

Powoli a nieznacznie, przykładem i słowem.
Tylko przez wolną pracę w całej Europie
Stało dziś rolnictwo na olbrzymiej stopie;
Tylko z użyciem machin i tylko z oświatą
Można dziś niwę naszą uczynić bogatą:
Ulżywszy rękom ludzkim przez nowe narzędzie,
Do innych prac ziemiańskich więcej rąk przybędzie;
Gdy osuszą się bagna, ulepszą pastwiska,
To na skarbie wioskowym — na trzodzie się zyska.
Wół, towarzysz rolnika, koń, jego ozdoba,
Co dziś zniedołężniały, pokarały oba,
Przy większej troskliwości, przy obfitszej paszy,
Trzykroć większe ciężary dźwignąć się nie straszy.
Lecz niewolnik w pustyni, w pocie swego czoła,
Potrzeby tej odmiany i uczuć nie zdoła.
Pan jego, a on trzody swojej nie oszczędza, —
Tak idzie w pokolenia ciemnota i nędza.

ANNA.

Jakże temu zaradzisz?

STEFAN.

Chcąc życie dać insze,
Opiszę kilku włościan w przyzwoite czynsze,
Nie dam im zapomogi, lecz tylko swobodę,
I młodszych moich braci za rękę powiodę.
Wszczepię w serca moralność czytać ich wyuczę,
Prawdziwego postępu do ręki dam klucze.
Gdy będą oświeceni, gdy będą bogaci,
Gdy pan to na nich zyska, co na innych traci,
Ukażę porównanie — niech sam ojciec przyzna:
Czy lepsza wolna praca, czy lepsza pańszczyzna?

ANNA.

O! jakże się ja wtedy szczęśliwą nazowę,
Gdy złożysz na me ramię spracowaną głowę,
Będiesz mi opowiadał każdy zamiar skryty,
Każdą myśl, co ci przyjdzie. każdy trud przebyty...

STEFAN (kładzie głowę na jej ramieniu i mówi dalej).
Każdą troskę, co spotkam, pełnić me zadanie,
A która wtedy dla mnie troska być przestanie,
I znów opromienięją moje wielkie cele.

SCENA TRZECIA.

C I Ż, SĘDZIA (wybiega ze swej izby z gazetą w ręku), potem
PODKOMORZY.

SĘDZIA.

Ratuj mię, panie Janie, bo w łeb sobie strzelę!
(Stefan i Anna cofają się przerażeni).

ANNA.

Co panu?

STEFAN.

Co ci ojczcze?

SĘDZIA.

Panie podkomorzy!

PODKOMORZY (wybiega od siebie).

Co tam?

SĘDZIA.

Na, weź, przeczytaj, to cios na mnie Boży,
Nagły, niespodziewany... Czytam Kurjera,
Wszystko dobrze... widocznie na wojnę się zbiera:
Don Karlos w tarapatach — tylko mnie kłopotą,
Że król Filip ministrem mianował Guizot'a;
Pamiętam w przeszłym roku krok jego zuchwalczy,
Lecz to fałsz, myślę sobie — Anglja go zwalczy.
Dalej... dwa włoskie statki skołatała burza,
Jeden już miał się nurzać, drugi się zanurza,
I wszystkoby zginęło na podwodnej skale,
Gdyby Turczyn pomocy nie dał im wspaniale.
Ho, ho, ho! myślę sobie — to już każdy widzi,
Że się Turcy z Włochami trzymają, jak żydzi.
Znamy te allegorje, — my nie małe dziatki!
Więc skończyłem gazetę, a czytam dodatki.
Nic ważnego... podrady, sprzedaże, ukazy...
Aż tu na końcu czytam... czytam po dwa razy,
Przecieram sobie oczy — wzrok mię nie omyła.

(Czyta):

Ogłoszenie rządowe. Czwartego Apryla,
Na mocy polecenia z tej a z tej tam daty,
Będzie się wyprzedawał wskutek niewypłaty,
Za dług banku, podatek, za peny, za winy,
Majątek Pustopole sędziego Nowiny.

Masz... czytaj, gdy nie wierzysz... O święty Serwacy!
Gdyby Indje Wschodnie wzięli Austriacy,
Takbym się nie zadziwił!... intrygi widoczne...
I co ja teraz pocznę?... co ja teraz pocznę?!

PODKOMORZY (zimno).

Cóż to do mnie należy?... Dług to jest rzecz święta.
Skarb musi mieć kapitał i swoje procenta.
A czemuż nie płaciłeś?...

SĘDZIA.

Ha! bo trudne czasy!
Licząc, że będzie wojna, chowałem zapasy,
Te później kupił Szłoma... kupił za część czwartą.

PODKOMORZY.

Bankrut... bankrut widoczny... mówić z nim niewarto.
Zadłużyć się skarbowi! nie zapłacić raty!
A jakież masz sposoby wybrnąć z tarapaty?

SĘDZIA.

Liczę na twoją pomoc...

PODKOMORZY.

Wyliczenie głupie!
Ja lepiej Pustopole sam dla siebie kupię,
Zalicytuję z młotka, nawet taniej może,
Kiedy dziesięć procentów na forszę wyłożę.
Choć to wprowadzie lichota — cała w bagnach leży.
Ale będzie przyległa do mych Zajeziery.
Zakończy się przynajmniej spór, co nie ustawał,
O ten tam kawał łąki, o ten gruntu kawał.
Biegnę, lecę do miasta...

(Chce odchodzić).

SĘDZIA (zatrzymując go).

Sam wskazałeś drogę.

(Ukazuje nieznacznie Stefana i Annę).

Miałeś swoje projekta.

PODKOMORZY.

Nie mogę... nie mogę...

Dać córkę, dać majątek! proszę uniżenie!
Ja nigdy na niepewne pewnego nie zmienię.
Pustopole nie wasze! — w interesach zmiana;
A zresztą — moja córka nie kocha Stefana.

ANNA (podchodzi ku niemu).

Kocham go, drogi ojcze! Cios, co na nich spada,
Ja całym mojem życiem odwróciłbym rada.
Dopomóż... oni słącą, wdzięczni ci bez granic.
Ale i moje szczęście czyż uważasz za nic?
Czyż mię wtrącisz do grobu, gdy mi szczęście świta?
Ratuj ich!...

PODKOMORZY.

Lecz nie mogę, nie mogę i kwita!
Twoje szczęście... jak każę, to zapomnisz o niem.
Jeszcze ludzie powiedzą że to my ich gonim.
Nie lękaj się — przeszkodą nie bądź w interesie,
Kapitał twego serca procenta przyniesie.
Jest marszałkowicz Trębosz, jest syn Paliwody,
Jest podsędek Kociuba, choć nie bardzo młody,
Jest Alfred, co w Paryżu leczy się tyzanną, —
Nie bój się, moja córko, nie zostaniesz panną.
Wszakże wiesz, ja nie byłem za stadłem bogatem,
Stefan z głową czynniejszy, intratniejszy zatem,
Ja mu nic nie zaprzeczam — lecz dziś zmienne role:
Ja dziś mogę za bezcen kupić Pustopole.
Dług ich pewno nie wielki, ale go nie słącą,
Wszak sami powiadają, że nie mają za co.
Sędzio! waszego długu, a wieleż tam, wiele?

SĘDZIA.

Cztery tysiące... złotych.

PODKOMORZY.

To są bagatele,
Tyle słącę do skarbu a przez forsy drogę,
Pustopole za bezcen zlicytować mogę.

ANNA.

Cztery tysiące złotych... więc w tak małej cenie
Leży cały ratunek, całe ocalenie!
A ty, ojcze się wahasz dźwignąć ich z rozpacz?
Wszak to fraszka dla ciebie, prawie nic nie znaczy,
Dla nich jest ocaleniem... zostanie ci dłużny.
Ja cię błagam!...

(Klęka).

STEFAN.

Nie, Anno, nie chcemy jałmużny.
Mogliśmy się odwołać do uczuć sąsiada,
Odmówił nam, jałmużny żebrać nie wypada.
Nie poniży nas nędza, jak nie olśnią blaski,
Nie prosimy o łaskę i nie przyjmiam łaski.

SCENA CZWARTA.

CIŻ i SĘDZINA (wchodzi nagle).

Wiem wszystko... dziś my biedni, niepodobna rada.
Lecz dzięki ci, mój synu, twój duch nie upada;
Z mocą ducha, wszystkiemu zaradzimy snadnie.
Po sprzedaży majątku reszta nam wypadnie,
Z tą resztą damy radę, weźmiemy dzierżawę,
Pójdziem na cudzym gruncie znosić prace krwawe,
Nie zginiemy, choć w dalsze przeniesiem się strony.

SĘDZIA (z rozrzewnieniem).

Opuszczę wiejski kościół, gdzie byłem ochrzczony.
Porzucę wiejski cmentarz, ach! cmentarz nieświeży,
Gdzie mój pradziad, gdzie dziad mój, gdzie mój ojciec
Gdzie ja sam miałem leżeć: rzucę dach mej chaty, [leży,
Który sam zbudowałem przed trzydziestu laty,
Grusze, które szczepiłem, i stare jabłonie...
Lecz, panie podkomorzy, tobie się nie skłonię,
Nie poproszę o pieniądze, bez ciebie przeżyjem.
Bierz sobie Pustopole, a ja pójde z kijem.

PODKOMORZY.

Sąsiadko dobrodziejko! kochany sąsiedzie!
Żal mi was całem sercem, że jesteście w biedzie;
Lecz ponieważ stałego nic niema na świecie,
I wy przy waszej wiosce zostać nie możecie.
Czyż wasze dobre serca gniewać się powinny,
Że ja kupię Pustopól raczej, niż kto inny?
Wszak ja wam nie wchodziłem i nie wchodzę w drogę,
Ale służyć pieniędzmi — dalipan nie mogę,
Nie mam; — miałem grosz jakiś, wyznaję wam święcie,
Ale to z każdym rokiem ginie na procencie,

Żaden mi nie oddaje, który się zadłuża.
Cztery tysiące złotych — ho! to suma duża.
Pożycz gdzie — zalicytuj, wszakże, według prawa,
Ty, sędzio, masz pierwszeństwo.

SĘDZIA.

Sąsiad się naigrawa...
Któż mi dzisiaj pożycz, gdy gruchnęło wszędzie,
Że fortunę mych przodków sprzedają w urządzie,
Żem nie spełnił, co święty obowiązek wkłada,
Żem nie oddał synowi, com wziął od pradziada?

STEFAN.

Pracy mi nie zabraknie na społecznej niwie,
I sędziwych rodziców mym trudem przeżywię.
Tak... weźmiemy dzierżawę, pójdziem w obce strony,
Jest Bóg w niebie...

SCENA PIĄTA.

CIZ, oraz WÓJT i kilku WIEŚNIAKÓW z Pustopola.

WÓJT.

Niech będzie Jezus pochwalony!

SĘDZIA.

Na wieki wieków Amen... A czego wy chcecie?

WÓJT (zakłopotany).

Tak widzi pan wielmożny... różnie bywa w świecie...
Szczęścia... jak mówią ludzie... nie związać powrozem:
Dzisiaj człowiek na wozie, a jutro pod wozem.
Nikt na świecie nie zgadnie, jakie sądy Boże,
A nieszczęście każdemu przytrafić się może.

SĘDZIA.

Do czegoż ta przedmowa?

WÓJT.

Widzi pan wielmożny,
Chciałbym się o coś spytać... ale jestem trwożny,
Może pan się zagniewa, że się pytam o to...
Może ludzkie języki nie wiedzieć co plotą.

SĘDZIA.

Cóż przecie?...

WOJT.

Otoż mówią, z przeproszeniem pana,
Że nasza podatkowa rata nie oddana,
Cośmy ją panu wnieśli z wiosny na początku,
Że jakiś dług bankowy ciąży na majątku,
Że... niech się pan nie gniewa...

(Do drugiego):

No, kończże, sąsiedzie!

DRUGI WIEŚNIAK.

Że majątek sprzedadzą... a pan stąd odjedzie.

SĘDZIA (z boleścią do obecnych).

Już i im moja smutna niedola wiadoma!

(Do włośniaków):

Któż wam o tem powiadał?

WIEŚNIACY.

Powiadał nam Szloma;

On to nas zawiadomił, powróciwszy z miasta,
I wiele tego długu, i za co narasta.

SĘDZIA (z boleścią).

Tak, prawda, moje dzieci! Te lata, złe lata,
Ciężła mi na głowie niejedna wypłata,
Więc wziąłem wasz podatek, karmię się nadzieją,
Że wiosną będzie wojna, zboża podrożeją,
A zboża było mało, nie rodziło pole,
Sami wiecie, że pustka...

WIEŚNIACY.

Ej, pustka w stodole!

SĘDZIA.

Przeszedł termin podatków, rośnie sztraf po sztrafie,
Widzę dobrze, że z biedy wybrnąć nie potrafię;
Chciałem gdzieś grosz pożyczyć, odmówiono wszędzie;
Może wy się lękacie, że wam co ubędzie,
Że wam znów przyjdzie płacić? Nie, was nic nie spotka.
Majątek mój sprzedadzą z publicznego młotka,
Pójdę z torbą i kijem, — ma stać, niech się stanie.

WÓJT.

Czyż do tego już przyszło? — Oj, panie nasz, panie,
Wszakże to w naszym dworze wy z wieków ci sami,
Dziady nasze mieszkaly pod twymi dziadami,
Ojce pod twoim ojcem — niech mu niebo świeci!
My pod tobą pracujęm, a dla naszych dzieci
Miał panicz być pociechą... O, to zacna dusza!
Szkółkę dla nich zakłada, łąki nam osusza,
Chaty począł budować, zna i lubi człeka.
Zdawało się, że wioska dobra się doczeka,
Że jak pocniem czynsz płacić, jak się słuszenie płaci,
Człek, mając więcej czasu, łatwiej się z bogaci,
Lepiej się urządzimy i z polem, i zbożem,
I panu służyć będziem, i siebie wspomóżem.
A teraz wszystko marnie... kto da więcej groszy,
Zły jaki pan nas kupi i wioskę spustoszy.
Ej panie! ej paniczu! tego być nie może!
Nie rzucajcie nas biednych, siedźcie w swoim dworze.

SĘDZIA (rozczulony).

Dziękuję wam, dziękuję.

PODKOMORZY (do siebie).

Patrzę, jak na dziwy.

ANNA.

A co? widzisz, Stefanie, jaki lud pocziwy.

STARY WIEŚNIAK (z gromady).

A ja starego pana dzieckiem jeszcze małem
Na kolanach pieściłem, cacka mu strugałem,
Znałem jego swawole, znałem każdy narów,
Do szkoły go woziłem do księży Pijarów...

DRUGI WIEŚNIAK (do sędziny).

A czy pamiętasz pani? wszak to lat trzydzieści,
Jakoś tu w naszym dworze mieszkała przy teści,
Jak po waszem weselu my ludzie prostacy
Chleb i sól wam przynieśli na lipowej tacy,
Jak ja miałem przemowę...

TRZECI WIEŚNIAK (do Stefana).

A ty, młody panie,
Pomnisz, jakem cię dzieckiem brał na polowanie?

Teraz wydam z sekretu, aż pusty śmiech bierze,
Jakoś to swojskie kaczki strzelał na jeziorze.

STARZEC.

Wszystko to w naszych oczach powstało na nogi,
A teraz chcą porzucać swój naród ubogi;
A czy wy macie serce?...

SEDZIA.

Serce mi się kraje...
Lecz ja nie z dobrej woli majątek sprzedaję:
Biorą go za podatek, za bankową ratę;
A ja nie mam i grosza na długów wypłatę,
I muszę was porzucić przed początkiem zimy.

STARY WIEŚNIAK.

Otóż pan nie wyjedziesz, bo my nie puścimy...
Nie zechcesz od nas gwałtem wyrwać się, sądzę.

SEDZIA.

Lecz trzeba mi pieniędzy.

WÓJT (nieśmiało).

My mamy pieniądze,
Cztery tysiące złotych, tak wiemy od Szlomy.
Przyjmij to, spłać należność, interes wiadomy,
I wieki nam panujcie z dziatkami, z wnukami!

(Kładzie na stół pieniądze z nieśmiałością).

SEDZIA.

Czy mi się przywidziało? czy to sen mię mami?
Wy płacie pieniądze... wracacie mi życie...
Skąd u was tyle grosza? — sami się krzywdzicie,
Ja nie przyjmę...

PODKOMORZY.

Bierz sędzio, wybrniesz z tarapaty.

WÓJT.

Skąd my mamy pieniądze?... Człowiek niebogaty,
Lecz gdy się złożą wszyscy, za pomocą nieba,
Gromada wielki człowiek, gdy tego potrzeba.

STARZEC (z gromady).

Skąd my mamy pieniądze?... Powiem, jak to było.
Zeszliśmy się w niedzielę, — trochę się podpiło,
Aż wtem powiada Szloma, jak rzecz cała ma się,
Że jegomość dobrodziej w wielkim ambarasie,
Że majątek sprzedają... zginienie otwarte;
Więc postawiłem kwartę, wójt postawił kwartę,
I dalej rada w radę...

WÓJT.

Tu niedługa rada:

Ratować nas i panów w ten moment wypada.
Spojrzeli się po sobie co bogatsi kmiecie,
Jeden z nich kilka groszy przysporzył w kalecie,
Drugi miał niepotrzebną dobrą sochę wołów,
Młynarzowi na rybie poszcęcił się połów,
Franciszek Szwed, co zda się na oko biedota,
Miał jeszcze po Francuzach małą skrzynkę złota,
Każdy złożył po trosze, czy wielki, czy mały,
Kobiety niepotrzebnych kilka kur sprzedały,
Tak się grosz i zgromadził, zebrany wśród braci.
Bierzcie go z dobrem sercem, a dług niech się spłaci.

SĘDZIA (spogląda na Stefana).

STEFAN.

Grzech nie przyjąć dobrodziejstw z tak czystego źródła;
Odmowa ich serdeczność przykroby ubodła.

SĘDZIA (po namyśle).

Przyjmuję!...

(Ściska starca i wójtą, kłania się gromadzie).

Lecz to spłacić... wkrótce spłacić muszę.

STARZEC.

Zwrócić! O! przeciw temu odezwać się muszę.
Wszak panowie kupują nasze chłopskie dusze,
Dla czegobyśmy dzisiaj, choć rzecz niesłychana,
Nie mogli za pieniądze kupić sobie — pana?

(Sędzina ściska ręce gromady).

STEFAN (po cichej naradzie z ojcem).

Kupiliście już pana i z sercem, i z duszą,
A te wasze pieniądze świętymi być muszą.

Nim je wam całkiem zwrócić lepszy los pozwoli,
Odtąd siedzieć będziecie na czynszowej roli,
Przy zamożniejszym bycie i w szczęśliwej chwili
Odbierzcie choć cząstkami, coście tu złożyli.

WIEŚNIACY (po naradzie z sobą).

Trudno i nam nie przyjąć tej waszej ofiary;
Lecz byle żył pan młody, byle żył pan stary,
Zakwitnie w naszej wiosce pocziwy lud Boży,
A reszta, jak wróćcie, w domu się ułoży.
Spieszcie się do urzędu pospłacać swe raty,
I powracajcie zdrowo, a nam czas do chaty.
Niech będzie pochwalony!

OBECNI.

Na wieki! na wieki!

(Wieśniacy odchodzą).

SCENA SZÓSTA.

C I Ż, oprócz WIEŚNIAKÓW.

PODKOMORZY.

Widzę, panie Stefanie, twój zawód daleki:
Czyja włość tak pocziwa, a taka zamożna,
Tam wysokich procentów doczekać się można.
Z tym czynszem trochę szybko wyrwał się, młodzieńcze,
Ale na tem nie stracisz, ja ci za to ręczę:
Bo włość przygotowana, moralnie bogata,
A jest i z moralności pieniężna intrata.

(Do Sędziny i Anny, które z sobą rozmawiają w głębi):

Pani Sędzino, Anno! ten płacz, a to na co?
Łzy, stracony kapitał, procentu nie płacą.
No, sąsiedzie! tyś wesół, jak z bitwy wygranej;
Ale czas już odnowić nasze stare plany.
Co myślisz?...

(Szepce mu do ucha, ukazując Annę i Stefana).

SĘDZIA.

Ja nic nie wiem; a cóż na to matka?

SĘDZINA.

Ja nie wiem — chcesz sąsiedzie, idźmy do ostatka.
Na pieniężnej rachubie nie snujemy planów.
Stefanie! sam nad szczęściem swoim się zastanów.

STEFAN (biorąc rękę Anny).

W tych rękę moje szczęście.

ANNA.

Przy nim moje szczęście.

PODKOMORZY.

No, już teraz sąsiedzi, głowami nie trzęście,
Pobłogosławmy dzieci...

(Otaczają młodą parę).

Niech Bóg błogosławi!

SĘDZIA (do Podkomorzego).

Czy się traktat utrzyma, jesteście ciekawi.

PODKOMORZY.

Dziedzicu Pustopola, teraz bądź spokojny.
Już nigdy między nami nie przyjdzie do wojny.
W dobre i młode ręce powierzamy fortunę.
Z czasem ty się usuniesz i ja się usunę,
Odpocznijemy na starość...

SĘDZIA.

Tylko mię przestrasza,

Jak z wojskiem przyjdzie Turek lub Ibrahim basza!

1858. Wilno.

WYROK JANA KAZIMIERZA.

DRAMAT HISTORYCZNY W IV AKTACH.

OSOBY:

JAN KAZIMIERZ, król.
 MARJA LUDWIKA, królowa.
 STEFAN CZARNIECKI.
 KONIECPOLSKI, wojewoda sandomierski.
 KANCLERZ KORONNY.
 MARSZAŁEK KORONNY.
 GNOIŃSKI.
 HELENA, jego córka.
 PIELGRZYM.
 LACKI.
 STRZEMIEN.
 PIERWSZY PAŻ.
 DRUGI PAŻ.
 PIERWSZY SZLACHCIC.
 DRUGI SZLACHCIC.
 GOSPODARZ.
 GOSPODYNI.
 PIERWSZY HALABARDNIK.
 DRUGI HALABARDNIK.
 SZLACHTA. PANNY DWORSKIE. ŻOŁNIERZE.

(Rzecz dzieje się w pierwszym akcie w obozie; w drugim w gospodzie na pograniczu śląskiem; w trzecim w Głogowie na Śląsku; w czwartym w Odańsku).

AKT PIERWSZY.

SCENA PIERWSZA.

Las. — Ciemność. — Na uboczu pień nisko ucięty. — Z prawej strony w helmie i zbroi STRZEMIEN.

STRZEMIEN (do siebie).

Droga nieznana, nie widać księżycy,
 Nawet, jak widzę, na deszcz się zanosí.
 Szkaradna puszcza, ciemna jak piwnica,
 Albo jak oczy mojej lubej Zosi!
 Zosia... piwnica... wino i dziewczyna,
 To specyały, jak mówili starzy...
 Ej, tam do licha! deszcz kropić poczyną,
 Muszę tu przetrwać całą noc na straży;

Bo tędy szwedzcy mają iść szpiegowie,
Nam rozkazano pochwycić ich żwawo.
Mają mieć listy, z których wódz się dowie,
Czy ma uderzyć na lewo, czy prawo.
Niewielka sztuka wziąć za gardło Szweda
I grzecznie spytać: gdzie idzie? co niesie?
Jakoś się robi, — ale gorsza bieda,
Że mój towarzysz gdzieś zbłąkał się w lesie.
On puszczy nie zna, może gdzie i blisko
Błąka się tutaj przez ciemne zarośle.
Uderzę w trąbkę, zapalę ognisko,
To mu w ten sposób znak o sobie poślę.

(Dobywa krzesiwa i hubki).

No!... jeśli ognia od razu wykrzeszę,
To znaczyć będzie, że Zosia jest stałą.

(Krzese ogień).

Ha! coś nie pali... bo się nazbyt śpieszę.
Raz, drugi, trzeci, ot niby zatlało,
Iskry się sypią, tylko wiatr zawiewa:
Tu stałość Zosi nie winna nic wcale.
Ot pójdę lepiej pod konary drzewa
I tam w zaciszy ognisko rozpalę.

(Wychodzi na chwilę i wraca z rozpaloną drzazgą i w pniu roznieca ogień).

A co? mówiłem... ot jak jasno bucha!
Bo Zosia wierność dochowa najściślej.
Och! to dodaje rycerskiego ducha,
Jeśli człek wierzy, że ktoś o nim myśli.

(Uderza w trąbkę).

Powinien słyszeć, echo się rozlega,
Blask od ogniska szerzyć się poczyną.
Dobre to chłopię Krzysztof, mój kolega.
Tylko że milczy i nie pije wina.
Mnie niepojęta takowa odraza.
Ale tam w krzakach słyszę coś szeleści:
Kto idzie? hasło?

GŁOS ZA SCENĄ.

Jan Kazimierz Waza.

STRZEMIEN.

Wiwat! niech żyje w radości i cześci!

SCENA DRUGA.

STRZEMIEN I LACKI.

STRZEMIEN.

Czołem waszmości, panie Florjanie!
Coś mi przepadłeś i z duszą, i z ciałem.

LACKI.

Pan wojewoda nim skończył pisanie,
Czekać przed jego namiotem musiałem.

STRZEMIEN.

Cóż tam w obozie?

LACKI.

Oplakane wieści!
Coraz to sroższe ciosy na Polaków!
Słowa mi w uściech drętwieją z boleści:
Szwed pod Krakowem.

STRZEMIEN.

Co! zdobył już Kraków?

LACKI.

Zdobyl już może: tam słaba załoga,
Wojsko co chwila swoją wierność zmienia;
Król, zdawszy Polskę na Opatrzność Boga,
Kędyś na Śląsku szuka ocalenia.
Wszystko w popłochu, w rozterkach, w bezładzie,
Co czynić?

STRZEMIEN.

Zdać się i złożyć oręż.

LACKI (z zapalem).

Hańba, kto dzisiaj miecz do pochew kładzie,
Kto się prawego pana wypręsięże!
Stójmy z Czarnieckim przy gromadzie bratniej,
Idźmy za wodzem, gdzie jeno wyruszy.
Lejąc krew naszą do kropli ostatniej,
Przynajmniej umrzem spokojni na duszy.

STRZEMIEN.

Umrzeć nie sztuka — ja życia nie ważę,
Byle krew moja na co się przydała.
Lecz trzeba czynić, co roztropność każe:
Ich taka chmara, a nas garstka mała.

LACKI.

Krew waszmościna nie wiele się przyda:
Wojna ze Szwedem długie potrwa lata,
Może się stanieniem kamykiem Dawida,
Co kiedyś strzaska głowę Goliata!
Czarniecki zdoła wycelować procę.

STRZEMIEN.

Daj Bóg i Amen. Przekonałeś wasze;
Pójdę z Czarnieckim, Goliatów zgrzmocę!

LACKI.

Na Rakoczego dziś ostrzym pałasze.

STRZEMIEN.

Przeklęty Węgier! lichy go tu wnosi.
Popsuł mi plany, biednaż moja głowa!
Chciałem się wymknąć do mej pięknej Zosi,
Aby zobaczyć, czy mi wierność chowa.
Bo to u niewiast, jak z oczu, tak z myśli:
Trudne kochanie o sto mil z oddala!
Niechaj w miłości pilnuje się ściślej,
Kto się wystrychnąć nie chce na rogala.

LACKI.

Nie czas miłości roić w męskiej głowie,
Kiedy o wojnie trzeba myśleć samej,
Kiedy kraj ginie, gdy wierni synowie
Nad konającą już matką czuwamy.
Grzech teraz kwilić żalami pieśczocho,
Kiedy się sprawie takiej świętej służy.
Och! i ja kocham, och! i mnie też kocha
Dziewica piękna, jak wonny kwiat róży.
Z duszą szlachetną, w młodości zaraniu,
Tęskniłem do niej, jak dusza do nieba;
Lecz dziś kazałem zamilknąć kochaniu,
Na inną miłość serca mi potrzeba.

STRZEMIEN.

A ja, to jakoś jedno z drugim godzę:
I Zosia droga, i ojczyzna droga!
Służę królowi, tęsknię ku niebodze,
I dziewczę ścisnę, i pobiję wroga.

Czytałeś waszmość, jak to się kochali
Dawni rycerze świętej krucjaty?
Lecz mnie się zdaje, że mimo oddali
Dziewczęta były wierniejsze przed laty;
Bo ja o moją jestem niespokojny,
Chociaż to niby i słodka, i czuła.

LACKI.

Sroższy niepokój nie wiedzieć wśród wojny,
Czy ona żyje i kędy się tuła.
Rodzice mojej serdecznej niebogi
Żyją w pobliżu puszczy Białowieża;
Ojciec jej, szlachcic stary i uhogi.
Wiernym jest sługą Jana Kazimierza.
Dał swym sąsiadom powód do niechęci;
Czekali dobrej do odwetu chwili.
Więc kiedy przyszli szwedzcy adherenci,
Dwór zrabowali i wieś mu spalili.
Dokąd się udał? — Bóg to wiedzieć raczy!
Czy gdzie się schronił? czy może w niewoli?
Dziś pełno w Polsce takowych tułaczy.
Łacno odgadniesz, że mię serce boli...
Pomyślę, westchnę, czasem łza nabieży,
Ale się wstydzę tej łezki niewieściej;
Bo serce nasze dzisiaj przynależy
Świętszej miłości i świętszej boleści.
Dziś tylko jeden... jeden cel przed nami:
Tam skupiać ducha i ramienia siły.
Nie wolno piersi rozmiękczać żałami,
Aby swojego hartu nie straciły.

STRZEMIEN.

Mądrze mówicie! ale z tamtej strony
Sunie się stary pielgrzym z siwą brodą.

SCENA TRZECIA.

CIŻ I PIELGRZYM.

PIELGRZYM.

Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!

STRZEMIEN.

Na wieki wieków!... Gdzie to bogi wiedą?

PIELGRZYM.

Do miejsc cudownych, waleczni rycerze,
Do Częstochowy, aż do Jasnej Góry!
Zmówię tam chętnie i za was pacierze,
Jeśli jałmużną obdarzy mię który.

(Kłania się).

STRZEMIEŃ (do Lackiego cicho).

U tego starca twarz jakaś zdradziecka:
Trzeba go badać, jak ordynans każe.

PIELGRZYM (do siebie).

Muszę rozumieć, czy to strona szwedzka,
Czy Czarnieckiego, broń Boże, husarze?

STRZEMIEŃ.

Kto waszmość jesteś?

PIELGRZYM.

Zowię się Mikoszą.

STRZEMIEŃ.

A herb waszmościń?

PIELGRZYM (zakłopotany).

A mój herb... Kościesz.

LACKI (do Strzemienia).

Nie... Mikoszowie topór w herbie noszą,
Ja znam ich pieczęć...

STRZEMIEŃ (do Lackiego).

Coś starzec się miesza.

(Do Pielgrzyma):

Z kim waszmość trzymasz?

PIELGRZYM.

Jakto?... nie dosłysz.

STRZEMIEŃ.

Kogo waść wolisz: czy króla, czy Szweda?

PIELGRZYM.

Ja trzymam z Bogiem, dobrzy towarzysze,
Partja ziemską zbawienia mi nie da.

STRZEMIEN.

Waszmość, jak widzę, i uszy przytula,
I odpowiedzi otwartej unika!
Tu trzeba wyznać, czy waść wolisz króla,
Czy trzymasz stronę Szweda najeźdźnika?

PIELGRZYM (do siebie).

To Czarniecczyki.

(Do Strzemia):

A, moi panowie!

Takie pytanie, to czysta obraza:
Ja wciąż się modłę za królewskie zdrowie,
Zatem: niech żyje Jan Kazimierz Waza!

STRZEMIEN I LACKI.

Niech żyje król nasz!

(Żołnierze zdejmują hełmy, a starzec kapelusz).

STRZEMIEN (wpatrując się bacznie, do Lackiego).

Głowa za ryż, a broda za siwa.
Czoło bez zmarszczków, a wzrok jakiś kosy.

LACKI.

Badajmy dalej; wszak zwyczajnie bywa,
Że broda wcześniej siwieje niż włosy.

STRZEMIEN (do Lackiego).

Coś jak na starca za prostą ma szyję.

(Wpatrując się mocniej):

Broda przyprawna! trzymaj, bo uciecze!

(Lacki chwytając za ramiona pielgrzyma, Strzemię odrywa mu białą przyprawną brodę, z pod której wypada list).

STRZEMIEN.

A tuś mi, płaszku!

PIELGRZYM (szybko dobywając z pod płaszcza sztylet).

Puść mię, bo przebiję!

STRZEMIEN (wyrывая z ręcznika sztylet).

O, nie tak łatwo, pocziwy człowiecze!

(Podejmuje list z ziemi).

Oho, to pismo!... a co? kole w oczy?
Zaraz historia wykryje się cała.
Zobaczmy pieczęć. To pisze Rakoczy
Do Wittenberga, Szwedów generała!

Pismo do wodza, szpieg do nas należy:
Szpiega na gałąź!

(Odpina swój rzemienny pas i ciągnie Pielgrzyma).
Chodź, duszo pobożna!

PIELGRZYM (wrywając się).

Puściecie mnie! puściecie!...

LACKI (do Strzemia).

Wstydź się, panie Jerzy!

Czyż się bez wodza rozporządzać można?

PIELGRZYM (klęka).

Zabierzcie listy, mnie puściecie łaskawie!
Ja się wykupię, zapłacę z ochotą!

LACKI.

My żołd bierzemy, lecz powszechnej sprawie
Bardzo się przyda Rakoczego złoto.

(Strzemię uderza w trąbkę; na to hasło wychodzi z za krzaków kilku żołnierzy).

STRZEMIĘ (wiążąc pasem ręce Pielgrzyma).

Hej towarzysze! weźcie go pod straż,
Do wojewody prowadźcie Judasza;
A czy go puścić, czy powiesić każe,
W tem jego wola, a nie głowa nasza.
Weźcie te listy, co znaleźli przy nim,
Weźcie do wodza to złoto, co w kiesie;
A my tu naszą powinność uczynim,
Na dalszej warcie zostaniemy w lesie.

PIELGRZYM.

Puściecie mnie, ludzie! puściecie, jam niewinny!
Mnie Rakoczego obietnice zwiodły.

STRZEMIĘ.

Gdybym miał prawo, za mój kraj rodzinny
Samby ci, ptaszku, roztrzaskał łeb podły!
Lecz naszą zemstę na hetmana zdajem,
Niechaj postąpi, jak mu każe władza.

LACKI.

Boże Zastępów! nie mścij się nad krajem,
Który tak czarne potwory wyradza.

(Żołnierze odprowadzają Pielgrzyma).

SCENA CZWARTA.

Zmiana — wewnątrz namiotu Czarnieckiego. — W środku prosty stół, na nim papier i pióro, księga i karta geograficzna. Na ścianie pancerz, hełm i pałasz.

CZARNIECKI w żupanie, rysiej delji i kotpaku wchodzi do namiotu.

CZARNIECKI (do żołnierza, który wszedł za nim)

O świetle pochód niech trąba obwoła!

(Żołnierz odchodzi).

Już dziś nie legnę, bo mię sen nie bierze.
Nim się Rakoczy opamiętać zdoła,
Wpadnę mu na kark z mojami harcerze!
Jeszcze wróg jeden — miłosierny Boże!
Gdyby nie wiara, jak tęcza przymierza,
Jużbym się zachwiał, albo złamał może:
Tyle tu wichrów ze wszech stron uderza!
Tam Szwed, tam Północ, tam Siedmiogrodziany,
Tam Kozaczyzna... tam drżeć od Tatara.
Upadł na duchu król, troską znękany,
Kraj spustoszony, a w sercach niewiara.
O ciemna! ciemna tej krainy dola!

(Podchodzi do okna).

Ha! i noc ciemna... lecz w Panu nadzieja!
Przyśle jutrzenkę, rozwidni te pola,
Da nam sturęczną siłę Bryareja,
Sto rąk urośnie. Cudowne są nieba!
Ale mieć siłę, to jeszcze nie dosyć:
By władać siłą, chyba nam potrzeba
Sto serc szlachetnych w jednej piersi nosić,
Bo to dzień próby, dzień pokus, dzień chłosty!
Dębem i miedzią trzeba okuć serce!...
W rękach hart został, staroświecki, prosty:
Dusze zmalwały w krajowej rozterce!
Rozbudź je, Boże!

(Wznosi ręce do nieba).

SCENA PIĄTA.

CZARNIECKI, STRZEMIEN, LACKI.

(Za nimi żołnierze wprowadzają drżącego Pielgrzyma).

STRZEMIEN.

Panie wojewodo!

Wedle rozkazu, czatując dziś w lesie,
 Wzięliśmy człowieka z przyprawioną brodą,
 Który do Szwedów to pisanie niesie.

(Oddaje list).

Chciał nas przekupić... oto jego złoto.

(Składa trzos na stole.

CZARNIECKI (skwapliwie biorąc list).

Wittenbergowi...

(Odrywa pieczęć i czyta).

Swoje plany skore

Skreśla w tym liście Rakoczy niecnota.
 Wyborne wieści! przyszły w samą porę!
 Przyjmcie me dzięki, towarzysze młodzi!
 Wódz wam dziękuje i Rzeczpospolita,
 A król jegomość wdzięcznie wynagrodzi,
 Skoro do progów domowych zawita.

STRZEMIEN (z ukłonem).

Cóż teraz czynić wasza miłość każe
 Z tym oto jeńcem w świętobliwej masce?

CZARNIECKI (do Pielgrzyma).

Polak?

PIELGRZYM.

Och Polak!... w niewinnym zamiarze
 Te listy... Panie! polecam się łasce!

CZARNIECKI.

Na gałąź szpiega.

PIELGRZYM.

Ulituj się, panie!

CZARNIECKI.

To prawa wojny.

(Do siebie).

Lecz to syn tej ziemi,
 Pomiedzy szlachtą może być szemranie,
 Żeśmy okrutni...

(Głośno).

Pogardzam podleni,
Puścić go wolno!

STRZEMIEŃ.

Ej, to ptak nielada!
Szkoda go puszczać.

CZARNIECKI.

Słyszysz, co wódz mówi!

(Żołnierze odprowadzają Pielgrzyma i odchodzą).

CZARNIECKI (wychodząc na przód sceny).

Naród na sercu widocznie upada.
Donieść to wszystko potrzeba królowi,
Niech rychlej wraca; obecność monarsza
Biednym poddanym nada zapal świeży.
Porzuci Szweda nasza bracia starsza,
A drobna szlachta w jej ślady pobieży,
Wspólnemi takty uderzą pałasze.
Tak... niech król wraca... niech koniecznie wraca.

(Klaszcze w dłoń).

Mospanie Lacki! zatrzymaj się wasze,
Czeka waszmości niepoślednia praca.

(Lacki wchodzi).

SCENA SZÓSTA.

CZARNIECKI, LACKI.

CZARNIECKI.

Koń wasz i zbroja niech będzie gotowa,
A ja tymczasem przygotuję listy.
Mimo Warszawy, pomimo Krakowa,
Pojedziesz waszmość aż na Śląsk górzysty!
Przez szwedzkie czaty przemyskaj się w ciemnie,
Wyszukaj króla, co gdzieś w Śląsku gości;
Oddaj me listy, i złóż mu ode mnie
Hołdy poddańczej mojej powinności.
Padnij na klęczki, proś, niech się nie mami,
Niech się nie lęka podstępów i zdrady;
Niech wraca zapal wskrzeszać między nami,
Bo tu bez ojca nie damy już rady.

Spraw mi się pilno, zaufać ci mogę,
Masz serce prawe, a rozum bogaty;
Powracaj rychło — a oto na drogę
Masz Rakoczego węgierskie dukaty.

(Z uśmiechem potrząsa trzosem).

Grosz przeniewierstwa, srebrniki Judasza,
Będą wydane w naszej dobrej sprawie.

LACKI.

Ważne mi rzeczy zleca miłość wasza,
Aby je spełnić i gardła nadstawię!

CZARNIECKI.

Nie... teraz drogie gardło waszmościne,
Ciężko mi Szwedzi odpowiedzą za nie.
Gotuj się w drogę i przyjdź za godzinę,
Znajdziesz gotowe już moje pisanie.

LACKI.

Przetrwam, da Pan Bóg, trudności choć mnogie,
I wiernie oddam, co mi dadzą w ręce:
I śmierć, i życie zarówno mi drogie,
Kiedy je sprawie królewskiej poświęcę.

(Kłania się i odchodzi).

SCENA SIÓDMA.

CZARNIECKI (sam, patrząc za odchodzącym).

Kraje, jak ludzie, mają straszne chwile;
Lecz duch ofiary kiedy kwitnie w młodzi,
Jeszcze w żywotniej można ufać sile,
Jeszcze o śmierci marzyć się nie godzi.
Póki jednego znajdziesz bohatera,
Póki społeczność Bożych natchnień słucha,
Kraj nie umiera, jak człek nie umiera,
Gdy jeszcze czuje choćby iskrę ducha.
Serce omdlewa, głowa się posłania,
Lecz to są tylko Opatrzności próby;
To nie skonanie — to pozór skonania,
To przesilenie wśród ciężkiej choroby.

(Zasiada do pisania).

(Zasłona spada).

AKT DRUGI.

Wnętrze obszernej gospody na pograniczu śląskiem; drzwi w głąb na prawo i na lewo, z obu stron stoły otoczone ławami.

SCENA PIERWSZA.

GOSPODARZ i GOSPODYNI.

GOSPODYNI.

Oj czasy, czasy! ot widzisz, przed nocą
Gospoda pusta, nikt drzwi nie uchyli.

GOSPODARZ.

Bo prawdę mówiąc, nie byłoby poco:
Szwedzi nam wszystko zjedli i wypili.
Raczejby Bogu dziękować, niewiasto,
Że nam domostwo zachowali cało.
Niejedna wioska i niejedno miasto
Krwiać opłynęło, z dymem poleciało!...
Gdyby nie kufel, nie gospoda nasza,
Gdyby nie starość, ale młodość w wiosnie,
To takbym jeszcze przypasał pałasza
I pędził Szwedów tam, gdzie pieprz nie rośnie!

GOSPODYNI.

Ot młodzieniaszek! jego stare graty
Cóżby tam komuś pomogły na wojnie?
A patrzeć kufla, a pilnować chaty,
A miodek gościom rozlewać spokojnie!
A liczyć, kręcić i kredką, i główką,
Wdzięcznie przyjmować, kogo Pan Bóg zdarza!
To twoja sprawa.

GOSPODARZ (śmiejąc się).

A, zaraz z wymówką!
W pustej gospodzie nie trza gospodarza.

GOSPODYNI (z szyderstwem).

W pustej gospodzie?... Ani wie, co w domu,
A chce wojować! Patrzcie, jaki śmiałek!
Toż ja przed Szwedy schowałam kryjomu
Dwie beczki miodu i wina antałek,

A on tu jeszcze o pustkach mi gada!
Miałabym głowę nie wiedzieć już na co.
Zapas niewielki, lecz na to jest rada:
Za każdą szklankę podwójnie zapłaca;
Teraz drożyzna!... Tylko pijcie zdrowi
I płacie dobrze, a ja wam dostarczę...

SCENA DRUGA.

CIŻ I PIELGRZYM, jak w pierwszym akcie.

PIELGRZYM.

Pokój niech będzie waszemu domowi!

GOSPODYN!

Pokój waszmości, bogobojny starcze!

GOSPODARZ.

Skąd Bóg prowadzi?...

PIELGRZYM.

Z daleka, z daleka!

Och! bolą nogi... niech trochę wypocznę.

(Usiada).

Opieka Pańska!

(Zdejmuje sakwy).

Tak, Pańska opieka

Miała nade mną staranie widoczne.

Powracam z Rzymu, przez Wiedeń, przez Kraków,

Bo święte miejsca odwiedzać człek musi.

Bywałem w ręku i szwedzkich żołdaków,

Bywałem w ręku i polskich rabusi.

Wszędzie dręczony, badany, pytany.

Chcieli zrabować, rozsiekać na ćwierci.

Nic nie znaleźli. Bódaj to łachmany!

Zawsze człowieka wykręca od śmierci.

A świat ten marny, toć do złota wzdychia,

Szatańskiem jabłkiem skusiła go Ewa.

Cóż z tego poszło? — grzech, kłamstwo i pycha,

Potem obżarstwo... Jeść mi się zachciewa:

Szedłem dzień cały, a w moim już wieku

Idę niesporo... Ot, nic siły niema!

Zamieram w drodze... Miłosierny człeku!

Daj tam puharek miodu dla pielgrzyma.

GOSPODARZ.

Z całego serca... i sam się napiję.

GOSPODYNI.

Może co zjecie?

PIELGRZYM.

Daj Boże wam zdrowie!

(Gospodyni odchodzi).

Za waszą łaską choć trochę odżyję.

(Bierze podany pułar i kosztuje).

Miodek rzeźwiący!

GOSPODARZ.

Więc byłeś w Krakowie?

PIELGRZYM.

Trzy dni tej łaski człek grzeszny doznawał;
Wszystkie kościoły obszedłem ze świecą.

GOSPODYNI (wracając).

A może łaska na kapłona kawał?

PIELGRZYM.

Zęby mam słabe... pokosztuję nieco.

(Zajada i pije).

GOSPODARZ.

A więc nasz Kraków zawsze w ręku Szweda?

PIELGRZYM.

Zawsze, łaskawco, ustąpił przed siłą,
Król szwedzki nigdy zwyciężyć się nie da.
Czarniecki zemknął, bo rady nie było.

GOSPODARZ.

Myśmy słyszeli, lecz wcale inaczej;
Wszak do zmykania Czarniecki nieskory:
Wyszedł, jak rycerz, z honorami raczej
I z bronią w ręku.

PIELGRZYM.

Liche tam honory!

Wyszli-ć tam wprawdzie z chorągwią, z armatą,
Przy biciu bębnow, we trzy regimenty;
Lecz w kilka czasów pod Siewierzem za to
Wszystkich Polaków rozbito na szczęty!

Jedna uciekła, a druga połowa
 Przysięgła wierność szwedzkiemu królowi.
 Czarniecki uciekł, Bóg wie gdzie się chowa.
 Król szwedzki szuka i pewnie go złowi,
 Wtrąci w więzienie i wszystkich pozyska.
 I królem naszym już zawsze zostanie.
 A Szwedy jego, to dobre ludziska,
 Dajże im Boże długie panowanie!
 Ot teraz, słyszę biorą Częstochowę,
 W czym jak najlepiej pomagaj im Boże!
 Ja pielgrzym starą kłopotalem głowę,
 Że tam na odpust człowiek pójść nie może.
 Kościół w fortecy, — zamknięto fortecę,
 Księża się bronią: im słuchać spowiedzi,
 Nie zaś do wojny brać się tak dalece,
 Bo co to Szwedzi!

GOSPODARZ (z niechęcią).

Smakują wam Szwedzi!

PIELGRZYM.

Pod kim mi lepiej, to ja tego wolę.
 Ja stary pielgrzym, dla mnie wszędzie ścieżka.
 Ojczyzna moja nie na tym padole,
 A Król Najwyższy nie na ziemi mieszka!
 (Dopija reszty miodu).

GOSPODYNI.

Pobożny człowiek...

PIELGRZYM.

Ale ja tu gwarzę.
 A wieczór ściemniał, i w drogę mi pora.
 Bywajcie zdrowi, zacni gospodarze!

GOSPODYNI.

Chciejcie odpocząć, oto jest komora.
 (Ukazuje na lewo).

PIELGRZYM.

Ha, jak się wzmocnię, zawędruję dalej,
 Trochę się zdrzemać może i należy.
 Ale nad rankiem... wy będziecie spali,
 Gdy stary pielgrzym z milę już ubieży.
 Jam ranny ptaszek: póki nie wyświta,

To czas chłodnawy, najlepszy do drogi!
Bywajcie zdrowi!...

(Odchodzi do komory na lewo, którą mu wskazuje gospodyni, za chwilę wraca).

A jak kto zapyta,
Czy nie przechodził tędy dziad ubogi,
To nic nie mówcie. Teraz takie czasy,
Że muszą truchleć nawet włóczykije.
Dopytywania, badania, hałasy,
To mię z pobożnych rozmyślań wybije.
Najlepiej milczkiem i chyłkiem na świecie,
W pokorze ducha bądź ślepy i niemy.
Więc, dobrzy ludzie, wy nic nie powiecie,
Że ja tu byłem?

GOSPODARZ.

O, nic nie powiemy.

PIELGRZYM.

Dobrej wam nocy! niech Pańska opieka,
Niechaj was strzegą niebiescy anieli!

SCENA TRZECIA.

C I Ż, prócz G O Ś C I A.

GOSPODARZ (do siebie).

Ja nie pojmuję nic tego człowieka:
Czyżby już Szwedzi zagarnąć nas mieli?...

GOSPODYNİ (do męża).

A ja mówiłam, że daremna praca
Chcieć wskrzeszać dawną potęgę koronną!
Dziś inne czasy... Ale ktoś kołace.

GOSPODARZ (patrzac w okno).

Dwie jakieś bryki i trzech szlachty konno.

(Zawsze patrzac w okno, do siebie):

Chmurno, i ciemno, i deszczyk na dworze,
A tam z daleka jutrznia promienieje.

GŁOS ZA SCENĄ.

Prosim otworzyć...

GOSPODARZ.

W ten moment otworzę.

(Do siebie):

Szwedzi, — to ciemność, jutrznia — to nadzieja!

(Wychodzi naprzeciw gości).

SCENA CZWARTA.

GNOIŃSKI — HELENA, córka Gnoińskiego — KILKU SZLACHTY,
— GOSPODARZ I GOSPODYNIA.

GNOIŃSKI (do gospodarza).

Zacny człowieku! dajcież nam komorę,
Kędy odpocząć?

GOSPODARZ.

O wielmożny panie!

Gospoda pusta, w tę nieszczęsną porę
Każdemu z gości znajdzie się poślanie.

GNOIŃSKI (z uśmiechem).

Dla nas poślanie!... zdrzymiem się przy stole,
Nawet pałaszów nie zrzucim od boku;
Byleby miejsce dla wozów w stodole,
Byleby koniom siana i obroku,
Bo się zmęczyły...

(Do jednego ze szlachty):

Panie Kalasanty!

Waćć do tych rzeczy bierzesz się najtężej!
Wozy w stodolę niech wtoczą drabanty,
Konie do żłobów; nie zrzucać uprzęży.

(Do szlachty):

A jak łaskawie daliście mi władzę
Być gospodarzem w podróznym taborze.
To rozsiodływać koni wam nie radzę:
W nocy przygoda przytrafić się może.
Kolejno wartę trzymać przed gospodą,
A wypocząwszy, wyruszyć o świcie.

(Szlachta odchodzi).

GOSPODYNIA (do Gnoińskiego).

Dlaczego, panie, tę dziewicę młoda
W ten czas wojenny ze sobą wozicie?

GNOIŃSKI.

Ha! moja pani, konieczność przywiodła,
Musim choć na czas rzucić kraj rodzinny.
Dom mi spaliła zgraja Szwedów podła,
Z ostatkiem mienia na Śląsk uchodzimy.
Kilku mi szlachty towarzyszy w drodze,
By bronić głowy niewiasty i starca!
Spokojny uchron znalazłszy niebodze,
Do wojennego powracamy harca.
Wszystko mi jedno... jesteśmy gotowi
Choć w obóz wroga wrąbać się do środka,
Bom tak ślubował memu Patronowi:
Wszędzie bić Szweda, kędy się napotka.
Pobłogosławi Pan Bóg naszą czynność,
Czy nakieruje losy ku odmianie,
Wtem Jego wola, — a nasza powinność:
Służyć królowi, póki sił nam stanie.

GOSPODARZ (do siebie).

Padłbym na klęczki! to jakiś zuch stary,
Co po Bożemu trzyma stronę Wazy.

GOSPODYNIA (do siebie).

Czysty szaleniec! — jeszcze ma zamiary
Oprzeć się sile większej o sto razy!

(Do Gnoińskiego):

A może Wasza Dostojność pozwoli
Wypić za zdrowie Jana Kazimierza?
Jest stary węgrzyn, głowa nie zaboli,
Potem podróżna znajdzie się wieczerza.
Wprawdzie drożyzna... wielka tu drożyzna:
W trzy razy płacą mięso, wino, zboże;
Lecz pan wielmożny i sam pewnie przyzna,
Że być po Szwedach inaczej nie może.
Jedli tu, pili bez końca, bez miary,
I zostawili długi niepłacone.
Biorę za kurczę po cztery talary,
Lecz za to kurczę! i bażant na stronę.

GOSPODARZ (wół głośno do żony).

Lecz ten pan trzyma z Janem Kazimierzem,
Warto ustąpić.

GOSPODYNI (cicho do męża).

Poszedłbyś do czarta!

(Głośno do Gnoińskiego):

To co inszego!... My od takich bierzem
Po swojej cenie: za kurczę pół-czwarta.

GNOIŃSKI.

Dziękuję waściom! jeść i pić nie będę,
Bom się straszliwie umęczył w podróży.
Szlachcie, by miała czem skrzepiać gawędę,
Chciejcie postawić miodu gąsior duży.

GOSPODARZ.

Wedle rozkazu wnet wszystko się stanie.
(Odchodzi).

GOSPODYNI.

Ugościm szlachtę, czem chata bogata!
(Odchodzi).

SCENA PIĄTA.

GNOIŃSKI, HELENA.

HELENA.

Coś mi tu straszno... Niewypowiedzianie
Smutnem przecuciem serce me kołata.
Jedźmy stąd prędko, bo za chwilę może
Będzie już późno.

GNOIŃSKI.

Trwożliwe ty dziecię!
Konie zmęczone, ulewa na dworze;
Mamy tu z sobą garstkę szlachty przecie;
Nie ufać męstwu, albo ich przyjaźni,
Byłoby grzechem, tak wiernie nam służą.
Porzuć te widma chorej wyobraźni,
Spocznij, boś nocną znużona podróżą.
Wszak my nad tobą niedarmo czuwamy,
I włos z głowy nikt ci tu nie zdejmie.

GOSPODARZ (wchodząc z pułkami miodu).

Oto ktoś znowu kołata do bramy.

GŁOS ZA SCENĄ.

Otwórzcie waszmość!

GOSPODARZ (otwierając drzwi).

Prosimy uprzejmie.

SCENA SZÓSTA.

CIŻ (wchodzi LACKI w burce i zbroi).

LACKI (z pośpiechem do gospodarza).

Konia do żłobu, nie zrzucać mu tręzli,
Niech się wysapie, i znów dalej leć!
Byli tu Szwedzi?

GOSPODARZ.

Gdzieś pono ugrzęzli.

Na Jasnej Górze chcą zdobyć fortecę.
Taka przynajmniej pogłoska się szerzy,
A tu już, panie, cztery dni nie byli.

LACKI (zrzuca burkę — postrzega Gnoińskiego i rzuca się w jego objęcia).

O zacny panie!

GNOIŃSKI.

O kochany Jerzy!

Gdzież to spotkanie i w jakowej chwili!

(Ściskają się).

GNOIŃSKI (do Lackiego).

Czyś zdrow? co słyhać? gdzie lecisz, jak strzała?!

(Do córki).

A co! czy widzisz, głowo chorowita!

Czy ci w przeczuciu dusza powiedziała,
Że narzeczony wkrótce cię powita?

HELENA (podbiega z radością do Jerzego).

Ach, to pan Jerzy!

LACKI.

To ja. to ja, pani!

Takiego szczęścia nie wróżyłem za nic!

GNOIŃSKI.

A my spaleni, my z domu wygnani,
Musim do obcych przemykać się granic!
Siadajże Jerzy!... pot płynie ci z czoła,
Musiałeś lecieć... spadłeś nam, jak z nieba.

LACKI.

O! chciałbym jeszcze mieć skrzydła sokoła,
By prędzej stanąć tam, gdzie mi potrzeba.

GNOIŃSKI.

Skąd Bóg prowadzi? w jaką lecisz stronę?

LACKI.

Od Czarnieckiego w naglącej potrzebie
Lecę do króla.

GNOIŃSKI.

Czy wszystko stracone?

LACKI.

Jeszcze nie wszystko: jest Pan Bóg na niebie,
Jest wódz Czarniecki, jest w piersiach otucha;
Ale zaprawdę chwila rozpaczliwa!
Wódz, pragnąc wskrzesić upadłego ducha,
Króla co prędzej do kraju przyzywa.

GNOIŃSKI.

Was, jak słyszałem, zbito pod Siewierzem?

LACKI.

Nie tak pobili, jak podeszli zdradą.
Ubezpieczeni krakowskiem przymierzem,
Staliśmy w polu bezbronną gromadą.
Wódz nasz dotrzymał, Szwed złamał swe słowo,
Uderzył w nocy w obozowe pole.
Szlachta do bitwy nie była gotową.
Jednych rozproszył, drugich wziął w niewolę.
Wódz zdołał umknąć, ja z drugim kolegą,
Z panem Strzemieniem — co na to mówicie? —
My osłonili piersią Czarnieckiego!

(Z zapalem):

Ja ocaliłem Czarnieckiego życie!
Teraz się hufce zbierają powoli,
I obrót rzeczy już biorą szczęśliwszy.

GNOIŃSKI (ściskając go z rozrzewnieniem).

Zazdroszczę, chłopcze! zazdroszczę twej doli:
Kraj ocaliłeś, jego ocaliwszy!
Chlubię się tobą, że będziesz mym zięciem,
Lecz do tej chluby mieszam łzę rozpaczy.
Syn mój rodzony umknął mi dziecięciem,
Na Ukrainie kędyś hajdamaczy.

Pohańbił ród mój i zakrwawił serce,
Wpuścił tam węża, co się zabić nie da.
Już go widziano pomiędzy morderce,
A teraz słyszę, miał przystać do Szweda,
I jako Judasz, za garść szwedzkich groszy,
Na głowę matki naprowadza katy.
Dwory i wioski współziomków pustoszy,
Z łupów zbójeckich chce zostać bogaty!
O! nie uwierzysz, jak serce się ściska,
Jakim ja wstydem między ludźmi płonę!
Chcę strzaskać herb mój, wyprzeć się nazwiska!
Bo te skalane, bo te już spoblone.

LACKI (biorąc go za jedną rękę).
Czcigodny panie! nie wątpij o cudzie:
Wróci do trzody owieczka zbłąkana.

HELENA (biorąc go za drugą rękę).
Hamuj się, ojcze! idą obcy ludzie,
O nawrócenie módlmy się do Pana!

SCENA SIÓDMA.

CIŻ i SZLACHTA (powraca).

GNOIŃSKI (do szlachty).
Mości panowie! bracia miłościwi,
Mego przyszelego zięcia wam przedstawię:
Pan Jerzy Lacki!

SZLACHTA (z ukłonem).
Jesteśmy szczęśliwi.

JEDEN ZE SZLACHTY.
Znane to imię w teraźniejszej sprawie.

DRUGI ZE SZLACHTY (występując naprzód z uroczystą przesadą).
I dobrze znane!... bo mądra Pallada,
Którą Minerwę przewali Rzymianie,
Wieniec laurowy na skroń jego wkłada.
Już przewiduję, czem później zostanie.
Choć z wieku dziecko, z umysłu był stary,
Smakował w księgach, jak inszy w zabawce,
Kiedy w Krakowie u świętej Barbary
U Jezuitów siedział w pierwszej ławce.

Skoligacony z najpierwszemi domy,
 Na górę Parnas wdzierał się tem śmieiej!
 Bo czuł spadkowej mądrości ogromy,
 Jedne po mieczu, drugie po kądzieli.
 Matka z zacnego rodu Śrzeniawitów...

GNOIŃSKI (uderzając go przyjaźnie po ramieniu).
 Mój Kalasanty! coś za długi wątek.
 Daj temu pokój...

SZLACHCIC.

Ale tych zaszczytów
 Jeszcze nie koniec, to tylko początek.
 O święta wiaro w zacne antenaty!
 Na młodem sercu czegoż ty nie zdziałasz?
 Jako Rzymianin, biorąc męskie szaty,
 Gdy szkolne pióro zamienił na pałasz,
 Rzekłbyś spojrzawszy: to Mars, nie literat,
 To młody Herkul w dzielności potędze;
 Et robur et aes circa pectus erat,
 Jak o tem pisze Horacy w swej księdze.
 Herkul! bo hydrę już schwycił za szyję,
 I śmiercionośną maczugą już kręci;
 Herkul nemejskie, on szwedzkie lwy bije,
 (Bo państwo szwedzkie nosi lwa w pieczęci).
 Zwalczysz, młodzieńcze! zwalczysz te giganty!
 Łupem lwiej skóry okryjesz swe łono,
 A teraz przejdźmy...

(Uroczyście wznosi rękę).

GNOIŃSKI (biorąc go za rękę).

Panie Kalasanty!
 Przejdźmy do stołu. gdzie miód zastawiono.

SZLACHCIC (z ukłonem do Lackiego).

Głosiłbym dalej, ale nie mam czasu
 Brnąć w miodopłynnej wymowy powodzi;
 Wody hyblejskiej. z Kastalu, z Parnasu,
 Sarmackim miódkiem zanić nie zaszkodzi.

(Bierze puhar miodu, kosztuje i mówi):

Wyborny napój!... O, nam się nie godzi
 Hyblejskich pszczołek zazdrościć wam, Greki.
 U nas miód warzył Piast. król i kołodziej,
 I pić go kazał na notomne wieki!

(Szlachta się śmieje).

SZLACHCIC PIERWSZY (z puhaem).

Czytajcie waszmość o piwie i winie,
Niech nasz Klonowicz, niech Acernus powie:
Wino rzecz ludzka, wino z ziemi płynie,
Miodek z powietrza stworzyli bogowie.

DRUGI ZE SZLACHTY (ze szklanica piwa).

Ja wolę piwo...

SZLACHCIC PIERWSZY.

Polak zasiał pole,
Polskim jęczmieniem zarodziła niwa,
Polak go pożał, zwiózł, zmłócił w stodole;
Wtem przyszedł Niemiec i nawarzył piwa!
(Śmiech ogólny).

SZLACHCIC DRUGI.

Oj warzy Niemiec... ale krotochwile
Pan Kalasanty jeszcze lepiej warzy.

GNOIŃSKI.

Panowie bracia! poucztujcie chwilę,
A ja postoję przy koniach na straży;
Potem mię z warty zluzuje kto łaska.

SZLACHCIC PIERWSZY.

O! już na dzisiaj nie doznawaj biedy!
I nasze konie, i wasza kolaska,
Jakby za murem u Semiramidy.
O murach Troi pisze Iliada,
Stajnia tu krzepka, jak trojańskie wały.

GNOIŃSKI.

A przecież fortel i przewrotna zdrada
I w mury Troi dostać się zdołały.

(Odchodzi).

SCENA ÓSMA.

Szlachta na stronie w milczeniu zapija. Na przodzie sceny

LACKI i HELENA.

HELENA (podając rękę Lackiemu).

Jak senna marzę i sobie nie wierzę,
Czyś, panie Jerzy, żywy, czy umarły?

LACKI.

Cztery miesiące!... wyznajcie mi szczerze,
Czy mię z waszego serca nie wydarły?

HELENA.

Krzywdzisz mię waszmość: czyż polska dziewczica
Raz przyrzeczonej wiary nie dochowa?
A moje dla was kochanie podsyca
O waszych czynach wiadomość wciąż nowa.
Ja was jednego wybrałam na świecie,
Bo tutaj bez was ktoś mię uszczęśliwi?
Wy... powątpiewać dziś jeszcze możecie?
Nie, panie Jerzy, wy niesprawiedliwi...

LACKI.

Miałbym nie wierzyć twej szlachetnej duszy!
Och! gdyby wojna skończyła się skoro...

(Cicha rozmowa).

SZLACHCIC PIERWSZY (do innych).

Kiedy król szwedzki za morze wyruszy,
Ja przepowiadam, oni się pobiorą.
Ja wiem co mówię: przy pomocy Boskiej
Jestem astrolog i prorok nielada!

SZLACHCIC DRUGI.

Co z kalendarza, stanąwszy wśród wioski,
Zaćmienie słońca chłopom przepowiada.

SZLACHCIC PIERWSZY.

Córkę Tarpeja strącono w przepaści,
Z tego wynika...

SZLACHCIC DRUGI.

Rzuć twych słów brylanty!
Nikt nie zarzuci, że erudyta z waści.
W ręce waszmości, panie Kalasanty!

(Pią).

SZLACHCIC DRUGI.

Lecz idzie o to, czy pić wodę czystą,
Kiedy zawita wielki dzień wesela?

SZLACHCIC PIERWSZY.

Ja trzymam z królem, z prorokiem, z psalmistą,
Że wino serce ludzkie rozwesela!
Miodek rzecz dobra! i ja miodek lubię;
W piwku Bożego nie pogardzam daru;
Wszystko uchodzi — no! ale przy ślubie
Szlachetniejszego chcę zażyć nektaru.

(Pija).

LACKI (do Heleny).

Ja, przy Czarnieckim odbywszy walk tyle,
Lepiej niż inny kraj widziałem w grobie.
Czy wierzysz, luba! iż bywały chwile,
Żem nawet zdołał zapomnieć o tobie?
Nieraz, jak innym, przyszła myśl wątpliwa,
Lecz na me serce nie upadła skaza;
Bo sprawa święta, chociaż rozpaczliwa,
A wódz nasz wielki, wykowan z żelaza!

HELENA.

Jerzy mój! Jerzy! nie gniewam się zgoła,
Żeś mię pochował w swoim sercu na dnie;
Lecz czy ty wierzysz, gdy cię trąba woła,
Że walczysz w sprawie, która nie upadnie?

LACKI.

O nie, Heleno! ni Szwed, ni Rakoczy,
Kędy stanęli, nie mogą pójść dalej!
Barwianem szkiełkiem zaświecili w oczy,
A im się zdaje, że wszystko zdziałali.
Że przyjął złoto jakiś przeniewierca,
Że dał się skusić prostak bezrozumny;
Już oni sądzą, że z naszego serca
Fałszywym bogom postawią kolumny!
O jacy mali!... jacy oni mali,
Że śpią spokojnie pod tak lichą strażą!...
Są jeszcze prawa, które podeptali,
Jest jeszcze kościół, który lekceważy.
Im się wydaje w chwilowym obłędzie,
Gdy rzesza do nich tłoczy się ciekawa,
Że szlachta nasza obojętna będzie
O święty kościół i o święte prawa.
Ha! ale u nas silne jest uczucie,
Ślepi, przejrzawszy, postawią się śmieie:

Nie dadzą słówka wyrzucić w statucie,
Ani cegielki wyrzucić w kościele.
Na tych podstawach stojąc niezachwianie,
Czyżbyśmy dbali na zbójcekie noże?
Bóg kształty krajów zakreślił na planie,
Bóg tylko jeden przekształcić je może!

HELENA.

Dzięki ci, Jerzy! wlewasz wiarę nową,
Że znów odetchniem z Janem Kazimierzem.
Boże! nad mężnych bojącą głową
Modlitwa moja niech będzie puklerzem!

LACKI.

Kto idzie walczyć spodziewać się może,
Że nie przyniesie głowy z bojowiska;
Lecz czuję w sercu jakieś tętno Boże,
Jakiś mi promień przed oczyma błyska.
Od Bałtyckiego do Czarnego morza
Pogodny błękit spostrzegam nad krajem;
I widzę ołtarz, u jego podnoża
Słyszę, jak wiarę i miłość wyznajem;
I pod lipami mojej cichej wioski
Oglądam ciebie w uroczej postaci;
Widzę przed sobą najwyższy dar Boski:
Szczęście domowe wśród szczęścia współbraci.

HELENA.

Żołnierz... a jednak przed twemi oczyma
Snuje się obraz spokojności samej.

LACKI.

Przebacz, żołnierzy w naszym wojsku niema,
Tylko obrońcy tego, co kochamy.
Niejeden naród męstwa nam zazdrości!
Cóż nasze męstwo? — to wiara z nadzieją!
Cóż nasze piersi? — u źródła miłości
Niezwyciężonym hartem kamienieją.
Gdyśmy w pancerzu, gdy z bardyszem w dłoni,
Wśród ryku armat, wśród morderczej chwili,
Marzym, jak na wsi dzwon kościelny dzwoni,
Na naszej strzesze jak jaskółka kwili,
Jak buja żyto, jak się łąka kwieci,

Jak tam zbierają kwiaty niemowlęta.
Wspomnisz ten kościół, tę strzechę, te dzieci,
To za nich walczysz, i ofiara święta
Bardziej a bardziej odwagę podsyca,
Lwem czyni człeka w stanowczej godzinie.
Oto naszego męstwa tajemnica!
Ona zaginie — i męstwo zaginie.

HELENA.

O! ja pojmuję tę miłość rycerzy,
Co cuda męstwa rozpala w ich łonie;
Lecz wiele wody, łez i krwi ubieży,
Nim nasza ślubna gromnica zapłonie.
Niejedną wojną wre Rzeczpospolita,
Na długo twoją opuścisz niebogę...
Jerzy! Bóg z nami!

(Podaje mu rękę).

SCENA DZIEWIĄTA.

CIŻ, PIELGRZYM (wychodzi z lewej strony, przecierając oczy).

(Po chwili Gnoiński ukazuje się we drzwiach).

PIELGRZYM.

Co widzę! już świta,
Zaspałem nieco, wielki czas do drogi.
Gdzieś moje sakwy zostały na ławie.

(Idzie ku stronie pijącej szlachty, za nim Lacki).

(Do szlachty).

Tu moje sakwy, tu mój kij sękaty.

(Do Lackiego).

Czego tak waszmość pogładasz ciekawie?

LACKI.

Znamy cię, ptaszku, nie z dzisiejszej daty!

(Chwyta go za ramiona).

(Do szlachty).

Mości panowie! kto z Czarnieckim trzyma,
Niech tego starca ująć mi pomoże.
To jest szpieg szwedzki...

SZLACHTA.

Chwytajcie pielgrzyma!

PIELGRZYM.

To chyba na was zaślepienie Boże!
Kto mi dowiedzie?

LACKI.

Ja sam ci dowiodę,
Ja sam odkryję twe bezecne plany,
Niezręczny szpiegu! Przyprawileś brodę,
Z którą niedawno byłeś przydybany.
Czy mię pamiętasz?

PIELORZYM (krzyczy).

Brońcie, gospodarze!
Tu gwałt się dzieje na me stare lata!
(Jeden ze szlachty odrywa mu brodę).

SZLACHTA (wydobywa szablę).

To szpieg!!

HELENA (wpatrując się w pielgrzyma, z rozpaczą).
To brat mój!...

PIERWSZY ZE SZLACHTY.

Powinność nam każe
Dziś nie oszczędzać ni swata, ni brata...

SCENA DZIESIĄTA.

CIZ I GNOIŃSKI.

GNOIŃSKI (wpada z dobytym sztyletem).
A nawet syna... Bo kto przeniewierca,
Temu sam nawet Pan Bóg nie przebacza!
Tyś serca nie miał, nie mam dla cię serca:
Z ojca własnego zrobiłeś siepacza!
(Przebija pielgrzyma. Pielgrzym pada).

GNOIŃSKI.

Giń, zdrajco!...

(Po chwili bolesnego wahania się uklęka).

Synu!... przebacz mi i wskrześnij!
Cóżem uczynił w uniesienia chwili?

PIERWSZY ZE SZLACHTY.

Rzymianinowi wszak było boleśniej,
Gdy przebił córkę, by jej nie zhańbili;
A on się zhańbił...

GNOIŃSKI (nieprzytomny).

Widzisz, panie Jerzy!
 Hańba!... szpieg... syn mój... upada nieżywy;
 Ojciec go zabił!...

HELENA.

Ach! kto w Boga wierzy,
 Ratujcie ojca!...

LACKI.

O ja nieszcześliwy!
 Królu! Czarniecki!... toż moja zapłata,
 Za waszą sprawę żem nadstawiał szyję!
 Patrzcie, com zdziałał!

HELENA (z rozpaczliwym wyrzutem).

Tyś zabójcą brata!

(Kłęka przy trupie).

GNOIŃSKI (w obłąkaniu).

Patrz, panie Jerzy, czy mu puls nie bije?
 (Usiada obłąkany).

GOSPODARZ (wchodząc, do Jerzego).

Wasz koń już gotów!... Co! trup tu się tarza?

LACKI.

Głos obowiązku!... O, lecę już, lecę!

(Rzuca gospodarzowi kieskę ze złotem).

Trupa ze szlachtą nieście do cmentarza,
 A tych nieszczęśnych miejcie w swej opiece.
 Muszę biec... listy doręczyć królowi,
 A potem... potem... pożegnać świat marny...
 Przyjdę zobaczyć, czy żywi, czy zdrowi,

(Z rozpaczą).

I strzaskać głowę o kamień cmentarny.

(Wybiega. Szlachta krząta się około pielgrzyma, Gnoińskiego i Heleny).
 (Zasłona spada).

AKT TRZECI.

Mieszkanie królowej w Głogowie na Śląsku; komnata królowej — stół zawalony papierami. Jeden Paż krząta się i ustawia sprzęty, drugi Paż wchodzi i mówi.

SCENA PIERWSZA.

PIERWSZY PAŻ.

Królowa jejmość pewnie nieubrana,
 Albo spoczywa po wczorajszej pracy.

DRUGI PAŻ.

O, gdzie tam! pisze od samego rana,
Spocząć jej nigdy nie dadzą Polacy.
Dziwnaż to Polska! rady sobie nie da,
Choć ma rycerstwo, i konie, i bronie.
Gdyby tak na mnie, przepędziłbym Szweda
Jednym zamachem.

PIERWSZY PAŻ.

Milczałbyś, Gaskonie!
Być Lubomirskim, lub dzielnym Czarnieckim,
Być Koniecpolskim, nie tak łatwa sztuka!
Im trudno idzie z najeźdźnikiem szwedzkim;
Mędrsza ich głowa niż twoja peruka.
Czyś kiedy słyszał, by sama królowa
Bez uwielbienia wspomniała tych ludzi?
Lub rzekła jakie pogardliwe słowa
O naszej Polsce?

DRUGI PAŻ.

Ta Polska mię nudzi!
U nas w Paryżu, na królewskim dworze,
Jest blask przynajmniej, jest monarsza świta,
Człowiek z płcią piękną zabawić się może,
Może potańczyć, naśmiać się do syta.
A tutaj pusto, grobowo, bezładnie,
Rój starych zrzędów królową otoczy,
Jedno a jedno do uszu jej kładnie:
A Szwed, a Tatar, a jakiś Rakoczy!
Jak się im takie gadanie nie sprzykrzy?
Choćby dla zmiany pośmieli się trochę.
Dziki to naród.

PIERWSZY PAŻ.

Ty sam jeszcze dzikszys,
Żeć teraz w głowie pustowanie płoche,
Gdy senatorów, bohaterów głowy
Pełnią przy pani obowiązki święte.
Tobie się przykrzą ich ważne rozmowy:
To idź, Francuzie, chichotać z dziewczętą!

DRUGI PAŻ.

Dziewczęta wasze, jak odlane z lodu;
Ja, com w Paryżu dokazywał cuda,

Tu, żal się Boże marnego zachodu,
Nawet rozśmieszyć żadnej się nie uda.
Królowa jejmość te nudne szlachcianki
Kocha i pieści więcej niżli warto.

PIERWSZY PAŻ.

Bo to rycerzów córki i kochanki,
Lub tych, co z domu własnego wyparto.
A że królowej matczyna opieka
Dała przytułek nieszczęsnej dziecinie,
Za to ją wdzięczność od narodu czeka,
Błogosławieństwa niejedna łza spłynie.

DRUGI PAŻ.

Łzy a łzy wieczne... jakże one szpecą!
Tu pięknych dziewcząt jest orszak niemały,
Możnaby oczki rozweselić nieco,
A te od płaczu aż ponabrzmiwały.
Ot tej na przykład Gnoińskiej Helenie,
Co ją niedawno przywieźli do dworu,
Niczego nie brak — postać i spojrzenie,
Mógłby ją malarz rysować dla wzoru;
Ale cóż z tego?... ustawnie łzy leje,
Ustawnie wzdycha, niewiedomo poco.

PIERWSZY PAŻ.

A czy słyszałeś bolesne jej dzieje?
A czy wiesz dobrze jej dolę sierocą?
Pieszczone dziecię bogatego człeka
Żyło jak ptaszę w rodzicielskim domu;
Wtem brat jej starszy do Szwedów ucieka,
Bo z Radziejowskim związał się kryjomu.
Ojciec go przeklął. Już biedna dziewczyna
Poczęła boleć boleścią rodzinną;
Biedne jej serce już cierpieć poczyną,
Co cienia troski znaćby nie powinno.
Lecz Bóg zna serce, ile cierpień zmieści,
I od rozpaczny nieszczęsną ochrania:
Gorzkie uczucia domowej boleści
Ośłodził miłym uczuciem kochania.
Pan Jerzy Lacki, rycerz zawołany,
Zdobyl jej serce... Kochała dziewczyna,
Ojciec, chcąc zgoić swego serca rany,
Chciał nim zastąpić straconego syna.

Po zaręczynach dzień ślubu wybrano.
 Wtem weszli Szwedzi na zgubę tej ziemi;
 Wszystko rycerstwo na koń powołano:
 Lacki na boje poleciał z drugiem.
 Próżno nieboga i tęskni, i kwili...
 Ale te czasy nieszczęśliwe znacie:
 Któraż niewiasta nie płacze w tej chwili
 Po ojcu, mężu, kochanku lub bracie?
 Lecz sroższym ciosem niebo ją nawiedzi,
 Jakby skazawszy na ciągle ofiary.
 Dom jej rodzinny zrabowali Szwedzi,
 Wioskę spalili, tak, że ojciec stary
 Musiał uciekać tutaj w śląskie kraje.
 Jechała z ojcem. Już kresu dobiega,
 Wtem gdzieś w gospodzie Gnoiński poznaje
 Zbiegłego syna, wiarołomcę, szpiega;
 Więc oburzenia gniewem się zapala:
 Zabija syna, jak Brutus surowy!
 Dziś obłąkany wzięty do szpitala,
 Ona oddana opiece królowej.
 Bez ojca, brata, bez rodzinnej strzechy,
 Niepoślubiona, gdy ołtarz był gotów, —
 Czy chciałbyś jeszcze, by stroiła śmiechy,
 Lub twoich pustych słuchała zalotów?

DRUGI PAŻ.

Prawda, sierota, bardzo nieszczęśliwa!
 Lecz poco płakać? to na oczy szkodzi.

(Słychać za sceną dzwonek).

Ale królowa na służbę mię wzywa,
 A waszmość zostań, bo ktoś tu nadchodzi.

SCENA DRUGA.

PAŻ, otwiera drzwi boczne; wchodzi ALEKSANDER
 KONIECPOLSKI, wojewoda sandomierski.

WOJEWODA (do Pazia).

Jak zdrowie naszej najjaśniejszej pani?
 I czy już wstała?

PAŻ.

O, wstała już dawno!
 Dworscy Francuzi już wszyscy zebrani.

Ona jest teraz listami zabawną;
Lecz jak się dowie, że pan wojewoda
Chce posłuchania, to pewno przybędzie.

(Paź odchodzi).

WOJEWODA (do siebie).

Cóż ja jej powiem? Codzień nowa szkoda,
Pożoga wojny rozlała się wszędzie.
Wszędzie przegrana, zagrodzono drogę,
A my tu żywot prowadzim beczynny...
Musimy patrzeć zaparci zagrodą,
Jak niszczą nasze krainy bogate.

(Uchylają się podwoje w głębi).

SCENA TRZECIA.

Wchodzi KRÓLOWA, za nią kilka dworskich PANIEN, w ich liczbie
HELENA GNOIŃSKA.

KRÓLOWA (wesolo).

Niedobry jesteś, panie wojewodo,
Że tak nieczęsto odwiedzasz mą chatę;
I księżę Prymas nie lepszy od waści.
Chociaż król waszej powierzył mię straży,
Żaden nie przyjdzie bronić od napaści,
Chociażby Głogów oblegli Tatarzy.
Lecz gdy mię polski opuścił obrońca,
Z hanem tatarskim zawarłam przymierze,
I mój przyjaciel, stryjeczny brat słońca,
Pisuje do mnie serdecznie a szczerze.
Czytaj, com dzisiaj otrzymała z rana...

(Oddaje mu list).

Miłosny bilet od Achmet-Gireja.

(Usiada).

WOJEWODA (przeczytawszy list).

O dobry Boże! pomoc niespodziana.

KRÓLOWA.

Cóż wojewodo! jeszcze jest nadzieja?

WOJEWODA.

Pisze, że przyjdzie w dwadzieścia tysięcy
I Rakoczego od Krymu otoczy.

O! muzulmani dobrzy sprzymierzeńcy!
Wzięty w dwa ognie, podda się Rakoczy.
Kiedyśmy niemal do szczytu złamani,
Bóg miłosierny jeszcze nas ochrania.
Ty zbawiasz kraj nasz, najjaśniejsza pani!
Ja ci zazdroszczę twego panowania.

KRÓLOWA (smutno).

Nie, wojewodo, nie zazdrość mej doli,
Nie zazdrość mojej korony i krzyża.
Gdy na samotność człowiek się wyzwoli,
Dusza się jego do aniołów zbliża.
Wszystko mię teraz dręczy, niepokoi,
Wśród ciągłej walki obumiera siła.
O! proście Boga, przyjaciele moi,
Aby mi prędzej samotność wróciła!
Tak jest... samotność, spoczynek choć w grobie,
Byleby skończyć tę drogę mozolną.

(Powstaje z zapalem).

Nie, wojewodo, ani mnie, ni tobie,
Teraz nikomu umierać nie wolno!
Idzie o króla, idzie mi o męża,
Idzie nam wszystkim o całość tej ziemi.
Użyjmy pióra, użyjmy oręża,
Brońmy ich, brońmy siłami wszystkimi!
Użyjmy zdrady — choćby nawet zdrady,
Byle ocalić ich życie i zdrowie.

(Chłodniej).

Wiesz, wojewodo! w tej chwili układy
Mój szpieg ze Szwedem rozpoczął w Krakowie.

(Ciszej).

Niektórzy Szwedzi zdradzą swego króla,
Poddadzą Kraków, wątpliwości niema.
Pisz Czarnieckiemu, niech wpadnie jak kula,
Jak tylko hasło ode mnie otrzyma.
Lecz z głębi kraju dotąd nie mam wieści,
Coś niepokoi, coś mię serce boli.

WOJEWODA.

Och, dobra pani! boleść po boleści
Musimy przenieść, nim nas Bóg wyzwoli,

Piszą mi z Rusi — pogłoska tam lata,
Przebacz mi, jeśli tą wieścią zatrwożę:
Pan Jan Zamoyski ze Szwedem się brata,
Podda mu Zamość, lub poddał już może.

KRÓLOWA (śmiejąc się wesoło).

O! co już temu, to śmiało nie wierzcie,
Dajcie mu pokój, panie wojewodo!
Na Zamoyskiego mam sidła niewieście:
Patrz tylko na tę swawolnicę młodą.
Kaźmira d'Arquin figlarne ma oczy,
Lecz dobrej sprawie służą te figlarze;
Pan Jan Zamoyski i do morza wskoczy,
W ogień poleci, jeśli ona każe.
On moją wolę spełnia co do joty,
Na nim się nigdy jeszcze nie zawiodła.
Och wy, mężczyźni! gdyby wasze cnoty
Z ich prawdziwego upatrywać źródła!...
Jeden krajowi zda się wylan cały,
Bo bogatego starostwa chce w darze;
Drugi, jak rycerz, idzie w pole chwały,
Bo mu tam piękna dziewczyna iść każe.
Zajrzeć do serca waszego tajnika:
Namiętność chciwość lub próżność dziecinna...
Zręczna kobieta zawsze to przenika,
I ze wszystkiego korzystać powinna.
Widzisz, żem szczerą.

WOJEWODA.

Pani miłościwa!

Widzę, że umiesz trzymać nas pod władzą.

(Stychać trąbkę).

KRÓLOWA.

Spójrz, wojewodo, czy goniec przybywa?
Jeśli są listy, niech je tu podadzą.

WOJEWODA (patrzac w okno).

Goniec z listami.

KRÓLOWA.

O, są listy przecie!

Drzę cała... serce jakby ścisnął głazem.
Prędeż mi listy!

(Do panien dworskich).

Wy odejść możecie.

(Do wojewody).

A wy zostańcie, — przeczytamy razem.

SCENA CZWARTA.

KRÓLOWA, WOJEWODA, potem LACKI.

KRÓLOWA (wznosząc oczy do nieba z modlitwą).

Panie Zastępów, łaski Twojej, łaski!

(Niecierpliwie do wchodzącego Lackiego).

Jakież mi niesiesz waszmość wiadomości?

LACKI (z poklonem).

Pan Opaliński, wojwoda podlaski,
Śle swoje służby Jej Królewskiej Mości.

(Oddaje list).

KRÓLOWA (odbiera go drżącą od wzruszenia ręką i łamie pieczęć).

Głoski się chwieją przed oczyma. memi!

(Oddaje wojewodzie list).

Chciejcie przeczytać, co tu napisano.

WOJEWODA (przebiegłszy list).

Na czele szlachty wielkopolskiej ziemi
Zbił Opaliński Szwedów pod Kościaną.
Dwa ich tysiące wyprowadził w pole,
Udał ucieczkę, sparł w głęboki parów;
Samego wodza zabrawszy w niewolę,
Posłał do króla z dziewięcią sztandarów.
A insza szlachta pomniejszych zamczyska
Poodbierała Szwedom niespodzianie,
I ma nadzieję, że resztę odzyska.

KRÓLOWA (z zapalem).

O! dzielny naród ci Wielkopolanie!
Jeżeli w Polsce zapal taki samy
Zdoła u szlachty ożywić się wszędzie,
To jeszcze Szwedom oprzeć się zdołamy,
Za dwa miesiące już ich tu nie będzie.
Wytchną nakoniec królewscy poddani!
No! cóż tam dalej pisze wojewoda?

WOJEWODA.

Poleca łaskom najjaśniejszej pani
Tego młodzieńca, co to pismo poda:
On ze śmiałością walcząc niepojętą,
Dobrze zasłużon przed Rzeczpospolitą;
Przez niego wodza szwedzkiego ujęto,
Przez niego wszystkie sztandary zdobyto.

KRÓLOWA (patrzac na młodzieńca).

O! to pan Lacki! On od Czarnieckiego
Wieść króla w Polskę jawił się z usługą.
Jeszcze powracać nie było do czego,
Więc się rzecz zwlekła...

(Z westchnieniem).

Bóg wie, jak na długo.

Nasza z waszmością znajomość nieświeża,
Bo po raz drugi tu się go spotyka.
Wiernych poddanych Jana Kazimierza
Nie zapomina Marya Ludwika.
Nad narzeczoną prosiłeś opieki;
Spełniłam prośbę — ona już przy dworze.
Kochasz i walczysz, jako w dawne wieki,
Lecz musisz wyznać, żeś trafny w wyborze.
Lubię, gdy widzę rycerza kochanka,
Bo to szlachetną duszę zapowiada.
Mospanie Lacki, królowa wygnanka
Waszeby męstwo wynagrodzić rada;
Ale w tej chwili mam środków za mało
Nagrodzić ciębie i tve towarzysze.
Zasługi wasze król uwieńczy chwałą,
Kraj w karcie dziejów, Bóg w niebie zapisze.
Dziś, kiedy idziesz laur zdobywać nowy,
Widokom pańskim służyć za narzędzie,
Przyjmij ten pierścień, pamiątkę królowej.

(Oddaje mu pierścień i mówi z dobrocią półgłosem).

Wkrótce, jak miemam, przydatny wam będzie.

LACKI.

Za waszą dobroć wynagrodzą nieba.

KRÓLOWA (do Wojewody).

Chodź, wojewodo, do mojej komnaty,
Opalińskiemu dać odpowiedź trzeba.

(Do Lackiego).

Wy zaczekajcie.

(Odchodzi, za nią Wojewoda).

SCENA PIĄTA.

L A C K I (podczas jego monologu słyhać trąbkę).

LACKI (do siebie).

Ona tu na dworze!

Cóż jeśli spotka, jeśli mię zobaczy?

Natchnij mię radą, miłosierny Boże!

Czy mam ją widzieć, czy umrzeć z rozpacz?

Tak jest, ucieknę, ucieknę w kraj świata,

Na pole bitwy, kędy śmierć mię woła.

Zabiłem ojca, zabiłem jej brata,

Ona mi nigdy przebaczyć nie zdoła!

Samby mój widok rozjątrzył na nowo

W biednym jej sercu smutne przypomnienie.

Ale spełniłem powinność krajową,

Serce mię boli, lecz się nie rumienię.

SCENA SZÓSTA.

L A C K I, potem S T R Z E M I E Ń w podróżnym ubiorze, jak Lacki.

STRZEMIEN (zakłopotany).

Gdzie też królową znajdę na ostatek?

Pilno to pismo oddać jej należy.

(Postrzegając Lackiego).

A! góra z górą!... o! trzy kopy latek!...

A cóż porabiasz tutaj, panie Jerzy?

A jak ci zdrowie, kochany kolego?

LACKI.

Witam cię, witam, panie Floryanie?

(Ściskają się).

STRZEMIEN.

A pociąg waszmość z pułku Czarnieckiego

Zniknął tak nagle i niespodziewanie?

LACKI.

Sam wódz mię wysłał, bym Wielkopolan

Wezwał do sprawy króla i narodu,

I uniwersał przez niego wydany

Obwiał po szlachcie od grodu do grodu.

Szlachta przyjęła takowe wezwanie:
Na wielkie rzeczy tam się dziś zanosi.
Cóż u was słyhać, panie Floryanie?

STRZEMIEN.

O czym? o wojnie, czy o mojej Zosi?
Oj Zosia! Zosia! to rozumny ptaszek!
A ja liczyłem na jej lata młode.
Ledwie wyjechał, jakiś młodzieniaszek
Już w sercu panny zapisał gospodę.
A ja wierzyłem — lecz co dnia i co dnia
Jakiś niepokój udrećzał mą duszę.
Więc proszę wodza: choć na pół tygodnia
W strony domowe oddalić się muszę.
Wódz się nie zgodził raz, drugi i trzeci,
Wreszcie go znudził mój jęk nieustanny:
Pozwolił. Jadę — słyszę, co się świeci:
A toś mi taki, mój kwiatku różany!
Więc ja z wymówką. Zosia w płacz. w wykręty,
Lecz ja się srożę, jak Bolesław Chrobry!
Wreszcie wyznała, że tu Pan Jacenty
Czasem tak sobie... przyszedł na dzień dobry.
— „Czy tak! krzyknąłem, ja go tu wytropię,
„Obetnę uszy i niech mię pozywa“.
Lecz pan Jacenty schował się w konopie,
A ona wkońcu płacze nieszczęśliwa,
Że ja nie wierzę, że tylko ją czernię,
Że mnie miłuje swoim sercem całym.
Takie mię słowa wzruszyły niezmiernie,
Lecz do obozu powracać musiałem.

LACKI.

A cóż tam Szwedzi?

STRZEMIEN.

Pal ich szatan. Szwedzi!
Żołnierzom polskim niestraszna ich tłuszcza.
To mi Szwed gorszy, co w konopiach siedzi
I do mej Zosi konkury przypuszcza.
A chciałem, chciałem na samem odiezdnem
Dobrze się zemścić nad takim wisielcem.

LACKI.

Lecz gdzież Czarniecki?

STRZEMIEN.

Miał bitwę pod Gnieznem,
Potem pod małym miasteczkiem Kościelcem.

LACKI.

Czyjaż wygrana?

STRZEMIEN.

A Bóg wie to święty!

Była kurzawa i dym od armaty.
Mnie w każdym Szwedzie zdawał się Jacenty,
A więc każdego rąbałem na szmaty;
Jak wszyscy podli, jako wszyscy tchórze,
Pierzchnął niegodny przez zarośnięciem ciemną.

LACKI.

Szwed pierzchnął od nas! O, dzięki Ci, Boże!

STRZEMIEN.

Nie, to Jacenty tak pierzchnął przede mną.
Ale nie ujdzie, ja dotrzymam słowa,
I jakem szlachcic, obetnę mu uszy!

LACKI.

Panie Floryanie! czyż sprawa domowa
Niżli publiczna bardziej ci na duszy?

STRZEMIEN (z urazą).

A czyż nie niosę za Rzeczpospolitą
Głowy na kule, miecze i bardysze?
A czy tam Szwedów, czy naszych pobito,
To wódz w tych listach do królowej pisze.
A czy ja hetman? czy do mnie należy
Liczyć zabitych i ranionych głowy?
Ja z listem jadę; powiedz, panie Jerzy,
Jak tu otrzymać przystęp do królowej?

SCENA SIÓDMA.

CIŻ i PAŻ, potem HELENA.

PAŻ.

Od Czarnieckiego jest posłaniec świeży,
Królowa jejmość przyjąłby go rada.

(Strzemień kłania się. — Paż do Strzemienia).
Proszę iść za mną.

STRZEMIEN (do Lackiego).

Ależ, panie Jerzy,
W tej burce stanąć przed nią nie wypada.

(Zrzuca burkę).

Jam przecie niby poseł uroczysty,
Ja muszę stanąć w rycerskiem żelezie.

HELENA (wchodząc zakłopotana z paczką listów).
Do wojewody podlaskiego listy,
Które pan Lacki w Poznańskie powiezie.

(Paż, za nim Strzemię odchodzą).

SCENA ÓSMA.

L A C K I, H E L E N A. (Helena drżącą ręką oddaje listy Lackiemu).

LACKI.

Wszystko oznacza duszę przebolełą,
Ta zmiana w głosie, te rąk waszych dreszcze.
Czynicie sobie ofiarę niemłą,
Żeście raczyli obaczyć mię jeszcze.

HELENA.

Rozkaz królowej, nie zaś własna wola
Tu mię przywiodła oddać to pisanie.
A cóż dziwnego, że ciężka niedola
Tak mię zmieniła w waszych oczach, panie!
I w rzeczy samej, łzy ciągle mi płyną,
Śmiertelna rozpacz w moich piersiach pała!

LACKI.

To ja, Heleno, waszych łez przyczyną!

HELENA.

Ty, ojciec, brat mój, wszyscy, com kochała!
Lecz ja nikogo... nikogo nie winię:
Taki był wyrok, tu skargi na stronę.
Boleć i płakać chciałabym jedynie,
Rozpamiętywać me szczęście minione
Na łonie ojca, z marzeniem o tobie,
Wśród cichej wioski, gdzie się wszystko śmieje.
Dziś moje wszystko pochowano w grobie:
Ojca i brata, wioskę i nadzieję.

Ty jeszcze żyjesz, tyś chluba rycerzy!
 Kiedy świat twoje podziwia przymioty,
 Ja mniej cię kocham; tak jest, panie Jerzy,
 Lękam się twojej Katonowskiej cnoty.
 Tyś nic nie winien, że brat był zbrodniczy,
 Że ojciec syna zbryzgał się posoką;
 Jednak ku tobie żal pełny goryczy,
 Żal córki, siostry, pozostał głęboko.

LACKI.

Och! czuję, czuję, co ciebie odkłania,
 Widzę z rozpaczą mą dolę złowrogą!
 Ależ twój ojciec wyjdzie z obłąkania
 Piękną twą wioskę odbudować mogą.
 A ja z uczuciem synowskiem a świętem
 Jegobym stare pielęgnował lata!

HELENA.

Zawszebym jednak patrzała ze wstrętem,
 Jak na mordercę jedyne go brata.
 O! zapomnijmy tę przeszłość minioną!
 Nie dla mnie szczęście w miłości człowieczej.
 Pójdę na Boże przytulić się łono,
 Klasztor na ciele może mię uleczy...
 Czemu łza w oczach, żrenica tak pała?
 Czemu z twych piersi ten jęk się wyrывa?
 (Biorąc go za rękę z rozrzewnieniem).
 O! nie chciej Jerzy, bym ciebie kochała,
 Bo będę bardziej... bardziej nieszczęśliwa!
 Czy chciałbyś twojej nieszczęścia niebodze?
 Jedź, jedź stąd prędzej... spełnij chlubne dzieło,
 Szczęście i sławę znajdź na twojej drodze...

(Po chwili, wzruszona).

I zapomnienie tego, co minęło.

(Ściska mu rękę i śpiesznie odchodzi).

SCENA DZIEWIĄTA.

LACKI (sam).

(Oslupiały).

Sen to... czy prawda?... Ależ prawda przecie:
 Głosu jej słyszę ostatnie odbicie...
 I ja sam jeden zostaję na świecie...
 Życie bez jutra, bez nadziei życie.

Więc mi nie wolno marzyć nawet we śnie...
Więc bez powrotu moje szczęście znika!
Nigdy, mój Boże... nigdy mi nie wskrześnie,
Nikt go nie wróci!...

SCENA DZIESIĄTA.

Wchodzą KRÓLOWA, WOJEWODA, STRZEMIEN
i PAZIOWIE.

KRÓLOWA (do Lackiego).

Marya Ludwika

Zna twoją boleść, mości panie Lacki.
Wiem, ile cierpi to biedne niebożę;
Lecz Bóg dał władzę królowej sarmackiej,
Że łyzy poddanych jeszcze otrzeć może.
Swemu królowi kto tak wierność chowa,
Kto jej dowodzi i krwią, i zasługą,
Spraw jego serca strzec będzie królowa,
I nie pozwoli, aby cierpieć długo.
Bądź dobrej myśli, — my ręczymy sami,
Bogdajby nasza zdała się opieka!
A teraz na koń, — pośpieszaj z listami,
Bo pan Sieniawski niecierpliwie czeka.

(Podaje mu rękę do ucałowania, Lacki ją z uszanowaniem całuje).
(Zasłona spada).

AKT CZWARTY.

(Rzecz w Gdańsku).

Mała izba straży przed królewską salą obrad; dwaj halabardnicy stoją u drzwi
na lewo. Zegar bije dziesiątą; za ostatniem uderzeniem kurtyna się podnosi.

SCENA PIERWSZA.

Dwaj HALABARDNICY, potem GNOIŃSKI wchodzi z tejże strony.

GNOIŃSKI (do siebie).

Zobaczę króla o dziesiątej rano...

Spowiedź mej zbrodni on wysłucha bacznie.

Wchodzi do izby; halabardnicy krzyżują przed nim halabardy)

PIERWSZY HALABARDNIK.

Teraz nikogo wpuszczać nie kazano.

DRUGI.

Za pół godziny obrada się zaczyna.

PIERWSZY.

Potem sąd będzie, co wymierza kary,
Sąd, który żadnej zbrodni nie przebacza.

GNOIŃSKI.

Powiedz królowi, że przyszedł dziad stary
Oddać swą głowę pod topór siepacza,
Co zabił syna... rozumiesz, kolego?...
Wnet król jegomość przywołać mię każe.

PIERWSZY Z HALABARDNIKÓW.

Żeś zabił syna, a co nam do tego?
My tu w przedsionku odprawujem strażę.
Wejść tu nie wolno!...

GNOIŃSKI (nieprzytomnie).

Idę wedle prawa!

Mój syn... uważasz... jał się szwedzkiej strony
I został szpiegiem Karola Gustawa.

(Cicho do Halabardnika).

Ja go zabiłem...

HALABARDNIK.

Jakiś dziad szalony!

GNOIŃSKI.

Sprawie królewskiej usłużyłem szczerze,
Ale zgrzeszyłem... pokuty mi trzeba.
Niech prawny wyrok życie mi odbierze,
Mocą statutu chcę trafić do nieba.
Idę grzech wyznać przed sądową kratą.

HALABARDNIK.

Nie wolno!...

SCENA DRUGA.

CIŻ I LACKI.

LACKI (do Halabardników).

Wpuścić!... niech stanie przy kracie.
Ja sam królowi odpowiadam za to.
(Halabardnicy wpuszczają starca).

LACKI (do Gnoińskiego, wchodząc do izby).
Ojcze mój drogi! czegoż tu żądasz?

GNOIŃSKI.

Ha!... to pan Jerzy... Pamiętasz tę żmiję,
Jak w samo serce przebodłem pacholę!

(Z zapalem).

Głowę położę i syna zabiję,
Lecz sprawy króla zdradzać nie pozwolę!
Powiem królowi, w czym jest moja zbrodnia,
Niech wedle prawa ukarać mię raczy.
Wszak my śmiertelni umieramy co dnia,
Dzisiaj z podagry, a jutro z rozpaczny.
Lecz córka moja!... zamężcia tak bliska!
Miałeś być mężem... nikt cię nie nalega...
Bo ona biedna aż dwa ma nazwiska:
Córka zabójcy, albo siostra szpiega.

LACKI.

O jak bolesno słyszeć w ustach ojca
Tak obelżywe dla córki nazwanie!

(Głośno z przyciskiem).

Tyś nie zabójca! -

GNOIŃSKI.

Jakto nie zabójca?

Zabiłem syna...

LACKI.

Twój syn żyje, panie!

GNOIŃSKI.

Żyje!... czy prawda?... Gość niespodziewany
Skąd wraca: z ziemi, czy z piekielnej strony?
Gdzie jest?

LACKI.

W więzieniu... Wyleczył się z rany
I tu do Gdańska przed króla stawiony.

GNOIŃSKI.

Sądzić go będą...

LACKI.

Dziś wedle rozkazu
Sąd tu się zbierze, zwołany umyślnie.

GNOIŃSKI.

O! czemu raczej nie umarł odrazu!
Gnoińskich imię kat hańbą wyciśnie
Na zaszczyt ojcu, na pociechę siostrze,
Na pamięć wiekom. O! nie doczekacie!
Gdzie jest mój sztylet? Lepiej go wyostrzę,
Uprzedzę ciebie, niedołączny kacie!...
Gdzie jest więzienie? O! będzie mi słodziej
Zabiwszy syna, co swe imię plami!
Idę...

LACKI (do Halabardników).

Nie puszczać, niech stąd nie wychodzi.

(Kłęką przed Gnoińskim).

Ojcie! zlituj się nad sobą, nad nami!
Wyrok królewski los jego osłodzi!

(Słychać za sceną dzwonek. Sadza starca na krześle za kolumną).

Słuchaj go, ojcie, ze spokojną twarzą.

(Znowu dzwonek).

Podwójny sygnał, oto król nadchodzi.

(Do siebie).

W tej chwili losy ojczyzny się ważą...

SCENA TRZECIA.

Podnosi się środkowa zasłona, widać stół długi, ostawiony krzesłami
jak do obrady. Wchodzą senatorowie.

KANCLERZ KORONNY, MARSZAŁEK KORONNY,
za nim CZARNIECKI.

MARSZAŁEK KORONNY.

Więc powiadacie, panie kasztelanie,
Że powodzenia Szwedów już ostatki?

CZARNIECKI.

Na ziemi naszej niech tylko król stanie!
Naród bez króla, jak dzieci bez matki.
Czyż z Gdańska, mimo swe chęci gorące,
Zdoła prowadzić układ wojny całej?
Czy zdoła wzbudzić stronników tysiące,
Które na jedno słowo by powstały?

SCENA CZWARTA.

C I Ż i K R Ó L.

KRÓL (wchodząc, ściska Czarnieckiego).

Panie Czarniecki! witajcie nam zdrowo!
Znowu Szwed doznał twojej dzielnej ręki.
Zniosłeś Steinboka siłę wyborową.
Ileż ojczyzna winna ci podzięk!
Łzami wdzięczności król u swego proga
Wita was tutaj, okrytego sławą.
Do wielkich nagród otwarta ci droga,
Boś się zasłużył mozolnie i krwawo.

CZARNIECKI.

Królu i panie! siłami wszystkimi
Będę ci służył, gdzie się z ręczność poda.
Od nieprzyjaciół zbawienie tej ziemi
To będzie moja najmielsza nagroda.
Ale to szczęście nie prędko się stanie:
Przy mej czujności, przy wojska odwadze,
Za wielką pracę, najjaśniejszy panie!
Zebrzę pomocy, bo sam nie poradzę.
Po całym kraju rozleli się Szwedzi,
Hufiec po hufcu potrzeba ich znosić;
Moja troskliwość wszędzie ich uprzedzi,
Ale w narodzie niemasz ducha dosyć.
Lud całej ziemi, jak stado piskłęce
Gdy ptak drapieżny matkę mu odbierze;
Najwaleczniejsi załamali ręce
I najwziętniejsi zachwiali się w wierze!
Wyjazd monarszy przejął kraj rozpaczą,
Ku wygnańcowi wzdychają żałośnie.
Wracaj nam, królu! Gdy ojca zobaczą,
To sercu dzieci odwagi przyrośnie.

KRÓL.

Panie Czarniecki! już po kilka razy
Waszmość mię o to prosi i zaklina.
Boleje serce Kazimierza Wazy,
Lecz jeszcze wracać nie przyszła godzina.

KANCLERZ KORONNY.

Głowa królewska zanadto nam droga!
Wśród niebezpieczeństw, pośród mrozów zimy,

Nie sposób wracać. Wszak pełen kraj wroga:
Czyż głowę pańską na szwank wystawimy?
Dokąd powracać? Kraków i Warszawa,
Obie stolice zajęte przebojem,
Rozpierzchły senat, podeptane prawa;
Cóż ma król polski czynić w państwie swoim?
Tu wojna obca, tu wojna domowa,
Wróg goni z tyłu, wróg czeka na przdzie;
Czy sejm zwoływać, gdy szlachty połowa
Trzyma z kim innym i na sejm nie zjedzie?

CZARNIECKI (zbliżając się do króla uroczyście).
W hełmie spędziłem dziecinne me lata,
W hełmie starości doczekałem siwej:
Żołnierz za ojca, za waszego brata,
Dziś tobie służę, królu miłościwy!
Przychodzę pełen serdecznej boleści
Donieść o klęskach, co cierpim w tej chwili:
Jakżebym słodko weselsze niósł wieści,
Żeśmy spokoju miłego dożyli!
Lecz promień jutrzni na niebios lazurze
Jeszcze nie zwalczył ciemności ponurej;
Jeszcze północne nie przegrzmiały burze,
A już od Karpat gromadzą się chmury!
Chrześcijańskiego imienia zakąła,
Znalazł Rakoczy do Polski swą drogę,
Choć mu się żadna przyczyna nie dała;
Wszędy rozpuścił mordy i pożogę,
Prymas koronny, senatu zebranie,
Małżonka twoja, trwogą przerażona,
Tu mię przysłali, najjaśniejszy panie!
Śpiesz na ratunek ojczyzny, co kona!
Jeśli cię naród wśród siebie zobaczy,
Zdoła pokrzepić swą duszę zboląłą,
Nowego męstwa nabierze w rozpacz,
Pokona wroga. albo umrze z chwałą.
Serca nam trzeba! daj nam serce, panie!
A żadna klęska już nas nie przestrasza.
Przebacz tve ciernie, przebacz tve wygnanie,
To wina losów, nie zaś wina nasza!
W imieniu rady twojego senatu,
W imieniu ludu, co dzisiaj bez chleba,
W imię królowej, co wzór daje światu,

Jak kochać naród i męża potrzeba.
W imieniu starców, i niewiast, i dzieci,
W imieniu dziejów, co-ć gotują kartę,
W imieniu świątyń, które rok już trzeci
Stoją w pustkowiu zbójecko odarte, —

(Kłęk).

Błagam cię! wracaj, królu nasz dostojny!
I spraw krajowi piękny dzień wesela,
I daj nam hasło, — a my pożar wojny
Niech ugasimy krwią nieprzyjaciela!...

KRÓL.

Powstań, Czarniecki! Bohater nie kłęk,
Chyba w modlitwie kiedy się rozczula.

(Podaje mu rękę i podnosi z ziemi).

Twoja, zwycięstwem namaszczone ręką,
Niech podtrzymuje rękę twego króla!
Tyś mię przekonał: jadę do was, jadę,
Niech sercem waszem mą boleść osłodzę.

(Do kanclerza).

Na wieczór zbierzcie senatorów radę;
Jutro przed świtem będziemy już w drodze.

(Do Czarnieckiego).

Panie Czarniecki! na żołnierskiem siodle,
Wszak wiesz sam o tem, trudna równowaga;
Jednak nie spadnie, nie zbłoci się podle,
Kto miłosierdzie u niebios wybląga.
Trzeba jutrzeńki, by rozpędzić chmury:
Swoją jutrzeńkę wszak mają niebianie!
Królowa niebios, Panna z Jasnej Góry,
Królową naszą niech odtąd zostanie.

WSZYSCY OBECNI (uroczyście wznoszą ręce).

Na wieki, Amen!

KRÓL.

Kiedy plan się zmienia,
Kiedy tu zostać nie mamy już dłużej,
Czy są jakowe sprawy do sądenia,
Byśmy je mogli skończyć do podróży?

KANCLERZ.

Jest jedna sprawa, co twe serce zrani,
Bo tu potrzeba użyć miecza kary!
Chciałbyś, monarcho, by twoi poddani
Żyli szczęśliwi, wierni cnocie starej;

Lecz sprawiedliwość, co sądzi i karze,
Tamę królewskiej łaskawości kładzie.
Każdego czasu bywają zbrodniarze,
A cóż dopiero w krajowym bezładzie?
Gdy jedni idą bronić praw korony,
Życia i zdrowia nie mając na względzie,
Drudzy przechodzą do przeciwnej strony,
Widokom wroga służyć za narzędzie.

KRÓL.

Szalony obłąd rozszerzył się razem,
Miecz buntowniczy w krwi bratniej się pławi;
Na polu bitwy gromim ich żelazem,
Lecz dla pojmanych musim być łaskawi.

KANCLERZ.

Na polu bitwy umniejsza się wina,
Jeżeli zdradą co umniejszyć może.
Ale kto listy Siedmiogrodzianina
Nosi do Szweda w przybranym ubiorze,
Raz uwolniony wyrokiem łaskawym
Na teź zbrodni schwytyany na nowo,
Czyż nie powinien ugiąć się przed prawem
I ciężką zbrodnię okupić swą głową?

GNOIŃSKI (który aż dotąd siedział osłupiały, zrywając się).

To o nim mowa! Puść mię, panie Jerzy!...
Prawda... wszak jeszcze żyje ta potwora!

LACKI.

Obrad sądowych mieszać nie należy,
Wkrótce stosowna nadarzy się pora.

KRÓL.

Tam, gdzie nagradzać trzeba towarzysze,
Zawsze i chętnie król polski nagradza;
Ale wyroków śmierci on nie pisze:
Na to są nagrody, jest hetmańska władza.
Choć mię oburza wszelki czyn zdradziecki,
Lecz może zdoła zmniejszyć się ohyda.
Wódz nasz najwyższy, pan Stefan Czarniecki,
Niech to roztrząśnie i wyrok swój wyda.

CZARNIECKI (przejrzawszy podane sobie przez kanclerza papiery).

Ja znam tę sprawę, najjaśniejszy panie!
Jam go raz pierwszy uwolnił od kary.
Dziś niepodobne twoje zlitowanie,
Bo winowajca przewinił bez miary.

KRÓL.

Któż jest ów zbrodzień?

CZARNIECKI.

Z Gnoińskich rodziny,
Imieniem Krzysztof — ród znany u świata.

KRÓL.

Jakaż jest kara za podobne winy?

CZARNIECKI.

Wieczna niesława i śmierć z ręki kata.

GNOIŃSKI (do Lackiego).

Moje nazwisko... i kat w jednej parze...
Pójdę go zabić, by mej czci nie mazał.

KRÓL (do kanclerza).

Lecz prawo nasze zbyt surowo karze.

KANCLERZ.

Sam własny ojciec już na śmierć go skazał:
Gdy się dowiedział o jego niesławie,
Sam przebił piersi wyrodnego syna.
Nieszczęsny młodzian już legł trupem prawie,
Ale w szpitalu gdy zdrowieć poczyną.
Wzięty w więzienie, czeka swych wyroków.

GNOIŃSKI (do Lackiego).

Puszczaj mię, Jerzy!... ocalę nędznika...

SCENA PIĄTA.

CIŻ i GNOIŃSKI, za nim LACKI wychodzą z ukrycia.

GNOIŃSKI (klękając przed królem).

Królu i panie! wyzwólcie go z oków,
Niechaj kat głowy jego nie dotyka.

Ja jestem ojciec... och! boli mię serce!
Wszak imię moje ma w kraju zasługi...
Czuję, że trzeba zabić przeniewiercę!
Ja sam go, królu, zabiję raz drugi,
Ugodzę lepiej... i sam się zabiję!
Nie chcę przebaczeń, prawo nie przebacza;
Tylko od hańby zachowaj mu szyję,
Zachowaj imię od ręki siepacza!

KRÓL.

Co widzę!... to wy... to wy w samej rzeczy,
Stary Gnoiński!... Pamiętasz, pod Żwańcem
Tyś nam sto koni przysłał ku odsieczy,
Gdyśmy już stali nad przepaści krańcem.
Dobrze nam tamta pamiętna wyprawa!
Przyrzekłem wtedy, że ci się odslużę.
Lecz dzisiaj... przebac... muszę słuchać prawa,
Prawo jest z głazu... a to praw są stróże!

(Ukazuje Czarnieckiego i kanclerza).

GNOIŃSKI.

Krzywdzisz mię, królu! Czyż ja przypomniałem,
Żem dał pod Żwańcem twój obrót zwycięski?
Wszak powinienem i duszą, i ciałem
Monarchę mego obraniać od klęski.
Swej powinności nikt nie przypomina;
Lecz w imię prawa znieś wyrok sądowy.
Niech własną ręką zamorduję syna,
Byle kat jego nie dotknął się głowy.

KANCLERZ (do Czarnieckiego).

To Brutus rzymski!...

GNOIŃSKI.

Nie... Brutus bez drżenia
Skazał swe syny pod topór najprościej;
Lecz chrześcijanin inaczej ocenia
W rodzinnym domu swoje powinności.
Nie dla oklasku, który gmin omami,
Lecz dla ofiary wypełniając cnotę,
Winien, jak Chrystus, ze krwią i ze łzami
Krzyż swojej męki zanieść na Golgotę.

KRÓL.

Wybijcie myśli rozpaczliwe z głowy;
Z senatorami pomówię w tej sprawie.

SCENA SZÓSTA.

CIŻ I PAŻ.

PAŻ.

Przybywa tutaj część dworu królowej,
Która ze Śląska ciągnie ku Wanszawie.
Wiedząc, że teraz król jegomość pono
Wracać do Polski powziął zamiar stały,
Chce, by pod jego rycerstwa zasłoną
Słabe niewiasty bezpieczniej jechały.

KRÓL.

Kędyż są listy?

PAŻ.

Jedna z dziewic dworu
Wnet je przyniesie.

CZARNIECKI (z niechęcią).

Tak!... tak, nie inaczej...

Królowa jejmość za wiele honoru
Biednym żołdakom okazywać raczy,
Gdy nam potrzeba lecieć dniem i nocą,
Być w Częstochowie za trzy dni najdalej...

KRÓL (z uśmiechem).

Panie Czarniecki, nie każdy z rycerzy
Równie niechętny na orszak dziewiczy.
Toż córki polskie, nam strzec ich należy.
Zresztą, cóż począć? Tak niewiasta życzy,
Nam trzeba słuchać...

SCENA SIÓDMA.

CIŻ I HELENA (zakłopotana wchodzi z listem w ręku).

HELENA.

Najjaśniejszy panie!
Przebacz... że tutaj... że wchodzę tak śmiała.

Ale królowej przynoszę pisanie;
We własne ręce oddać je kazała.

(Oddaje list, który król otwiera i bacznie czyta).

HELENA (postrzegając ojca).

Ojcze, tyś tutaj... Jakżeś niespodziany!
O, co za szczęście!...

(Sciska go).

Ty patrzysz tak smutnie!...

GNOIŃSKI.

Wiesz... brat twój żyje... wyleczył się z rany.
Teraz jest więźniem... kat głowę mu utnie!
Tak każe prawo... tak chce król i wodze:
Trzeba oczyścić z gadów ród człowieczy!
Zhańbił nam imię, podeptał nas srodze
W obliczu całej Pospolitej Rzeczy...

HELENA.

Ale on żyje!... czy pewno, że żyje?
Czy to jest prawda?...

(Do Lackiego).

Prawdaż, panie Jerzy?

GNOIŃSKI.

Jeszcze zbrodniczej nie ścięto mu szyje,
Ale już ona do kata należy.
O córko moja! niedawno, dziś rano,
Gryzłem sumienie o jego zabicie.
Chciałem wybłągać, aby mię skarano,
Przyszedłem oddać moje własne życie.
Ale on żyje... w łańcuchy gdzieś dzwoni,
A na mym domu niezmazana skaza.
O! bądź przeklęta, niedołączna dłoni,
Żeś głębiej w serce nie wbiła żelaza!

(Król, odczytawszy list, pokazuje go Czarnieckiemu i kanclerzowi,
i naradza się z nimi).

HELENA.

Ojcze! daremnie swą ranę jątrzycie.
Jest jeszcze pora... zaradzić się zdoła.
Tu król przed nami... wybłagamy życie...

GNOIŃSKI.

Ale mu hańby nie zetrzemy z czoła!
 Nie, moja córko! z sakwan i z kijem
 Pójdziem stąd zaraz w jakiś kraj daleki;
 Sponiewierane nazwisko ukryjem,
 Obcą mi ziemią zasypiesz powieki.
 Wychodź stąd prędzej, córko nieszczęśliwa,
 Dopóki hańby nie masz na twem czole!

(Helena chce uklęknąć przed królem, Gnoiński ciągnie ją ku drzwiom).

KANCLERZ (głośno).

Panie Gnoiński, król jegomość wzywa,
 Chce ci objawić swoją pańską wolę.
 (Gnoiński staje osłupiały).

KRÓL (podchodząc ku niemu łaskawie).

Najmilszą gorzkich dni moich osłoda
 Jest łyż ocierać, łagodzić niesnaski.
 Dziś za obecnych senatorów zgodą...

(Ukazuje Czarnieckiego i kanclerza).

Mam prawo użyć królewskiej mej łaski.
 Dzisiaj nie wolno, by ktoś łzę miał w oku,
 Kiedy król wraca, a kraj żyć poczyną.

(Do kanclerza).

Panie kanclerzu! powiedz treść wyroku,
 Jakiśmy dali w sprawie jego syna.

KANCLERZ.

Syn wasz w tej chwili swobodnym zostanie,
 Król piętno hańby z jego czoła ściiera.
 Niech w obce kraje idzie na wygnanie,
 I tam niech obce nazwisko przybiera.
 A gdy się dowie, że te nasze kraje
 Przestało miotać wojenne igrzysko,
 Śmiało przed króla majestat niech staje,
 A król mu wróci łaskę i nazwisko.

GNOIŃSKI (z niedowierzaniem).

Więc hańba zdjęta?...

KANCLERZ.

Całkowicie zdjęta.

GNOIŃSKI.

'I syn mój żyje?

KANCLERZ.

Wnet wolność mu damy.

GNOIŃSKI.

Dzięki Ci!... dzięki, Opatrzności święta!
Więc ja nie zbójca, a mój dom bez plamy?...
Więc moje imię jeszcze jaśnieć może
Po całej Litwie i całej Koronie?
O! pozwól królu, niechaj pancerz włożę,
Niech całe życie twojej sprawy bronię!
Jak młody harcerz, dosiędę rumaka,
Najwaleczniejszych prześcignę husarzy!

HELENA.

Dzięki ci, królu! Dawno radość taka
Na jego smutnej nie jaśniała twarzy!

KRÓL (do Gnoińskiego).

Służba waszności wdzięczną mi zostanie,
Trzeba nam mężnych w tę nieszczęsną porę!
Ale, skazując syna na wygnanie,
Twojej starości musim dać podporę.
Pisze królowa, że ta młoda para
Dawno się kocha i jest narzeczoną:
Niech się pan Lacki troskliwie postara
Być siwej głowy rycerską ochroną.
Stawił się mężnie, kędy wódz go użył,
Wierność dla tronu chował najszlachetniej;
Dobrze się Lacki krajowi zasłużył,
Król mu dziękuje, los jego uświetni...
Dacież mu córkę?...

GNOIŃSKI (ściskając Lackiego).

Miał ją mieć niebawem,
Kiedy nieszczęście spadło nam na głowy.

KRÓL (do Heleny).

A cóż wy na to?

HELENA.

Dla mnie świętem prawem
Wola mojego króla i królowej.

(Król łączy ręce Lackiego i Heleny).

LACKI.

Królu! czym godzien twej łaski tak wiele!

GNOIŃSKI (upojony radością).

Gdzie jest mój pałasz... mój pancerz z żelaza?

(Do Lackiego).

Na koń, mój Jerzy, po wojnie wesele!

Teraz...

(Wznosi czapkę do góry).

WSZYSCY (uroczyście).

Niech żyje Jan Kazimierz Waza!

CZARNIECKI (uderzając po ramieniu Lackiego).

Nie szczyptą soli, ani glebą roli

Szlachcie się polski chlubi i bogaci.

Przetrwaj, co ciało i co serce boli,

Znajdziesz nagrodę w duszy twoich braci!

Takie polskiego wojownika cele;

Przy nich nie padnie na twe serce skaza.

Na koń, mój Jerzy... po wojnie wesele!

Teraz...

(Podnosi w górę czapkę).

WSZYSCY.

Niech żyje Jan Kazimierz Waza!

(Otaczają króla, zasłona spada).

1859. Wilno.

WARJANT ZAKOŃCZENIA

„WYROKU JANA KAZIMIERZA“.

HELENA.

Ojcze! daremnie swą ranę jątrzycie,

Jest jeszcze pora... zaradzić się zdoła:

Tu król przed nami... wybłagamy życie.

GNOIŃSKI.

Ale mu hańby nie omyjem z czoła,

Nie, moja córko! z sakwami i kijem

Pójdziem stąd zaraz w jaki kraj daleki,

Sponiewierane nazwisko ukryjem,

Obcą mi ziemią zasypiesz powieki.
 Widzisz, król pisze, wyrokuje o nim,
 Podpisał hańbę naszego nazwiska!
 Uciekaj, córko... pod ziemię się schronim...
 Patrzaj, lud na nas kamieniami ciska.
 Tętnią siekiery, wznoszą rusztowanie...
 Kat się urąga... opatruje ostrze...
 Wnet winowajca pod pręgierzem stanie,
 Na radość ojcu, na chlubę swej siostrze...
 (Król, skończywszy pisać, klaszcze w dłoń. Wchodzi dworzanin).

KRÓL.

Oddać to pismo dozorczy więzienia.
 Spieszaj! tu niemasz chwili do stracenia.
 (Dworzanin odchodzi).

KRÓL (do Gnoińskiego).

Najmilszą gorzkich dni naszych osłodą
 Jest lzy ocierać, łagodzić niesnaski.
 Dziś, za obecnych senatorów zgodą,
 Naszej królewskiej chcemy użyć łaski.
 Dzisiaj nie wolno, by ktoś łzę miał w oku,
 Kiedy król wraca, a kraj żyć poczyną.
 Panie kanclerzu, powiedz treść wyroku,
 Jakiśmy dali w sprawie jego syna.

KANCLERZ.

Syn wasz w tej chwili swobodnym zostanie,
 Król piętno hańby z jego czoła ściera.
 Niech w obce kraje idzie na wygnanie
 I tam niech obce nazwisko przybiera;
 A gdy się dowie, że te nasze kraje
 Przestanie miotać wojenne igrzysko,
 Śmiało przed króla majestat niech staje,
 A król mu wróci łaskę i nazwisko.
 Więc hańba zdjęta.

GNOIŃSKI.

I wy to mówicie,
 Strażnicy prawa, wielcy dygnitarze!...
 Królu! tyś mocen podarować życie...
 Lecz zmazać hańbę... i Bóg jej nie zmaże.
 Piętno jej, czoło gdy zbeczcześci czyje,

Gdy twarz wykrzywi podłości wyrazem,
Już w krew przechodzi, w pulsach serce bije,
Już jej nie wydrzeć, chyba z sercem razem.
Charakter hańby, jak sakrament piekła,
Z pohańbionego nie daje się zmasać.
Pogardzie ludzkiej, gdy swój sąd wyrzekła,
Sam król milczenia nie zdoła nakazać.
W dniu wiecznej mego imienia zakały
Niewczesne, królu, twoich łask dowody.
Nie proszę łaski, jak w dniach mojej chwały
Nie przychodziłem prosić o nagrody.

KRÓL.

Błuźnisz, Gnoiński.

GNOIŃSKI.

.
Łza w twoich oczach, najjaśniejszy panie!
Nie płacz — kraj wszystek to twoja rodzina.
Żem ja leż moich powstrzymać nie w stanie,
Och, bo ja tylko jednego mam syna!
Lecz dziś się, panie, czułości wyrzeczem,
Naszą powinność spełnić bądźmy w sile:
Tyś król — w zbrodniarza uderz kary mieczem;
Ja ojciec — skonom na jego mogile.

KRÓL (do wchodzącego dworzanina).

Cóż tam o więźniu? czy zdjęto kajdany?

DWORZANIN.

Nie mogłem zdążyć do więzienia jeszcze,
Gdy wyrok śmierci został przeczytany.
Więźnia śmiertelne ogarnęły dreszcze,
Pobledniał, upadł, szarpiąc swe okowy,
Oczy się dziko po ścianie powiodły,
Krew do zwieszanej uderzyła głowy...
Umarł ze strachu...

GNOIŃSKI.

O, jeszcze raz podły!

Nie umiał umrzeć — ale już nieżywy,
Toporem hańby niedotknięte zwłoki.

KRÓL.

Wielkie są nieba!... Boże sprawiedliwy!...
O! Ty i królów przesądzasz wyroki.

GNOIŃSKI.

Ocalił imię zhańbione sromotą, —
O! wesół pójdę po żebranym chlebie.
Chodź ze mną, córko! chodź, biedna sieroto!
Niebo mi jedną zostawiło ciebie.
Na grobie jego odmówim pacierze...
Nie! on niegodzien ojcowskiej modlitwy:
Złamał pocziwość starej ojców wierze,
Nie umarł z mieczem i na polu bitwy.
Przeklinać nie chcę, bo by głos ojcowski
Nazbyt potężną ugodził go władzą.
Idźmy! choć nasze popalone wioski,
Chleba i soli dobrzy ludzie dadzą.

CZARNIECKI.

Kraj się odradza, Szwed pierzchać poczyną,
Jutrzenka błyska nad królewską głową.

GNOIŃSKI.

Boże mój, Boże! a ja nie mam syna,
Aby go posłać na służbę krajową!

KRÓL (powstawszy z tronu, podchodzi do Gnoińskiego).

Ja dam ci syna, podpore rodziny,
Którym się ojciec pochlubi z rozkoszą,
Co z młodu pełni bohaterskie czyny,
Jak o tem jego wodzowie donoszą.

GNOIŃSKI (osłupiały).

Syna! co słyszę! w głowie mi się kręci!...
Gdzież ten syn, królu?

KRÓL.

Oto Jerzy Lacki.

(Obraz. Król łączy ręce Heleny i Lackiego. Gnoiński rzuca się
Lackiemu na szyję).
(Zasłona spada).

NATURA WILKA WYCIAGA Z LASU.

O S O B Y:

ROŚCISŁAW — długoletni aktor.

GŁOS DZIECKA (za sceną).

Rzecz dzieje się w lesie.

Las — w głębi widać strzelecką chatę — z poza gałęzi drzew
przegląda z daleka miasto.

ROŚCISŁAW (ze strzelbą wbiega prędko i ukazując ręką ku miastu).
Ha! już mię nie zobaczysz, miasto ukochane!
Tutaj, w lesie, z naturą i Bogiem zostanę.
Dość być służalcem chwały i złotego cielca...
Ot tę małą lepiankę najmuje od strzelca
I pocznę insze życie... O, dawno już pora!
Nie czekać, aż się słońce schyli do wieczora.
Czas jeszcze wskrzesić w piersiach siłę obumarłą,
Z której mię gwarne miasto niewdzięcznie odarło;
Czas, niechaj spracowane odetchną ramiona.
Precz ode mnie, ohydna masko histryona!

(Czyni gest, jakby zdzierał i rzucał maskę).

(Usiada na pniu drzewa, zamyśla się i po pauzie mówi).

Och! pamiętam, pamiętam ten zapal młodzieńczy,
Kiedym wierzył, że sława me skronie uwieńczy,
Garrick, Talma gdy byli moim ideałem;
Gdy na błękicie niebios ich imię widziałem,
Wypisane gwiazdami — kiedym nieogłębny
Chciał podlecieć aż do nich, jak meteor błędny,
Czcząc jak bóstwo Szekspira albo Moliera;
Gdy czułem, jak ich ogień me piersi pożera.
Jaki wtedy marzący, jaki byłem czysty!
Och! nie znacie młodzieńczych urojeń artysty!
Śmiało — mówiłem — śmiało pójdę po ich drogę!
Imię unieśmiertelnę i sercu dogodzę.

(Zamyśla się, potem się śmieje ironicznie).

Cha, cha, cha! i płacz, i śmiech, gdy się w tem rozpatrzę...
Dośćgiłem wreszcie szczęścia, zostałem w teatrze;
Na głowę, rozognioną wspaniałym obrazem,
Jakby z trumny otwartej, chłód zawionął razem.

Tu tłum drobnych zawiści, tłum poziomych celi,
 Nikt młodzieńca nie garnie, nikt go nie ośmieli;
 Zamiast przypawić skrzydła, by latały chyżo,
 Ściągną cię z nieba marzeń i ku ziemi zniżą.
 Wreszcie, gdy dostatecznie duch był wyziębiony,
 Ubrali w szmat purpury, w fałszywe galony,
 I wywiedli na deski napelnionej sali,
 I króla, czy tam zbójcę, udawać kazali.

(Po pauzie).

Cha, cha, cha! chciałem każdą przejąć się osobą,
 Bo tu już moich sędziów widziałem przed sobą.
 Publiczność!! wielkie słowo! — śmiały będę, śmiały
 Chociaż głos trząsł się w piersiach, a kolana drżały
 Grałem... grałem bandytę... i byłem bandytą,
 Oklasku mi nie dano... wieńca nie uwito,
 Odszedłem, zapłakawszy... gdzież tu moja chwała?
 Chciałem śmieszyć publiczność — lecz się nie rozśmiała.
 Więc osądzili starsi, że ja głos poruszy,
 Kazano dla niej śpiewać — zatykano uszy.
 Do mej zimnej izdebki wróciwszy po scenie,
 Gryzłem ziemię w rozpacz, ryczałem szalenie;
 Lecz gdym zboliałą głowę złożył na pościeli.
 Znowu mistrzowie sztuki przede mną stanęli.
 I nieraz Talma we śnie prawicę mi poda:
 „Trudno... trudno, młodzieńcze, lecz wielka nagroda!“

(Usiada na pniu drzewa).

Ha! nakoniec doszedłem nagrody i łaski:
 Publiczność raz i drugi dała mi oklaski;
 Byłem rad, gdy me imię wołano z zapalem,
 Ale się opamiętał, i znów zapłakałem.
 Miałem wiele oklasków! Przejdźmy je kolejną:
 Płaczą nad Rinaldinim, z Hamleta się śmieją;
 Cyt ich nudzi, że długi, Molier nie bawi,
 Fredry, naszego Fredry, widzieć nie ciekawi!
 Nieraz rzekłem do siebie, gdym otoczony blaskiem:
 Wszak oklask jest szyderstwem, szyderstwo oklaskiem?
 Kto widzi dzisiaj w sztuce powołanie Boże?
 Czy dziś Garrick lub Talma urodzić się może?
 Minęły wieki święte, hołdujące sztuce...

(Zrywa się).

Nie chcę was! nie chcę miasta! na zawsze je rzucę!

(Ogląda się wkoło siebie).

Co inszego natura! och, to nie kulisa!
Jak ta wierzba płacząca do potoku zwisa!
Jak się wdzięczy ta brzołka pięknie, choć po prostu!
Czuć od niej tchnienie wiosny, nie farbę pokostu.
Ten strumień, ten wiatr cichy, co szumi po niwie,
To nie nasza orkiestra, grająca fałszywie;
A to rannego słońca między liśćmi drzenie,
To nie lampy olejne, co czadzą na scenie!
A ten kwiat! — tu mi wszystko uspokaja duszę.
Nie chcę sceny i na krok już stąd nie wyruszę.
Czas odpocząć po trudach — tu i chatka blisko,
W chacie biednego strzelca najemę przytulisko;
Pójdę z nim się rozmówić...

(Idzie do chaty i puka w okno).

Czy gospodarz w chacie?

GŁOS DZIECINY ZA SCENĄ.

Ojciec prędko powróci, może poczekacie,
Lecz do chaty nie wolno wpuszczać mi nikogo,
Bo nasze złe brytany pokąsać was mogą.
W lesie bez psów nie można — to stróżę jedyne,
A ojciec pewnie wróci na siódmą godzinę.

ROŚCISŁAW (patrzac na zegarek).

Teraz jest w pół do szóstej... to poczekam sobie.

(Wychodzi na przód sceny).

A co tam teraz nasi?... Teraz są na probie.
Dzisiejsze przedstawienie dość ich namozoli;
Dam gardło, że Otello nie umie swej roli,
Bo dramat szekspirowski, to nie bagatela.
Wróćcie, wróćcie te czasy, gdym ja grał Otella!
Czarna maska na twarzy, zazdrość w każdym geście...
Młodociane dni moje, gdzie wy dziś jesteście?
Pamiętam, zem się kochał... że pałało łono
Moją miłością pierwszą, miłością szaloną.
Zazdrosny jak Otello i mściwy w potrzebie,
Gdym przebił Desdemonę, przeszedłem sam siebie.
Teatr drżał od oklasków! A teraz co oni?
Pan bohater sztyletu nie utrzyma w dłoni;

Słaby, czy się ubieli, czy poczerni sadzą...
Idę do nich... bo rady beze mnie nie dadzą.

(Słysząc głos trąbki pasterskiej).

Wstrzymaj się, zapaleńcze! Oto wiejska niwa
Głosem trąbki pasterskiej nazad cię przyzywa.
A tyś poco do miasta?... a czyż ci nie pora
Przestać żyć trupiem życiem z rana do wieczora,
Od nudy śmiać się głośno, a ziewać po cichu,
Lub wypijać bez smaku kielich po kielichu!
Słuchać miejskiego gwaru, co ci mózg przewraca,
Albo włożyć na nowo sukmanę pajaca!
Nie! zostań tu pod cieniem słomianej zagrody,
Żyj czarnym kęsem chleba i konewką wody,
Zaprowadź pszczoły w ulach, gołębnik na strzesie...

(Słysząc z bardzo daleka szczekanie psów i trąbkę myśliwską).

Lub weź strzelbę na plecy i zapoluj w lesie,
Lub idź z plugiem na rolę — praca cię ożywi;
Spraw zieloną sukmanę, jak noszą myśliwi!

(Po chwili).

Tak! zielona sukmana pamiętną zostanie:
Grałem niegdyś Freischütz'a w zielonej sukmanie,
Grałem w Huzarach Fredry, to wszystko nie fraszka;
W Doktorze Medycyny grywałem wujaszka.
Te zielone sukmany — przypominam sobie,
Widzę je rozwieszone rzędem w garderobie.
Grzmiały liczne oklaski i w krzesłach, i w łoży.
O, zielone sukmany! któż je po mnie włożył?
Raczej wioski i lasu wyrzeknąć się wolę,
Pójdę grać w tych sukmanach — bo to dobre role...

(Opamiętywa się).

Wabi cię histryońska zielona sukmana, —
Ha! wszakże i ta puszcza zielono ubrana!
Ostre zielone kolce na jodle lub sośnie,
Ale ten najostrzejszy, co do serca wrośnie.
Chcesz westchnąć, by wyrazić dołę, czy niedolę,
To cię w serce ukąsi jakby żądło pszczole.
Ha! i z tym ostrym kolcem, co mi pierś miał przeszyć,
Trzeba było na scenę iść i ludzi śmieszyć,
I nieraz igrać w piersiach ze śmiertelną raną,
I wykrzywiać do żartów twarz łzami zalaną...

Z czasem się wyuczyłem tej sztuki kuglarzy:
Nigdy łzy nie popsuły bielidla na twarzy,
A kiedy się uśmiecham, gdy wesołość kłamię,
Nie obmyły rumieńca kupionego w kramie.
W temże całe zadanie, w tem triumf artysty.
Poświęcić dobru sztuki swój ból osobisty.
Tak się idzie do chwały nieśmiertelnych celi, —
A czyż wielcy mistrzowie, jak my, nie boleli?
Wielkość ludzka zależy na dźwiganiu krzyża;
Jednego boleść wznosi, drugiego poniża.

(Po pauzie).

I ja krzyż mój dźwigałem — niech mnie teraz wzniesie,
Nie tam pomiędzy ludźmi, ale tutaj, w lesie,
Gdzie się jakaś zbawienna tajemnica chowa,
Gdzie z Bogiem i naturą łatwiejsza rozmowa,
Gdzie, jak Szekspir powiada...

(Zamyślony usiada znowu na kłodzie).

Tak, Szekspir powiada...

To był wielki filozof, poeta nielada!
Ale wcielić się sobą w jaką jego postać,
Kolosalnym Otellem lub Hamletem zostać,
Przeznac geniusz mistrza, by z potęgą całą
Oddać jego utwory, to i życia mało!
A ja chciałbym w pół życia rzucić sztukę wzniosłą!
Więc gdybym się innego pochwycił za młodo,
Dziś miałbym więcej szczęścia — i więcej dochodu?
O, nie! — dajcie mi pieniądz — ja go wam odrzucę;
Nie chcę szczęścia, jeżeli nie znajdę go w sztuce!
Jednej pragnę nagrody za mój zawód cały:
Skonać na deskach sceny, wśród oklasków chwały.

(Wstaje).

Sława!... co to jest sława?... dym... bańka mydlana,
Dzisiaj głośna u świata, jutro zapomniana,
Błahe cacko dla dzieci... a jednak rozżarza
Bohatera do cnoty, do zbrodni zbrodniarza,
Dla niej, ażeby sławne zostały imiona,
Herostrat kościół pali, Milcyades kona,
Napoleon upada wśród śnieżnych zamieci,
A nędzny wierszokleta epopeję kleci;
Nawet skoczek na linie po wawrzyny sięga...

W sławie jest ludzka śmieszność i ludzka potęga.
Lecz, jak mówi poeta, jest pocziwa sława,
Co nam skrzydła umacnia, piersiom głos nadawa,
Co nas po to ognistym promieniem ogarnie,
Byśmy w drogach ludzkości stali za latarnie,
Nasz wiek, naszą społeczność mieli pod swą wodzą...
Lecz tacy sławni ludzie wiekami się rodzą,
Z promieni nad ich głowy nam choć po iskierce
Godzi się dla nas żądać; tylko podle serce,
Tylko dusza, w poziomych uczuciach skarłała,
Takiej dla siebie sławy nigdy nie zachciała.
Ale czuję, że we mnie Bóg inną wlał duszę:
Ja chcę pocziwej sławy! — i sławnym być muszę!

(Uderza się ręką w czoło).

Za późno!... marzycielu, zbyt zarozumiały!
Idź raczej teraz płakać na grób twojej chwały,
Na grób tego, coś kochał; a chcesz odżyć dzielniej,
To chyba w ciemnym lesie — to chyba w pustelni...
Lecz czy nie wrócił strzelec? — zapukam do chaty.

(Puka w okno).

GŁOS DZIECKA (za sceną).

Nie pukajcie dareninie, jeszcze niema taty,
Powróci aż pod wieczór.

ROŚCISŁAW.

Moje dobre dziecię,
Powiedz mi: na tej puszczy z czego wy żyjecie?
I czy wam tu wesoło?...

GŁOS DZIECKA.

Ojciec lasu strzeże,
Albo w rzece na rybę zastawia wędzienie;
Więc mamy trochę grosza, mamy kawał chleba,
Jest mleko z naszych krówek — czegoż więcej trzeba?

ROŚCISŁAW.

Poetyczna prostota! to dziecię nie kłamie.
Chciałbym widzieć tę chatkę w jakiej wiejskiej dramie.

(Odchodzi na przód sceny i rozpatruje się dokoła).

W środku byłaby chata z tą drewnianą ławą,
A tenbym dąb umieścił w kulisie na prawo,

A ten ul ze pszczołkami! efekt od parady!
 Jużby nasz dekorator dał sobie z nim rady.
 Rzuciłby tony zimne, a potem gorętsze,
 Można by z tego okno dać na pierwszym pięttrze.
 W drugim akcie pasieka — wyborny ul pszczoli.
 Raz pamiętam... w tej sztuce nie umiałem roli.
 Człowiek ciągle się miesza, ciągle bąki strzela,
 A sufler, jakby na złość, upił się, jak bela.
 Nadstawiam pilnie ucha, mrugam nań ukosem,
 A on ni w pięć, ni w dziewięć, coś mruczy pod nosem!
 Położenie fatalne, jak nie często bywa!
 Kiedy mi niespodzianie przyszła myśl szczęśliwa, —
 A w roli byłem hrabią, co niby w podróży, —
 Więc udaję znużenie, siła mi nie służy...
 A zresztą, kołysany myślami sprzecznymi,
 Zamiast usiąść na stołku, kładę się na ziemi,
 I sekstern z rąk suflera wyrwawszy otwarty,
 Calutką moją rolę odczytałem z karty.
 Gestykuluję silnie, deklamuję żwawo:
 Publiczność nie spostrzegła i dała mi brawo!
 I czy jedna przeszkoda! — ja miałem ich tyle!
 Miło czasem przypomnieć te pocieszne chwile.

(Uroczyście).

O! to życie na scenie, to jak wieczne gody,
 Życie czynne, braterskie, a pełne swobody,
 Życie ciągłej nauki, niewieńczone chwałą,
 Co nie da zdrzemać sercu, by rozleniwiało.
 Czyż ja dla spokojności to życie poświęcę?
 Mam gnuśnić w dzikim lesie, opuściwszy ręce?
 To byłaby niewdzięczność — niewdzięczność obrzydła
 Względem sztuki, co wzięła pod swoje mię skrzydła;
 Względem braci, z którymi zjadłem beczkę soli
 I przeżyłem lat tyle doli i niedoli;
 Względem mistrzów, com niegdyś przedstawiał ich dzieła,
 I względem publiczności, co mi przyklasnęła!
 Nie! nigdy! Skonam raczej.

(Chce śpiesznie odchodzić).

(Waha się).

Dobrze się zastanów!

A więc idziesz, szaleńcze, w ten tabór Cyganów,
 Co się nazwał świątynią, u której ołtarzy
 Już święty ogień sztuki dawno się nie żarzy?

Idziesz do towarzyszków, co zimni, nieczuli,
Nieraz cię intrygami i waśnią zatruli?
Idziesz do publiczności na jej niewolnika,
Co cię dzisiaj przywoła, a jutro wysyka,
Co, staremi przesady napojona z wieka,
Przykłaśnie aktorowi, lecz wzgardzi w nim człeka?...
Nie! nigdy! skonam raczej w tym odludnym borze.

GŁOS DZIECINNY Z CHATY.

Ojciec z miasta powrócił!

(Słychać z daleka bicie zegara).

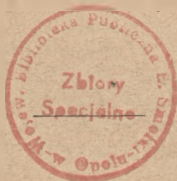
ROŚCISŁAW (zrywa się).

Siódma! czy być może!
I w teatrze już grają — nieznośni partacze!
Otella w pierwszym akcie już dziś nie zobaczę.
Pośpieszmy!... prędzej... prędzej, może się dogoni.

(Zwraca się do chatki).

Bądź zdrowa! tyś nie dla mnie, lesista ustroni!
Na moje stanowisko jak żołnierz powrócę,
By służyć publiczności i hołdować sztuce.

1859. Wilno.



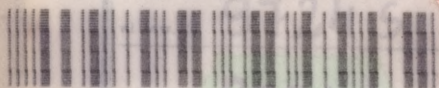
SPIS RZECZY.

	Str.
UTWORY DRAMATYCZNE.	
Rok w pieśni	5
Chatka w lesie.	
Część pierwsza	18
Część druga	52
Hrabia na Wątorach	93
Franciszek z Asyżu	132
Kasper Karliński	144
Wiejscy politycy	184
Wyrok Jana Kazimierza	233
Warjant zakończenia „Wyroku Jana Kazimierza“ . . .	291
Natura wilka wyciąga z lasu	295



Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

9721/IV S



001-009724-04-0

„Zbiory Śląskie”